ZN

Wallace

Ben-Hur

BIBLIOTHECA VNIV. IAGELL. CRACOVIENSIS

58422

i król zaprasza was do swego pałacu, żeby z wami rozmówić się bez świadków, — powiedział posłannik.

Przy świetle lampy palącej się u wnijścia spojrzeli po sobie, przejęci tem uczuciem, że Duch Boży jest z nimi. Egipcjanin zbliżył się do strażnika i rzekł pocichu:

— Wiesz, gdzie są nasze wielbłądy z jukami; przygotuj więc wszystko do podróży, żebyśmy mogli odjechać zaraz po powrocie, jeśli się to okaże potrzebnem.

— Bądź spokojny, znajdziecie wszystko w pogotowiu.

— Jesteśmy posłuszni woli królewskiej.. idziemy za tobą, — powiedział Baltazar do posła Herodowego.

Ulice Jerozolimy były podówczas tak wązkie jak i dziś, ale mniej kręte i brudne. Trzej wędrowcy szli w milczeniu za swym przewodnikiem. Przybyli nakoniec przed wielki portyk, u którego straż, wsparta na mieczach, stała dokoła ogniska. Przez kilka dziedzińców, przez ciemne korytarze i przez kolumnady doszli do wschodów, wiodących do wyniosłej wieży. Na najwyższem piętrze, przewodnik wskazał na otwarte drzwi, mówiąc:

— Wejdźcie, zastaniecie tam króla.

Sala, do której weszli, przejęta wonią drzewa sandałowego, urządzona była z przepychem tchnącym zniewieściałością. W środku tej komnaty stał tron

na kosztownym kobiercu. Pielgrzymi nie mogli się rozglądać, na tronie bowiem siedział Herod, w tej samej szacie, w jakiej się ukazał w Sanhedrynie. Zbliżywszy się doń, uderzyli czołem o ziemię. Król zadzwonił. Służalec wszedł i postawił trzy krzesła przed tronem.

— Usiądźcie, — przemówił łaskawie Herod.

Gdy zasiedli, król rzekł: — Mówiono mi, że dziś popołudniu, przybyło północną bramą trzech cudzoziemców, którzy zdają się przybywać z bardzo dalekich stron. Czy to wy nimi jesteście?

— Gdybyśmy nie byli nimi, czyby potężny Herod zawezwał nas do siebie? — odrzekł Egipcjanin z niskim ukłonem.

— Któż wy jesteście? zkąd przybywacie? — zapytał król i dorzucił: — niechaj każdy mówi za siebie.

Pielgrzymi jeden po drugim objaśnili króla, jakie nazwiska noszą, gdzie jest ich ojczyzna i jaką drogą przybyli do Jerozolimy. Herod, nieco rozczarowany, wypytywał ich dalej:

— Coście mówili z oficerem, który stał na warcie u bramy, gdyście przybyli do miasta?

— Pytaliśmy się, gdzie jest nowonarodzony król żydowski.

— Teraz rozumiem, dlaczego ludzie tak byli poruszeni; ja sam jestem mocno zadziwiony tem zapytaniem. Alboż jest drugi król żydowski prócz mnie?

— Teraz właśnie narodził się, — śmiało odpowiedział egipcjanin.

Po obliczu króla przesunął się ból, jak gdyby usłyszał coś przykrego.

— Dla mnie on się nie urodził! — zawołał; po chwili zaś poskramiając się, zapytał:

— Gdzie jest ten nowonarodzony król?

— Potośmy właśnie tu przybyli, żeby go wyszukać.

— Opowiadasz mi jakąś cudowną baśń; dajesz do rozwiązania zagadkę, trudniejszą od Salomonowej. Pomnij na to, że jestem już w tym wieku, kiedy ciekawość tak prześladuje, jak w dzieciństwie. Jestto okrucieństwem z waszej strony, brać mię na takie męki. Opowiedzcie mi wszystko, a będę was tak czcił, jak się czci królów. Jeśli mi wyjawicie wszystko, co wiecie o nowonarodzonym, to go wam pomogę wyszukać; a gdy go znajdziecie, uczynię dlań wszystko, czego tylko zażądacie. Sprowadzę go do Jerozolimy i na króla wychowam; użyję swego wpływu na cesarza i pomogę mu do wzniesienia się na tron. Przysięgam, że się nie będę rządził zazdrością; ale powiedzcie mi, jak się to stało, że będąc rozdzieleni od siebie morzami i lądami, dowiedzieliście się o nim jednocześnie?

— Odpowiem ci prawdę, o królu!

— Mów! — rozkazał Herod.

Baltazar podniósł się i wygłosił uroczyście:

— Istnieje Wszechmocny Bóg.

Heroda widocznie opanowała trwoga.

— Ten Bóg przysłał nas tutaj z obietnicą, że znaj-

dziemy odkupiciela świata, rozkazał oddać mu hołd i zaświadczyć o nim. Na znak jego narodzin każdy z nas ujrzał gwiazdę na niebie. Duch Pana towarzyszył nam, duch Jego jest z nami w tej chwili, o królu.

Jakieś tajemnicze uczucie przeniknęło do głębi dusze pielgrzymów. Herod coraz bardziej dręczony niepokojem i zazdrością spoglądał na każdego z nich po kolei.

— Wy chyba żartujecie, — rzekł nakoniec; — jeśli tak nie jest, to powiedzcie mi co więcej. Cóż ma wyniknąć z narodzenia się nowego króla?

— Odkupienie ludzkości.

— Wytłomacz się jaśniej.

— Odkupienie za grzechy rodu ludzkiego.

— W jaki sposób?

— Bożą mocą, przez wiarę, nadzieję, miłość i dobre uczynki.

— A więc... — tu umilkł Herod, opanowany silnem wrażeniem, którego jednak niczem nie zdradził, gdy rzekł po chwili: — a więc, wy jesteście zwiastunami Mesjasza! Czy nie macie nic więcej do powiedzenia?

— Powiedzieliśmy już wszystko, o królu! — odpowiedział Baltazar, niski pokłon oddając.

Tu Herod zadzwonił na służalca i rozkazał mu przynieść dary.

Sługa ten, powróciwszy niezadługo, ukląkł przed pielgrzymami i każdemu z nich podał szatę szkarłatno-błękitną, z pasem złotem przetykanym.

Przyjąwszy podarki, pielgrzymi pożegnali króla wschodnim obyczajem, ale Herod zatrzymał ich, mówiąc:

— Jeszcze jedno słowo! Opowiadaliście strażnikowi u bramy miasta i mnie także przed chwilą, o gwiaździe, co się wam miała ukazać na wschodzie.

— Tak, — odpowiedział Baltazar, — to była gwiazda nowonarodzonego.

— O jakim czasie ukazała wam się?

— W tej chwili, kiedyśmy otrzymali rozkaz przybycia tutaj.

Herod podniósł się na znak, że posłuchanie skończone i zbliżywszy się do gości, łaskawie powiedział:

— Ponieważ jesteście zwiastunami nowonarodzonego Mesjasza, powiem wam, że dzisiejszej nocy pytałem najmędrszych doktorów żydowskich, którzy jednogłośnie oznajmili mi, że Mesjasz ma się narodzić w Betleem w ziemi judzkiej. Radzę wam udać się tam. Tak, idźcie i szukajcie tego dzieciątka, a gdy je znajdziecie, oznajmijcie mi, żebym mógł także przybyć i złożyć mu hołd. Pokój z wami!

Po tych słowach król wyszedł z sali, a mędrcy udali się do gospody.

Grek, przybywszy tam, wykrzyknął z zapałem:

— Teraz bracia, posłuchajmy rady królewskiej, podążmy do Betleem.

Obdarzywszy strażnika, wsiedli pielgrzymi na wielbłądy i pospieszyli ku Betleem, przez płaszczyznę Refonu, gdzie się im znowu ukazało na firma-

mencie światło, zrazu niepewne, niewyraźne. Serca uderzyły im żywiej, przymknęli oczy, a gdy je otworzyli znowu, po chwilce błyszczała jasna gwiazda, nie wysoko i nieruchomo, lecz tuż nad ich głowami posuwała się w jednym z nimi kierunku. Powitali ją pełni radości i złożywszy ręce, modlili się w duchu.

— Bóg jest z nami! Bóg jest z nami! — wykrzyknęli po chwili w nadmiarze szczęścia i dążyli za gwiazdą, dopóki nie zatrzymała się przy ustronnej stajence, w pobliżu Betleem.

Byłoto mniej więcej w tej porze, kiedy się zmieniała trzecia straż. Na wschodzie pierwsze promienie walczyły już z cieniami nocy. Wzgórze otaczające Betleem oblewało blade światło, podczas kiedy dolina była jeszcze pogrążona w pomroce.

Na dachu gospody strażnik przyglądał się właśnie rozbudzonej do życia przyrodzie, kiedy nagle otoczyło go jaskrawe światło, posuwające się ku pobliskiej górze. W pierwszej chwili myślał on, że to ktoś niesie pochodnię, potem—że meteor ukazał się na niebie,— lecz była to gwiazda.

Przestraszony niezwykłem zjawiskiem, rozbudził ludzi w gospodzie: Wszyscy wybiegli na dach. Zjawisko przysuwało się coraz bliżej, oblewając skały, drzewa i drogi, tak olśniewającem światłem, że go oczy nie mogły znieść.

Lękliwsi padali na kolana i modlili się, tuląc twarz do ziemi; odważniejsi przykładali ręce do oczu

i od czasu do czasu rzucali nieśmiałe spojrzenie na blask. Niezadługo okolica gospody stała się tak widna jak w biały dzień.

Gwiazda nieruchomo zawisła nad wnijściem do jaskini, w której narodziło się dzieciątko.

Właśnie w chwili, kiedy się zdarzył ten nadzwyczajny wypadek,nadjechali mędrcy do gospody i zsiadłszy z wielbłądów, zakołatali do gospody.

Strażnik, ochłonąwszy nieco z przestrachu, zeszedł otworzyć im wrota.

Ale widok objuczonych zwierząt, które oblane owym niezwykłym blaskiem, wyglądały jak upiory i pielgrzymów w oryginalnych ubiorach i z gorączkowym pośpiechem dążących do gospody, wzmógł trwogę wartownika. Lękliwie odsunął się on od przybyszów i nie śmiał prawie odpowiedzieć na ich zapytanie.

— Czy tu jest Betleem judzkie?

— Tak.

— Prowadź nas do narodzonego tu dziś dzieciątka, prowadź! — wołali Baltazar i grek, z zapałem.—Widzieliśmy jego gwiazdę, tę oto, którą widzimy nad stajenką i przybywamy po to, żeby mu oddać hołd.

Indjanin, złożywszy ręce, rzekł:

— Zaprawdę, narodził się Pan! Spieszcie, spieszcie! odszukaliśmy Zbawiciela! Jesteśmy błogosławieni śród wszystkich.

Ludzie poschodzili z dachu i szli za pielgrzymami, ale wielu cofnęło się lękliwie, zauważywszy, że

ci dążą wprost ku gwiaździe, tkwiącej nieruchomo nad stajenką.

Gdy mędrcy zbliżyli się do jaskini, gwiazda wzbiła się wyżej, gdy stanęli u wnijścia, osiadła na firmamencie, a gdy weszli do podziemia, znikła.

Nikt z obecnych nie wątpił, że pomiędzy gwiazdą, pielgrzymami i nowonarodzonem dziecięciem istnieje nadnaturalny związek.

Podziemie było oświetlone latarnią, mogli więc rozpoznać matkę z dzieciątkiem leżącem na jej kolanach.

— Czy to twoje niemowlę?—zapytał Baltazar Marji; a Najświętsza Panna, w której sercu wszystko, co dotyczyło jej dzieciątka, ryło się głęboko, podnosząc je do światła, odrzekła:

— To jest moj syn!

Pielgrzymi padli na kolana i oddali mu hołd. Dziecię to niczem się nie odróżniało od innych. Dokoła Jego główki nie błyszczała aureola, nie zdobiła jej też korona; usteczka Jego nie mówiły— i niczem nie objawiało, że słyszy zanoszone do Niego modły i widzi objawy radości. Było to dziecię podobne do wszystkich dzieci, które spokojnie wpatrywało się w promienie światła.

Mędrcy, oddawszy pokłon, wstali z klęczek i poszli do swych wielbłądów, a wyjąwszy z juków złoto, kadzidło i mirę, dary te u stóp Nowonarodzonego złożyli.

Więc to jest ów Odkupiciel, dla znalezienia którego przybyli z tak daleka!

Ubogi, opuszczony, leżał on w postaci Dzieciątka, jednakże oddali mu hołd, z silną wiarą, że to Chrystus, do którego ich przywiodła gwiazda.

Teraz, czytelniku, sięgnij okiem w przyszłość. Nadchodzi czas, kiedy się objawi syn Boży: błogosławiony będzie ten, co w Niego uwierzy.

ROZDZIAŁ VI.

Przenieśmy się o 21 lat później, do początku rządów Walerjusza Gratusa, czwartego z cesarskich namiestników, czyli prokuratorów prowincji Judeji.

W tym przeciągu czasu wielkie zmiany zaszły w kraju, a najważniejsze pod względem politycznym.

Herod umarł w rok po narodzeniu się Chrystusa a koniec jego był tak nędzny, że świat chrześcijański upatrywał w nim karę za bezbożne życie.

Jak każdy ambitny monarcha, pragnął on, wbrew życzeniom zwierzchniczej władzy rzymskiej, utworzyć dynastją, dla zapewnienia potomkom tronu i potęgi

swojej. W tym celu rozdzielił testamentem państwo pomiędzy 3-ch synów: Antyfasa, Filipa i Archeleusza.

Postanowienie to uzyskało zatwierdzenie Cesarza, lecz Archeleusz miał dopiero wtedy korzystać z tytułu króla, skoro jego zdolności i prawomyślność zostaną wypróbowane. Tymczasem panował jako egzarcha; ale po upływie 9-ciu lat, wskutek złych, nieudolnych rządów, został strącony z tronu i wygnany do Gallji.

Judea stała się rzymską prowincją i prefekturą. Ażeby upokorzenie było dotkliwsze, siedlisko namiestnika przeniesione było z Jerozolimy do Cezareji i—co większa jeszcze, hańbą wydała się żydom — Samarja połączona została w jedną prowincją z Judeą. Wśród tych prześladowań, pozostała żydom ta jedna tylko pociecha, że ich arcykapłan mógł zamieszkiwać pałac królewski i sprawować w nim najwyższy urząd sędziego.

Władza jego zresztą była bardzo ograniczona: prawo śmierci i życia odjęto namiestnikowi, sądy odbywały się w imieniu Rzymu i według praw rzymskich. Nawet pałac zajmowali po większej części rzymscy urzędnicy i żołnierze. Jednakże najgorętsi zwolennicy wolności żydów, znajdowali pewne zadosyćuczynienie w tym fakcie, że ich arcykapłan był urzędnikiem pałacowym. Sama obecność jego była dla nich żywem przypomnieniem obietnic Jehowy, wypowiedzianych przez usta patryarchów i proroków i wzmacniała w nich otuchę, że Lewi z pokolenia

Judy kiedyś oswobodzi naród izraelski i nad nim panować będzie.

Judea była od 18 lat w ręku rzymian, a ten przeciąg czasu wystarczył, żeby cezarowie przekonali się, że jest dosyć łatwo rządzić narodem żydowskim, byleby jego religja była szanowana.

Korzystając z tego doświadczenia, poprzednicy Gratusa zostawiali poddanym swoim swobodę obrządków.

Ale Gratus rozpoczął swe rządy od tego, że usunął arcykapłana Annasza, godność zaś jego przelał na swego ulubieńca Izmaela, syna Fakusa.

Postępek ten, bądź nakazany przez Cesarza, bądź pochodzący z własnej woli Annasza, pociągnął za sobą wielkie niezadowolenie.

Judea dzieliła się podówczas na 2 stronnictwa: arystokratyczne i ludowe, czyli separatystów.

Po śmierci Heroda partje te, sprzymierzyły się przeciw Archeleuszowi, pokonały go orężem i chytrością. W świątyniach na górze Moriala bito nieraz na alarm i w końcu Archeleusz został wyparty z kraju.

Zewnętrzny wróg był więc zwalczony, ale wewnętrzne niesnaski nie ustawały.

Po Archeleuszu, wydalono arcykapłana Joazora, nienawidzonego przez arystokrację; w jego zaś miejsce stronnictwo ludowe obrało Annasza, syna Setha.

Od tej chwili wzajemna nieprzyjaźń wzrastała.

Arystokraci, osłabieni upadkiem Archeleusza,

utrzymali się jednak jeszcze w posiadaniu pałacu i świątyni piętnaście lat, to jest do czasu Walerjusza Gratusa.

Główną ich podporą był Annasz, wierny sługa cesarzów rzymskich. Twierdza Antonia miała załogę z rzymskich żołnierzy, rzymska straż stała u bram pałacowych, rzymskie podatki były ściągane bez żadnej względności.

Narodowi żydowskiemu z każdym dniem, z każdą godziną dawała się dotkliwiej uczuć zależność od nienawistnych rzymian.

Nakoniec udało się Annaszowi oswobodzić swój naród od obcej przemocy.

Oswobodziciel musiał jednak ustąpić, a Izmael otrzymał z ręki rzymskiego namiestnika, godność arcykapłana.

Annasz, mądry i wyrachowany, postanowił przyłączyć się do stronnictwa narodowego.

Opuszczony przez obie partje, Walerjusz Gratus, ujrzał się zmuszonym wzmocnić twierdzę Antonia: do stojącej tam załogi dołączył przeto całą kohortę legjonistów, aby na wypadek oporu lub niezadowolenia, być w możności ugasić tlejący ogień, który lada chwila mógł wybuchnąć jasnym płomieniem.

Zapoznawszy czytelników z politycznem położeniem Jerozolimy, poprowadzimy go teraz do ogrodu, zdobiącego jeden z pałaców, na górze Syjon.

Skwarny dzień lipcowy miał się ku schyłkowi. W ogrodzie otoczonym budowlami, z jednej stro-

ny ciągnęły się galerje i altany. Trawniki, krzewy i drzewa tworzyły śliczny krajobraz. Na środku, z marmurowego basenu tryskała fontanna, opodal której, w cieniu cedrów i palm, siedziało dwu dorodnych młodzieńców, w wieku od 17 do 19 lat.

Na pierwsze wejrzenie można ich było wziąść za braci, i w samej rzeczy, z czarnych włosów, ciemnych oczu i śniadej cery, byli do siebie podobni.

Starszy z nich, ubrany w fałdzistą tunikę, siedział z odkrytą głową na swym błękitnym płaszczu, który był rozesłał.

Jego tunika z miękkiej wełnianej popielatej tkaniny, obramowana ponsowym haftem, wskazywała, że młodzieniec ten jest rzymianinem.

Nic dziwnego, że słowa jego tchnęły częstokroć dumą, pochodził bowiem z możnej i dostojnej rodziny, co w owym czasie nadawało wszelkiego rodzaju prawa.

Już w wielkich wojnach za pierwszego cesarstwa, ród Messala bardzo się odznaczył.

Późniejszy cesarz, Oktawian August, pomny na zasługi Messalów, nadał im najwyższe godności.

Gdy Judea stała się prowincją państwa rzymskiego, jeden z Messalów wysłany do Jerozolimy, w charakterze poborcy podatków, zarówno jak arcykapłan, mieszkał w pałacu królewskim.

Synem owego Messali, był właśnie powyżej opisany młodzieniec, któremu wysokie stanowisko ojca zawróciło głowę.

Towarzysz jego, szczuplejszej postaci, był przyodziany w białą lnianą szatę. Znawca narodowości, odrazu byłby go wziął za żyda.

Jak rzymianin miał czoło wysokie a wązkie, orli nos spiczasty, wargi cienkie i oczy zimne pod brwiami ukryte, tak znów u młodego izraelity czoło było szerokie i nizkie, nos długi, kształtny, wargi pełne, podbródek okrągły, policzki ściągłe.

Rzymianina klasyczna twarz wyrażała siłę, a żyda kraśniejące oblicze tchnęło słodyczą.

— Więc nowy prokurator spodziewany jest jutro? — zapytał młodszy z dwóch przyjaciół w języku greckim, który był wówczas rozpowszechniony w wyższych sferach żydowskich.

— Tak, jutro! — odrzekł Messala.

— Kto ci to powiedział?

— Izmael, nowy namiestnik pałacowy, a po waszemu mówiąc, arcykapłan, udzielił wczoraj tej wiadomości mojemu ojcu. Dziś rano, to znowu dowiedziałem się od pewnego pułkownika, że już rozpoczęto przygotowania: wojownicy czyszczą broń i pozłacają orły; pakują się także na pogotowie.

Po chwili milczenia, rzymianin mówił dalej:

— Niegdyś, pożegnaliśmy się z sobą w tym ogrodzie. Ostatnie słowa twoje były: „Pokój z tobą!“ Jam odpowiedział; „Oby cię bogowie strzegli! — Jak to dawno temu?

— Pięć lat! — odpowiedział żyd, z zadumą wpatrując się w wodotrysk.

— Masz za co dziękować bogom — jeśli mi wolno tak się wyrazić. Wspaniale wyrosłeś; grecy nazwaliby cię pięknym.... Ale powiedz mi Judo, dlaczego cię tak bardzo interesuje przyjazd prokuratora?

Juda musiał nieżauważyć tego pytania, wpatrzywszy się bowiem w przyjaciela, ujął go za rękę i rzekł:

— Tak, pięć lat! Nie wyszło mi z pamięci nasze pożegnanie. Tyś się udawał do Rzymu, byłem obecny twemu odjazdowi i płakałem, bom cię kochał. Lata szybko mijały... powróciłeś uczony, wykwintny, mówię to bez żartu, a jednak wolałbym w tobie ujrzeć dawnego Messalę.

— Przyjacielu mój, co znaczy ten uroczysty nastrój? Alboż ja nie jestem tym samym Messalą, który się z tobą żegnał? Pewien słynny filozof powiedział: „Zrozumiej przeciwnika, zanim mu odpowiesz", wytłomacz mi się więc jaśniej, żebym cię zrozumiał.

Młodzieniec usłyszawszy drwiące słowa rzymianina, zarumienił się i spuścił oczy; odpowiedział mu jednak pewnym głosem:

— Widzę, żeś umiał spożytkować pobyt w Rzymie. Celujesz logiką i krasomówstwem, ale słowa twoje kryją żądło. Gdy mój Messala odjeżdżał, mowa jego nie wydzielała jadu, za nic w świecie nie byłby on zranił przyjaciela.

Rzymianinowi pochlebiły te słowa i wyżej jeszcze podniósł dumną głowę.

— Judo, wszak ty nie wierzysz w wyrocznie, porzuć więc ten uroczysty ton, i powiedz po prostu, czem cię obraziłem?

Juda westchnął głęboko i poprawiając na sobie szatę, mówił:

— Ja także nauczyłem się niejednego przez ciąg tych pięciu lat, wprawdzie Hillela nie można równać z twoimi logikami, a Symeon i Szamaj nie są tak rozgłośni, jak twoi mówcy z forum, — ale ich nauki nie sprowadzają na manowce i kto u ich stóp zasiada, ten wstaje wzbogacony wiedzą o Bogu, o zakonie i dziejach Izraela. Owocem ich nauk jest miłość i cześć dla wszystkiego, co się do tej wiedzy odnosi. W wielkiem kolegjum nabrałem przekonania, że Judea nie jest dziś tem, czem niegdyś była. Umiem poznać różnicę pomiędzy wolnem królewstwem i zależną prowincją, jaką Judea stała się obecnie i byłbym nędzniejszym, nikczemniejszym od samarytanina, gdybym nie czuł upadku mojej ojczyzny. Izmael nie jest uprawnionym arcykapłanem i nie może nim być dopóki Annasz żyje. Wszakże to lewita, z pokolenia, które od tysięcy lat nieprzerwanie służyło Panu, według naszej wiary i naszego zakonu Jego.

Messala przerwał mu szyderczym śmiechem.

— O, teraz rozumiem ciebie! Izmael jest według ciebie nieprawym przywłaszczycielem. Wy żydzi, jesteście wszyscy tacy. Ludzie i rzeczy, Niebo i ziemia — zmieniają się: ale żyd nigdy! On nigdy nie idzie naprzód i nie cofa się, on jest takim dziś,

Ponieważ, dla lepszego zrozumienia naszej opowieści, czytelnik winien się zapoznać z ową dzieweczką, dorzucimy tu parę szczegółów o rodzinie Hurów.

Herod, w szczodrobliwości swojej, wzbogacił wiele rodzin. Jeśli łasce jego zawdzięczał fortunę słynny potomek którego z pokoleń, zwłaszcza też pokolenia Judy, szczęśliwy wybraniec losu był zaliczany do książąt Jerozolimskich. Dostojeństwo to zapewniało mu cześć mniej uprzywilejowanych ziomków i poszanowanie—jeśli nie co więcej—ze strony pogan, z którymi wiązały go stosunki towarzyskie lub interesa.

Nikt z tej klasy nie zjednał sobie tak wysokiego uznania w prywatnem i publicznem życiu, jak ojciec Judy i Tirzy. Pamiętając zawsze o swej narodowości, był jednak szczerze oddany królowi i służył mu wiernie tak w kraju jak i za granicą. Wysłany do Rzymu w ważnych sprawach, zwrócił na siebie uwagę Augusta i zjednał sobie szacunek jego i przyjaźń. Ztąd w jego domu było mnóstwo wspaniałych, iście królewskich darów, jakoto: togi purpurowe, krzesła z kości słoniowej, złote *pateroe*, których największą wartość stanowiło to, że pochodziły z rąk monarszych. Taki człowiek musiał być bogaty, ale nie cały majątek zawdzięczał hojności panującego. Chętnie stosując się do zakonu, nakazującego każdemu izraelicie obrać jaki zawód, miał niejedno przedsiębiorstwo, ale kilka. Hodował trzody na równinach i wzgórzach, aż po góry Libanu; założył wiele

domów handlowych w miastach nadmorskich i we wnętrzu kraju. Z hiszpańskich kopalń, największych, jakie wtedy znano, własne okręty spławiały mu srebro, a karawany dwa razy do roku przywoziły ze wschodu tkaniny jedwabne i bakalje.

Jako gorliwy wyznawca mojżeszowej wiary, często bywał w synagodze i w świątyni, gruntownie znał księgi święte; poszukiwał też towarzystwa uczonych doktorów i dla Hillela miał szacunek, graniczący ze czcią. Jednakże nie był seperatystą: każdego cudzoziemca, z jakiegobądź kraju, przyjmował gościnnie. Faryzeusze oskarżali go nawet o to, że sadzał samarytanów za swym stołem. Gdyby był poganinem i żył dłużej, dałby się poznać światu jako współzawodnik Heroda Attikusa, ale właśnie na jakie 10 lat przed tym drugim okresem naszej opowieści, w kwiecie wieku zginął na morzu, przez całą Judeę żałowany.

Znamy już dwóch członków rodziny Hura: wdowę jego i syna; drugiem dziecięciem była córka, ta, którą widzieliśmy śpiewającą bratu.

Tirza była zupełnie podobna do Judy. Tak samo jak on, miała rysy regularne, typowo żydowskie, i tchnące wdziękiem dziecięcej niewinności. Ubrana była po domowemu, w szatę bez rękawów, zapiętą na prawem ramieniu i ujętą paskiem. Główkę pokrywała jedwabna czapeczka; na tej zaś był pięknie haftowany i w drobne fałdki ułożony pasiasty zawój z tego samego materjału. Zdobiły ją też złote kol-

czyki, pierścionki, naramienniki, bransoletki i naszyjnik z misternych łańcuszków, zakończonych wisiorkami z pereł. Rzęsy miała podczernione, a paznokcie i końce palców pomalowane na różowo.

Długie warkocze spadały na plecy; na skroniach zaś wiły się dwa loczki. Dzieweczka ta pociągała ku sobie wdziękiem i krasą młodzieńczą.

— To ładna piosenka, bardzo ładna!—odezwał się Juda z ożywieniem;—ale jest w rodzaju greckich pieśni... Gdzieżeś się jej nauczyła?

— Pamiętasz tego greka, który w przeszłym miesiącu występował w teatrze? Podobno był to nadworny śpiewak Heroda i jego siostry, Salomei. Chociaż wyszedł na scenę zaraz po walce atletów, kiedy cała sala była jeszcze pełna wrzawy, gdy zaczął śpiewać, nastała odrazu taka cisza, że mnie dochodziło każde słowo. Wtedy to nauczyłam się tej piosenki.

— Ależ on śpiewał po grecku...

— A ja śpiewam ją po hebrajsku.

— Dumny jestem z ciebie, siostrzyczko. Czy nie umiesz więcej takich?

— Owszem, ale teraz nie będę śpiewała. Amra poleciła mi powiedzieć, że ci tu przyniesie śniadanie i że nie potrzebujesz schodzić na dół. Za chwilę nadejdzie. Mówiła mi, żeś chory i że miałeś wczoraj jakiś straszny wypadek... Cóż to było? Powiedz... będę cię leczyła razem z Amrą. Ona zna tylko leki egipcyan, którzy byli zawsze gromadą głupców, ale ja mam dużo recept arabów...

— Którzy jeszcze głupsi od egipcyan, — rzekł Juda, potrząsając głową.

— Tak sądzisz? A więc bardzo dobrze,—odpowiedziała, sięgając do lewego ucha.—Nie będziemy się do nich uciekali. Mam tu rzecz daleko lepszą i skuteczniejszą... Ten oto talizman. Dawno już, tak dawno, że nawet nie wiem kiedy, jeden z naszych przodków otrzymał go od czarodzieja perskiego. Patrz, napis już prawie zatarty.

Dziewczę podało kolczyk bratu; ten, wziął go, obejrzał i zwrócił ze śmiechem.

— Choćbym był umierający, moja Tirzo, nie użyłbym tego amuletu. To relikwja po bałwochwalstwie, zakazana dla prawowiernych synów i cór Abrahama. Weź ten kolczyk, ale go nie noś.

— Zakazana! Bynajmniej! Wszakże matka naszego ojca nosiła go całe życie, w sabaty... i uleczył on dużo osób, nie wiem ile, ale więcej niż trzy. Patrz, jest na nim znak rabbiego.

— Nie wierzę w amulety.

Spojrzała z zadziwieniem na brata.

— Coby Amra na to powiedziała?

— Rodzice Amry byli egipcjanami.

— A Gamaliel?

— On je nazywa bezbożnemi wymysłami niedowiarków i szechemitów.

Tirza zafrasowana spoglądała na kolczyk.

— Cóż ja mam z nim zrobić?

— Noś go, droga siostrzyczko... Jest ci w nim

do twarzy, zdobi cię. Chociaż w moich oczach jesteś ładną i bez kolczyka.

Zadowolona z pochwały, włożyła dzieweczka amulet w ucho, właśnie w chwili, kiedy Amra weszła do namiotu, niosąc na tacy miskę z wodą i ręczniki.

Ponieważ Juda nie należał do sekty faryzeuszów, umywanie się nie kosztowało go wiele czasu i zachodu. Służebnica odeszła zaraz, a Tirza wzięła się do trefienia włosów bratu. Ile razy udał jej się loczek, odpinała metalowe lusterko wiszące jej u pasa, zwyczajem ówczesnych młodych izraelitek, i podawała mu je, żeby się przyjrzał sobie i pochwalił jej dzieło.

Podczas tego zajęcia rozmawiali dalej:

— Cóż ty na to, Tirzo... ja wyjeżdżam...

Dziewczę opuściło ręce z zadumieniem.

— Wyjeżdżasz! Dokąd? Kiedy? Po co?

Juda roześmiał się.

— Trzy pytania jednym tchem! Jakaż ciekawa z ciebie istotka!—zawołał i dodał poważnie:—Jak ci wiadomo, prawo wymaga, żebym obrał jaki zawód. Zacny nasz ojciec dał mi z siebie przykład w tym względzie. Nawet tybyś mną pogardzała, gdybym trwonił bezczynnie owoce jego pracy i wiedzy. Udaję się do Rzymu.

— Ach, ja pojadę z tobą!

— Nie, ty musisz zostać z matką. Gdybyśmy ją oboje opuścili, gotowaby to przypłacić życiem.

Twarz dzieweczki zasępiła się.

— Masz słuszność!.. Ale czy to konieczne, żebyś

wyjechał? Tu w Jerozolimie możesz się nauczyć wszystkiego, co potrzeba, żeby zostać kupcem; wszakże ten zawód obierasz?

— Nie. Prawo nie nakazuje, żeby syn koniecznie był tem samem, co ojciec.

— Czemże ty innem możesz być?

— Żołnierzem,—odpowiedział Juda z pewną dumą.

Tirzie łzy stanęły w oczach.

— Zabiją cię...—rzekła stłumionym głosem.

— Ha, trudno... jeśli taka będzie wola Boża... Ależ nie wszyscy żołnierze giną na wojnie, moja Tirzo.

Zarzuciła mu ręce na szyję, jakby chcąc go zatrzymać w ten sposób przy sobie.

— Tacyśmy tu szczęśliwi! Zostań w domu, braciszku...

— Nie można siedzieć całe życie w domu. Nawet ty opuścisz go niebawem.

— Nigdy!

Judę pobudziło do śmiechu to jej zapewnienie.

— Wkrótce, jaki książe judzki, lub inny z którego z pokoleń, przybędzie tu starać się o rączkę mojej Tirzy i powiezie ją potem do innego domu, który stanie się blaskiem i chwałą. Cóżby było wtedy ze mną?

Tirza rozpłakała się.

— Wojna jest rzemiosłem,—mówił dalej Juda,—

chcąc się go dobrze wyuczyć, trzeba pójść do szkoły; najlepszą szkołą obóz rzymski.

— Ale nie będziesz walczył za Rzym?—zapytała drżącym głosem.

— I ty także—nawet ty nienawidzisz Rzym? Cały świat go nienawidzi. Dlatego właśnie, moja Tirzo, będę walczył za Rzym, żeby się od niego nauczyć, jak walczyć kiedyś przeciw niemu.

— Kiedy wyjeżdżasz?

W tej chwili dały się słyszeć kroki powracającej Amry.

— Ciszej!—szepnął—nie trzeba, żeby Amra wiedziała...

Wierna sługa wniosła śniadanie na tacy i postawiła ją na stoliku przed nimi; poczem, z białemi ręcznikami w ręku, stanęła, żeby posługiwać. Właśnie kiedy umoczyli palce w naczyniu z wodą, zwrócił ich uwagę jakiś hałas; wsłuchawszy się, rozpoznali wojskową muzykę na ulicy, w północnej stronie domu.

— Żołnierze z Praetorium! Muszę ich zobaczyć! —zawołał Juda, zrywając się z sofy, i wybiegł.

Po chwili, oparty o balustradę dachu, na północnym krańcu, tak był wpatrzony, że nie spostrzegł, iż Tirza nadeszła i oparła rączkę na jego ramieniu.

Dach, na którym stali, górował nad innemi, mogli więc sięgać wzrokiem aż do wieży Antonia, położonej na wschodzie. Ulicę, szeroką na jakie 10 stóp, w wielu miejscach pokrywały mosty, na których, jak i na sąsiednich dachach, zaczęli się gromadzić ludzie—

mężczyzni, kobiety i dzieci—zwabieni muzyką a raczej ogłuszającym dźwiękiem trąb i krzykliwych tonów drewnianych dętych instrumentów, tak miłych dla żołnierskiego ucha.

Kohorta po chwili ukazała się oczom dwojga młodych Hurów. Najpierw przednia straż, po większej części uzbrojona w łuki i proce, szła w szerokich odstępach; za nią postępował oddział piechoty z dużemi tarczami i długiemi włóczniami, jakich używano w potyczkach pod Ilium. Po piechocie szła muzyka. Następnie jechał oficer z orszakiem konnych. Dalej, uzbrojona w ciężkie miecze piechota, ciągnęła się bez końca, zajmując całą szerokość ulicy.

Juda doznał silnego wrażenia na widok muskularnych członków tych ludzi, miarowego ruchu tarcz z prawej ku lewej stronie, błyszczących sprzączek, pancerzy i hełmów,—pióropuszów, chorągwi i kopij. Jednakże uwagę jego pochłaniał głównie orzeł legjonu—złocona podobizna, zatknięta na wysokim drzewcu —i wódz, otoczony oddziałem wojska. Ów legjonista jechał w pełnej zbroi, z odkrytą głową, w wieńcu wawrzynowym zamiast hełmu. U boku wisiał mu krótki miecz; w ręku trzymał buławę, podobną zdaleka do zwoju białego papieru. Koń jego był przykryty ponsowem suknem w miejscu siodła, uzdę miał ze złotem wędzidłem, cugle żółte jedwabne.

Jeździec był jeszcze daleko, kiedy Juda zauważył, że samo ukazanie się jego jątrzy zgromadzonych ludzi. Wychylając się za balustradę, lub stojąc

w zuchwalej postawie, grozili mu pięścią, ścigali go krzykami, pluli nań, gdy przejeżdżał pod mostami. Nawet kobiety rzucały sandały,—czasami tak zręcznie, że trafiały w niego. Gdy się gromadka konnych zbliżyła, słychać było wyraźne krzyki: Rabusiu! Tyranie! Psie rzymski! Precz z Izmaelem! Przywróćcie nam Annasza!

Nie uszło §i to uwagi Judy, że wódz nie okazywał tak dumnej obojętności, jak żołnierze. Twarz miał posępną i od czasu do czasu rzucał na prześladowców tak groźne spojrzenia, że lękliwsi cofali się przed niemi.

Młodzieniec nasz wiedział, że podług zwyczaju, sięgającego czasów pierwszego cezara, naczelni wodzowie ukazywali się publicznie uwieńczeni wawrzynem —poznał więc, że świetnym legjonistą jest—Walerjusz Gratus, nowy prokurator Judei!

Prawdę mówiąc, niespodzianie napastowany rzymianin zbudził współczucie w sercu młodego żyda. Gdy podjechał pod węgieł domu, Juda wychylił się jeszcze bardziej za balustradę, żeby go zobaczyć, i czyniąc to, oparł się o pękniętą cegłę, która pod tym naciskiem oberwała się. Młodzieniec zadrżał z przerażenia i wyciągnął rękę, żeby chwycić cegłę: wyglądało to, tak, jak gdyby coś rzucał. Gdy nietylko nie złapał cegły, ale mimowolnym ruchem zepchnął ją z dachu, wyrwał mu się krzyk trwogi. Żołnierze ze straży spojrzeli w górę; spojrzał także i prokurator.

W tej chwili trafiła go cegła w samą skroń i, jak martwy, spadł z konia.

Kohorta zatrzymała się; straż, zeskoczywszy z koni, pospieszyła zasłonić go tarczami. Z drugiej strony, świadkowie tego zdarzenia, nie wątpiąc, że młody izraelita z umysłu cisnął cegłę, zaczęli wydawać okrzyki radości, gdy się wychylił za balustradę. Zdrętwiał on z przestrachu; stanęły mu bowiem na myśli następstwa mimowolnego czynu.

Jakiś duch złośliwości powiał z zadziwiającą szybkością z dachu do dachu i ogarnął całą ludność. Wszyscy, ulegając jednemu popędowi, zaczęli obrzucać legjonistów cegłą z balustrad i gliną paloną, z której, po większej części, były robione dachy.

Powstała bójka, i naturalnie—żołnierze odnieśli zwycięstwo.

Juda odwrócił się od balustrady z twarzą śmiertelnie bladą.

— O, Tirzo, Tirzo! co z nami będzie...

Tirza, stojąc za bratem, nie widziała, że spadła cegła; nie mogła przeto wiedzieć, co spowodowało wrzawę i zgiełk. Nie wiedziała też, że niebezpieczeństwo grozi jej ukochanemu bratu.

— Co się stało? Co to wszystko znaczy?—zapytała, strwożona nagle.

— Zabiłem namiestnika rzymskiego. Cegła spadła mu na głowę.

Twarzyczka jej zbladła w jednej chwili, jak ściana. Objąwszy go ramieniem, w milczeniu patrzy-

ła mu w oczy. Juda, spostrzegłszy jej trwogę, w jednej chwili zapanował nad sobą.

— Jam tego nie zrobił umyślnie, Tirzo, to się stało przypadkiem,—rzekł spokojniej.

— Co oni nam zrobią?—zapytała zdławionym głosem.

Juda wychylił głowę, żeby się przyjrzeć tłumowi, który w mgnieniu oka wzmógł się na ulicach i na dachu. Naraz przypomniał sobie groźną minę Gratusa. Jeśli on żyje—jak daleko zajdzie w swej zemście? A jeśli zabity, do jakich wybuchów wściekłości doprowadzi legjonistów ta rozszalała tłuszcza? Wychyliwszy się raz jeszcze przez balustradę, zobaczył, że przyboczna straż rzymianina sadza go znowu na koń.

— On żyje, Tirzo, żyje! Niech będzie błogosławiony bóg ojców naszych!

Wydawszy ten okrzyk, z rozjaśnioną twarzą cofnął się i odpowiedział na jej pytanie:

— Nie lękaj się, Tirzo. Wytłomaczę im, jak się to stało... Przypomną sobie zasługi naszego ojca i nie zrobią nam nic złego.

Właśnie kiedy prowadził siostrę do namiotu, dach zadrżał pod ich nogami, rozległ się trzask wyrywanych belek i drzwi, a potem krzyk trwogi doszedł z pałacowego dziedzińca.

Juda stanął i słuchał.

Krzyk powtórzył się... potem było słychać kroki ludzkie i wściekłe głosy pomieszane z błagalnemi...

potem znowu krzyki przerażonych kobiet. Żołnierze cofnęli się do północnej bramy i opanowali dom.

Judą owładnęło to straszne poczucie, że polują na niego. Pierwszą jego myślą było uciec. Ale dokąd? Jedne tylko skrzydła mogłyby go wyratować. Tirza, zalękniona, schwyciła go za ramię.

— Judo! Co to znaczy?

Mordowano służących na dole... a matka? Czy to nie jej głos słychać?

— Zostań tu i zaczekaj na mnie, Tirzo... Pójdę zobaczyć, co się dzieje, ale wrócę do ciebie,—rzekł, siląc się na spokojną mowę.

Głos Judy był jednak mniej pewny, aniżeli pragnął.

Tirza przytuliła się do brata.

W tejże chwili wyraźnie doszedł ich uszu krzyk matki. Tak... to niewątpliwie jej głos. Juda przestał się wahać.

— Idźmy!—zawołał.

Zbiegli oboje z siostrą ze wschodów. Taras był już zajęty przez żołnierzy. Pełno ich także wbiegało z obnażonemi mieczami do pokojów, lub wybiegało na dziedziniec. W jednym kącie podwórza, gromadka niewiast, na klęczkach, tuliła się do siebie, albo też błagała o litość. W drugim końcu, kobieta w podartej szacie, z włosem rozwianym na twarzy, wydzierała się z rąk żołnierza. Jej krzyki były najgłośniejsze ze wszystkich. Pomimo panującego zgiełku, przedzierały się aż na dach. Juda, jak na skrzydłach

poleciał do niej, wołając: Matko, Matko!—Wyciągnęła ręce... Miał już za nie schwycić, kiedy go ktoś porwał i odrzucił na bok. Potem usłyszał jakiś głos:

— To on!

Juda obejrzał się i zobaczył—Messalę.

— Jakto, ten chłopiec ma być zbrodniarzem?—zapytał ze zdziwieniem ów legjonista w świetnej zbroi.

— O bogowie!—odezwał się Messala, nie zapominając zwykłej swady,—to jakaś nowa filozofja. Cóżby Seneka powiedział na to twierdzenie, że tylko stary człowiek zdola tak nienawidzieć, żeby aż zabić. Macie zbrodniarza, macie tu oto jego matkę, tam siostrę... więc cała rodzina jest pod ręką.

Przez miłość dla matki i siostry, Juda nie dochodził doznanej urazy.

— Ratuj, drogi Messalo! Przez pamięć na dziecięce lata nasze, ratuj je! Ja... Juda... proszę cię o to!

Messala udał, że nie słyszy.

— Nie mogę wam tu już być na nic przydatny, a na ulicy idzie lepsza zabawka,—odezwał się do legjonisty i odszedł.

Juda zrozumiał jego słowa i w głębi zgorzkniałej duszy przesłał niebiosom tę modlitwę:

— W godzinę zemsty twej, o Panie! pozwól, by go moja ręka dosięgła!

Przedarł się z wielkim trudem do legjonisty i rzekł:

— O, panie... kobieta, której krzyki słyszysz, jest moją matką. Miej litość nad nią, miej litość nad

siostrą moją. Bóg jest sprawiedliwy... On ci odpłaci miłosierdziem za miłosierdzie.

Legjonista zdawał się wzruszony.

— Odprowadzić kobiety do twierdzy!—zawołał, —ale nie robić im krzywdy! Odpowiecie mi za nie! a zwracając się do ludzi, którzy wiązali Judę, rzekł: Skrępujcie mu ręce i wyprowadźcie go na ulicę. Kara już postanowiona.

Matkę wyniesiono, a mała Tirza, przerażona, szła potulnie za swoją strażą. Juda rzucił na nie ostatnie spojrzenie, poczem zasłonił twarz rękami. Może ronił łzy, ale ich nikt nie widział.

Te krótkie chwile wystarczyły, żeby w duszy jego nastąpił zupełny przewrót. Dotąd, prócz dziecinnych nieco skłonności do ambicji, gościła w niej tylko miłość dla matki i siostry, ale teraz—gdy podniósł głowę i wyciągnął ręce, by je skrępowano, znać było, że z dziecka stał się odrazu mężczyzną.

Na dziedzińcu zagrzmiała trąba: żołnierze, usłyszawszy hasło, wychodzili z galeryj. Lękając się stanąć w szeregach z łupami w ręku, rzucali je na ziemię, tak, że niebawem zasłana była różnemi kosztownościami. Gdy Juda zszedł na dół, już były uformowane szeregi żołnierzy, i oficer czuwał nad wykonaniem ostatniego rozkazu.

Matkę, siostrę i wszystkich domowników wyprowadzono północną bramą, w której gruzy tamowały przejście. Krzyki służących, po większej części urodzonych w tym domu, sprawiały silne wrażenie. Kie-

dy nakoniec wypędzano konie i bydło za wrota, Juda zmiarkował, w jaki sposób zemści się prokurator. Sam gmach tylko pozostał i, o ile rozkaz ten mógł być wykonany, żywa dusza nie miała zostać w jego murach. Jeśliby się znaleźli kiedy w Judei szaleńcy, którzyby zdjęci rozpaczą, pokusili się zamordować rzymskiego namiestnika, to historja upadku książęcej rodziny Hurów, była dla nich przestrogą, a zwaliska ich pałacu podtrzymywałyby tę tradycję.

Na ulicy bójki prawie już ustały. Tumany kurzu, kłębiące się nad domami, wskazywały, gdzie walka wre jeszcze. Kohorta stała po większej części spokojnie, przejęta tem błogiem uczuciem, że nie straciła blasku i znaczenia.

Juda, zbyt zaniepokojony o swą rodzinę, żeby myśleć o własnym losie, wpatrywał się gorączkowo w gromadę niewolników, napróżno szukając wśród nich matki i Tirzy.

Nagle, kobieta leżąca na ziemi zerwała się i z błyskawiczną szybkością pomknęła do bramy. Kilku ze straży podbiegło, chcąc ją schwytać; gdy im się to nie udało, wybuchł dokoła głośny śmiech. Kobieta przypadła do nóg Judy i objęła jego kolana.

— Poczciwa moja Amro—rzekł do niej,—oby ci Bóg dopomógł... ja nie mogę.

Egipcyanka nie była w stanie przemówić.

Pochyliwszy się, szepnął jeszcze:

— Żyj, kochana Amro, dla Tirzy i dla mojej matki. One powrócą, i...

Jeden z żołnierzy odciągnął ję na bok; ale ona wyrwała mu się, i przez bramę, przez korytarz, wpadła na pusty dziedziniec.

— Puśćcie ją!—krzyknął legjonista,—opieczętujemy dom, niechaj w nim ginie z głodu.

Żołnierze wciąż uprzątali gruzy w bramie, a dokonawszy tego, przeszli do wschodniej strony domu, żeby i tam zaryglować wrota.

W tej chwili książęcy pałac Hurów stał się pustką. Kohorta pomaszerowała nakoniec z powrotem do miasta, gdzie prokurator był pozostał, żeby wypocząć i rozporządzić więźniami.

Nazajutrz oddział żołnierzy stanął przed opustoszałym pałacem. Wrota zostały opieczętowane, na murach zaś rozlepiono plakaty z napisem:

„To jest własność Cezara“.

Dumni rzymianie pewni byli, że to obwieszczenie będzie dostateczne.

Nazaret leżał na ustroniu; nie dziw przeto, że ukazanie się legjonistów sprawiło niezwykłe wrażenie na mieskańcach. Gdy jednak weszli na ulicę, ludność miejscowa zmiarkowała, jaki obowiązek spełniają. Miejsce obawy i nienawiści zajęła wtedy ciekawość. Pod jej to wpływem, wieśniacy, wiedząc że musi nastąpić przystanek u studni, w północnej stronie Nazaretu, pobiegli za legjonistami.

Głównie zajął ich uwagę więzień prowadzony pod tą strażą. Szedł on boso, z gołą głową, nawpół nagi; ręce miał z tyłu skrępowane rzemieniem, którego koń-

pod kopytami końskiemi, zasłaniała niby gęstą mgłą, zpoza której kiedy niekiedy tylko było go widać; wieśniacy dostrzegli jednak, że jest młody.

Dekurjon zatrzymał się u studni i wraz z większą częścią żołnierzy zsiadł z konia. Więzień padł na zapyloną drogę, osłupiały, niczego nie żądając, widocznie pozbawiony całkiem sił. Wieśniacy, zbliżywszy się, zobaczyli, że to dziecko prawie i chętnie daliby mu pomoc, ale żaden nie zdobył się na odwagę.

Kiedy tak stali zafrasowani, a żołnierze podawali jeden drugiemu dzbany wody, drogą z Sepphoris nadchodził jakiś człowiek. Jedna z kobiet ujrzawszy go, zawołała:

— Patrzcie! Oto idzie cieśla. Przynajmniej teraz dowiemy się czego.

Nadchodzący miał bardzo szanowną postać, Długie białe kędziory wymykały mu się z pod turbanu, a srebrzysta gęsta broda pokrywała cały przód grubej szaty. Szedł powoli, prócz tego bowiem że był stary, niósł kilka ciężkich narzędzi: hebel, piłę, siekierę, i widocznie odbył daleką drogę bez wypoczynku.

Zaciekawiony, co znaczy zbiegowisko, przystanął.

— O, rabbi, zacny rabbi Józefie!—zawołała kobieta, biegnąc ku niemu.—Jest tu jakiś więzień... Chodź się zapytać żołnierzy o niego, żebyśmy się dowiedzieli, kto on jest, w czem zawinił i co z nim zrobią?

Twarz rabbiego nie zdradziła żadnego wrażenia. Spojrzał na więźnia i zaraz przystąpił do dekurjona.

— Oby pokój Pana był z tobą!—rzekł poważnie.

— A z tobą, pokój bogów—odpowiedział oficer.

— Czy jedziecie z Jerozolimy?

— Tak.

— Wasz więzień jest młody.

— Latami, tak.

— Wolno się zapytać, czego się dopuścił?

— Zabójstwa.

Ludzie powtarzali sobie ze zdumieniem te słowa.

— Czy to syn Izraela?

— Żyd—sucho odpowiedział rzymianin.

Zachwiana litość odżyła na nowo w sercach zgromadzonych.

— O waszych pokoleniach nie wiem nic, ale mogę ci co powiedzieć o jego rodzinie,—mówił dalej dekurjon.—Możeś słyszał o księciu jerozolimskim, Hurze,—Ben-Hurze, jak go nazywano. Żył za czasów Heroda.

— Znałem go,—rzekł Józef.

— To jego syn.

Ze wszystkich piersi wyrwały się okrzyki: dekurjon pospieszył położyć im koniec.

— Onegdaj, na jednej z ulic jerozolimskich, o mało nie zabił dostojnego Gratusa—rzekł—rzucił weń cegłę z dachu jakiegoś pałacu—podobno jego ojca.

Nastąpiła przerwa w rozmowie, w czasie której nazareńczykowie patrzyli na młodego Ben-Hura, jak na dzikiego zwierza.

— Czy go zabił?—zapytał rabbi.

— Nie.

— Osądzony już?

— Tak, na dożywotnie galery.

— Oby go Bóg miał w swej opiece!—powiedział Józef, otrząsając się z dotychczasowej apatji.

W tej chwili, młodzieniec, który przyszedł razem z Józefem i dotąd stał ukryty za jego plecami, położył na ziemi niesioną siekierę i wziął z dużego kamienia, nieopodal studni, dzban wody. Zrobił to tak cicho, że zanim straż zdążyła przeszkodzić, pochylił się nad więźniem i dał mu się napić.

Łagodnie położona ręka na ramieniu nieszczęśliwego Judy, obudziła go ze snu. Zobaczył chłopca, mniej więcej w jego wieku, z twarzą okoloną rudawym włosem i z szafirowemi oczami, których spojrzenie było w tej chwili tak łagodne, pociągające, pełne miłości i świętej powagi, że tkwiła w nich siła nakazu i woli.

Młody żyd, w którego duszy doznana krzywda i udręczenia kilku dni i nocy, zrodziły taką żądzę zemsty,—zmiękł pod wpływem spojrzenia nieznajomego i stał się potulny jak dziecię.

Przytknąwszy usta do dzbana, pił chciwie i długo.

Żaden z nich nie rzekł ani słowa.

Gdy się Juda orzeźwił, ręka spoczywająca na je-

go ramieniu, oparła się na jego głowie i złożyła błogosławieństwo na zapylonych włosach.

Postawił potem dzban na kamieniu, i wziąwszy swą siekierę, powrócił do rabbiego Józefa.

Wszystkie oczy zwróciły się ku niemu—tak dekurjona jak i wieśniaków.

Gdy żołnierze wypoczęli, orzeźwili się wodą i napoili konie, kohorta puściła się w pochód. Ale usposobienie dekurjona uległo widocznej zmianie: sam podniósł więźnia z ziemi i pomógł mu usiąść na koniu za jednym z żołnierzy. Nazareńczycy powrócili do domów, a wraz z nimi poszli też rabbi Józef i jego uczeń.

Takieto było pierwsze spotkanie i rozstanie się Judy z synem Marji.

ROZDZIAŁ IX.

Miasto Mizenum, położone o kilka mil od Neapolu, dało swą nazwę wieńczącemu je pagórkowi. Dziś pozostały z niego tylko ruiny; jednakże roku pańskiego 24, do którego wypada nam przenieść czytelnika, Mizenum było jednym z najważniejszych punktów zachodniego brzegu Włoch. *

*) Należy pamiętać, że rząd rzymski miał dwa porty, w których wciąż stały dwie wielkie floty: Mizenum i Rawenna.

W powyżej wspomnianym roku, podróżny dążący do przylądka, w celu cieszenia się malowniczym widokiem, wszedłby na mur i odwrócony od miasta, miałby przed sobą zatokę neapolitańską, tak uroczą wtedy, jak za naszych czasów i widziałby to samo niezrównane wybrzeże, dymiący się wulkan, ciemno-błękitne niebo i fale Ischję i Kapri... Oko jego przenosiłoby się z jednego przedmiotu na drugi, po przez purpurowe powietrze. Nakoniec znużone... oczy bowiem mogą się tak samo przesycić pięknem, jak podniebienie słodyczami, padłyby na widok, którego nowożytny turysta nie może zobaczyć,—u stóp jego, kołysała się jedna część rezerwowanej floty rzymskiej, podczas gdy druga spokojnie stała na kotwicy.

Za owych czasów, bramą wybitą w murze opasującym miasto, wychodziło się na szeroką ulicę, przylegającą do morza.

W pewien wrześniowy poranek, rozmowa, prowadzona głośno na tejże ulicy, wyrwała z drzemki strażnika, czuwającego u bramy: spojrzał i zaraz zdrzemnął się znowu.

Nadchodziła gromadka, 20—30 osób, pomiędzy któremi było najwięcej niewolników, niosących pochodnie, które słabo płonęły, lecz zapełniały powietrze wonią indyjskich kadzideł. Panowie ich szli przodem, trzymając się pod rękę. Jeden z tych ostatnich, mający około 50 lat, trochę łysy, w wieńcu wawrzynowym na rzadkich włosach, był widocznie przedmiotem jakiejś owacji. Wszyscy mieli fałdziste togi z białej

wełnianej materji, szeroko oblamowane purpurą. Jedno spojrzenie wystarczało strażnikowi; poznał on, że są to patrycjusze, którzy odprowadzają przyjaciela na okręt, po nocnej zabawie.

Jeden z nich odezwał się do uwieńczonego wawrzynem:

— Mam żal do Fortuny, kochany Kwintusie, że cię nam tak prędko zabiera. Dopiero wczoraj powróciłeś z dalekiej podróży, a dziś chcesz nas znowu opuścić...

— Na Kastora! przestań biadać jak kobieta— przemówił inny,— nasz Kwintus chce tylko powetować sobie to, co stracił dzisiejszej nocy. Gra w kostki inaczej idzie na lądzie, aniżeli na okręcie... prawda, Kwintusie?

— Nie narzekajcie na Fortunę!—zawołał trzeci.— Bogini szczęścia nie jest ani ślepa, ani zła. Zabiera go często, ale każdy raz zwraca go nam okrytego nowemi laurami.

— To grecy zabierają go nam—dorzucił inny— narzekajmy na nich, nie na bogów. Ucząc się handlu, zapomnieli wojować.

Z temi słowy, gromadka, minąwszy bramę, wyszła na nadbrzeżną ulicę, gdzie się roztoczyła przed jej oczyma zatoka, oblana pięknem światłem porannem. Staremu marynarzowi plusk fal zadźwięczał w uszach, niby muzyka. Odetchnął głęboko: morskie powietrze znać milsze mu było od woni kadzideł. Podniósł rękę do góry.

— Patrzcie! — rzekł uroczyście,—wiatr wieje z zachodu... Dzięki ci, o Fortuno, matko moja!

Całe grono powtórzyło za nim ten okrzyk, a niewolnicy powiewali pochodniami.

— Oto zbliża się!—mówił dalej, wzkazując na przypływającą galerę.—Co żeglarzowi po innej kochance? Czy twoja Lukrecja ma piękniejsze ruchy, Kajusie.

Dumnem okiem śledził nadpływający statek: biały żagiel spuszczał się do niższego masztu; wiosła to się zagłębiały w wodzie, to się podnosiły, to chwilę zawisały na powierzchni, poczem znowu zanurzały się szybkim a jednozgodnym ruchem.

— Tak, oszczędzajcie bogów,—mówił dalej poważnie, wpatrując się w statek.—Oni nam zsyłają sposobności. Nasza to wina, gdy ich nie wyzyskujemy. Co się tyczy greków, to zapominasz, mój kochany Lentulusie, że rozbójnicy, na których mam robić obławę, są grekami. Jedno zwycięstwo odniesione nad nimi, więcej znaczy, aniżeli sto nad afrykańczykami.

— Więc wypływasz na Egejskie morze?

Żeglarz pożerał oczami statek.

— Jaki wdzięk, jaka swoboda ruchów! Ptak nie muska łacniej skrzydłem wzburzonej fali. Patrzcie! —rzekł, lecz natychmiast prawie dodał:

— Wybacz, drogi Lentulusie, nie odpowiedziałem ci na pytanie. Udaję się na morze Egejskie i ponieważ odjazd mój tak blizki, powiem wam cel tej po-

dróży,—tylko zatrzymajcie to w tajemnicy. Nie chciałbym, żebyście robili wyrzuty duumwirowi przy spotkaniu. To mój przyjaciel. Jak wiecie, handel pomiędzy Grecją a Aleksandrją jest niemal w takim rozkwicie, jak między Aleksandrją a Rzymem. Ludzie w tamtej części świata zapomnieli obchodzić święto cerealjów, za co Triptotenus odpłacił im się zbiorami, niewartemi żniwa. Bądź co bądź, handel tak się rozwinął, że nie można go zatamować ani na jeden dzień. Możeście też słyszeli o chersońskich rozbójnikach, którzy krążą po morzu Czarnem. Na Bachusa, nie ma większych śmiałków! Otóż przyszła wczoraj wiadomość do Rzymu że przepłynęli z flotą Bosfor, zatopili nasze okręty w Byzancjum i Chalcedonie, przebyli morze Marmora i żądni jeszcze łupów, puścili się na morze Egejskie. Kupców zbożowych, którzy mają okręta na wschodnio-śródziemnem morzu ogarnęła trwoga. Wyrobili sobie posłuchanie u samego cesarza i z Rawenny płynie dziś sto galer, a z Mizenum... —tu zawiesił głos, jak gdyby dla podniecenia ciekawości przyjaciół i po chwili dopiero dokończył,— a z Mizenum... jedna.

— Szczęśliwy Kwintusie, winszujemy ci! Witamy w tobie duumwira. Niewątpliwie czeka cię ten zaszczyt.

— Kwintus Arrjusz duumwir,—lepiej brzmi, aniżeli Kwintus Arjusz, trybun.

— Serdecznie dziękuję wam za życzenia! —odpowiedział Arrjusz wszystkim razem.—Gdybyście mieli

latarnie, nazwałbym was augurami. Posunę się dalej i dowiodę wam, że jesteście znakomici prorocy. Patrzcie—czytajcie!

Wyjąwszy z fałdów togi zwój papieru, podał go im, mówiąc:

— Otrzymałem to wczoraj wieczór przy stole, od—Sejanusa.

Imię to w rzymskim świecie było już wielkie, —wielkie i nie tak shańbione, jak w późniejszym czasie.

— Sejanus!—wykrzyknęli jednogłośnie, cisnąc się, żeby przeczytać, co napisał minister.

„Sejanus do C. Cecyljusza Rufusa, duumwira.

„Rzym, XIX Kal. Sept.

„Cezara doszły korzystne wieści o Kwintusie Arrjuszu, trybunie. W szczególności, słyszał o jego męztwie okazanem na morzach zachodnich. Wskutek tego, z woli cezara, Kwintus ma być przeniesiony niezwłocznie na wschód.

Jest to również wolą naszego Cezara, żebyś niezwłocznie uzbroił sto tryremów pierwszej klasy i wysłał je na morze egejskie przeciwko rabusiom morskim i żeby Kwintus Arrjusz objął kierunek nad pomienioną flotą.

Szczegółowe wykonanie rozkazu jest twoją rzeczą, mój kochany Cecyljuszu.

Sprawa to nagląca, jak się przekonasz z załączonych tu raportów dla wiadomości twojej i powyżej wzmiankowanego Kwintusa.

„Sejanus“

Arjusz, zajęty śledzeniem nadpływającego statku, mało uważał na czytanie. Na twarzy jego malował się entuzjazm. Nakoniec zaczął powiewać w górę togą swoją; w odpowiedzi na ten znak, na okręcie wywieszono czerwoną flagę. Następnie majtkowie rozwinęli wszystkie żagle, wiosła zaczęły uderzać o fale szybkim a miarowym ruchem, tak, że statek za chwilę mógł przybyć do przystani. Arjusz, rozpromienionem okiem przyglądał się tym manewrom.

— Na nimfy!—rzekł jeden z jego towarzyszów— już nie pora prorokować naszemu przyjacielowi, że się *stanie* wielkim, bo on już *jest* wielki. Cóż nam jeszcze powiesz?

— Nic więcej,—odpowiedział Arrjusz.—Nowina, której dowiedzieliście się przed chwilą, w Rzymie jest już wszystkim wiadoma; zwłaszcza też pomiędzy pałacem a Forum. Duumwir jest ostrożny. Bliższe wskazówki względem tego, co mam robić i gdzie znajdę swoją flotę, leżą teraz tam, na okręcie, w opieczętowanym pakiecie. Ale jeśli macie dziś składać ofiary na ołtarzach, to proście bogów za przyjacielem, który w tej chwili płynie z rozwiniętemi żaglami ku Sycylji... Ale oto i okręt!—zawołał—chcę się przyjrzeć, w jaki sposób przybije do przystani. Trudno to przy takich brzegach.

— Alboż nie znasz tego okrętu?

— Pierwszy raz go widzę i nie wiem nawet, czy znajdę na nim kogoś znajomego.

— Czy to dobrze?

— Na morzu łatwo się zawiązuje znajomość: tak miłość, jak i nienawiść marynarzy, rodzą się w chwili nagłego niebezpieczeństwa.

Galera, należąca do klasy *naves liburnicae*, była długa, wązka, zanurzała się głęboko, miała bieg szybki i łatwość zwrotów. Jej zgrabny przód, niby ostrym nożem pruł fale, które wzbijając się na kilka łokci, rozpryskiwały się z szumem na obie strony.

Wynurzający się z wody dziób statku, czyli *rostrum*, z mocnego drzewa i żelaza, służyć miał zarazem do obrony i do zaczepki. Wzdłuż boków okrętu wystawał silny gzyms, który zakończał pięknie rzeźbiony przedpiersień. Pod nim były trzy rzędy otworów, a każdy z nich przykryty klapą z wołowej skóry. W otworach tych chodziły wiosła. Było ich 60 po lewej, 60 po prawej stronie statku. Do ozdoby okrętu przyczyniała się jeszcze bogata rufa, nazywana *Caduci*. Dwie silne liny wyciągnięte na pokładzie wskazywały, że statek ma dwie kotwice. Proste urządzenie wierzchniego pokładu pokazywało, że wiosła stanowią główną siłę poruszającą statku. Na środku, ale trochę ku przodowi galery, wznosił się maszt, umocowany przy pomocy lin i podpór, a opatrzony w czworograniasty żagiel. Na pokładzie widać było tylko jednego człowieka; kilku zaś majtków znajdowało się na rei, do której przyczepiali żagiel. Dębowe wiosła, wypolerowane długiem użyciem i pumeksem, podnosiły się

i opadały, niby jedną ręką kierowane, a galera posuwała się tak szybko, jak się dziś posuwa parowiec.

Okręt podpłynął do przystani siłą tych poruszeń. Jakkolwiek jednak szybki i regularny był jego bieg, nieobeznani z rzeczami morskiemi przyjaciele trybuna, nie mogli się pozbyć pewnej obawy. Tymczasem mąż, stojący na przodzie statku, podniósł rękę do góry. Wszystkie wiosła podniosły się na komendę, zawisły na jakąś chwilę w powietrzu i znowu uderzyły o wodę. Fala zaszumiała i zapieniła się, galera drgnęła w swoich posadach i jakby z przestrachu, stanęła w miejscu. Na nowy znak ręką, drygawki znowu poszły w górę. Tym jednak razem prawe szeregi wioseł pchały statek naprzód, lewe zaś starały się go cofnąć. Po trzykrotnem powtarzaniu tego manewru, okręt skręcił się na swojej osi na prawo, wiatr przestał działać na żagiel i galera przybiła zwolna do brzegu. Zagrały trąby, załoga wystąpiła na pokład w paradnej formie. Miała ona bronzowe hełmy, błyszczące tarcze i przystrojone dziryty. Kiedy żołnierze formowali szyk bojowy, majtkowie wdrapywali się na maszt i ustawiali na rejach, oficerowie i muzykanci zajęli swoje miejsca, a wszystko działo się spokojnie, bez hałasu. Od statku rzucono pomost na tamę; wtedy to trybun z powagą, której dotąd nie okazywał, zwrócił się do towarzyszy i rzekł:

— Teraz zaczyna się obowiązek, druhowie moi.

I zdjąwszy wieniec z głowy, oddał go graczowi w kości, mówiąc:

— Bierz ten laur, szczęśliwy graczu... Jeżeli wrócę, odegram moje cystersy... Jeżeli nie zwyciężę, to i nie wrócę. Wieniec zawiesisz w swojem atrjum.

Uściskał ich kolejno.

— Niech cię bogowie strzegą, Kwintusie! — wołali.

— Bądźcie zdrowi!—odpowiedział i pokłonił się niewolnikom, którzy pochylili pochodnie.

Wszedł potem na okręt.

Gdy noga jego dotknęła pokładu, wrzasnęły trąby. Na przodzie zawisła flaga purpurowa, na znak, że na statku znajduje się komendant floty.

ROZDZIAŁ X.

Trybun, stojąc na pokładzie z odpieczętowanym rozkazem duumwira w ręku, zapytał *hortatora*, czyli nadzorcy wioślarzy:

— Z ilu ludzi składa się twoja załoga?

— Mam 252 wioślarzy i 10 nadliczbowych.

— Wiele zmian macie?

— Osiemdziesiąt cztery.

— Jak częste?

— Co dwie godziny.

Trybun zamyślił się.

— To urządzenie zanadto wyczerpuje siły; zmienię je, ale nie teraz jeszcze,—rzekł po chwili. Wiosła nie mogą odpoczywać ani w dzień, ani w nocy.

Potem zwrócił się do naczelnika obsługi żaglowej, mówiąc:

— Wiatr mamy pomyślny; trzeba, żeby pomagał wiosłom.

Gdy dwaj podwładni odeszli, ażeby wykonać otrzymane rozkazy, zapytał głównego sternika, zwanego rektorem:

— Od ilu lat służysz?

— Od 32-ch.

— Jakie morza znasz najlepiej?

— Wody pomiędzy Rzymem a wschodem.

— Takiego mi trzeba!

Trybun przeczytał raz jeszcze otrzymane rozkazy; poczem rzekł:

— Przez przylądek Kampanella udasz się do Messyny. Następnie będziesz się trzymał Kalabryjskich wybrzeży, dopóki Melito nie zostanie na lewo. Potem... Czy znasz gwiazdy świecące nad morzem jońskiem?

— Znam je dobrze.

— Z Melito zwrócisz się na wschód, ku Cyterze. Jeśli nam bogowie będą sprzyjali, to zarzucimy kotwicę dopiero w zatoce Antemony. Musimy się spieszyć. Liczę na ciebie.

Arrjusz był ostrożny, bardzo ostrożny, i nale-

żał do klasy tych ludzi, którzy składają obfite ofiary na ołtarzach w Praeneste i Antium; miał jednak to przekonanie, że łaski ślepej bogini zależą bardziej od starań i zręczności ofiarodawcy, aniżeli od jego darów i ślubów. Chociaż jako amfitrjon zabawy, oddawał się całą noc grze i pijatyce, powietrze morskie rozbudziło w nim odrazu poczucie obowiązku. Nie pozwolił sobie wypocząć, dopóki nie poznał swego statku. Rozpoczął od naczelnika żeglarzy, rozmówił się z nadzorcą żagli, ze sternikiem, z kucharzem; obejrzał pomieszczenie. Nic nie uszło jego uwagi. Dokonawszy przeglądu, znał już w ogólnych rysach powierzoną mu załogę, pozostawało mu tylko poznać osobiste przymioty jednostek. Ponieważ to zadanie było trudniejsze, zabrał się do niego na właściwy sobie sposób.

Około południa, galera zbliżała się już do Paestum. Wiatr zachodni pędził okręt w pożądanym kierunku. Rozstawiono straże. Na pokładzie zrobiono ołtarz i posypano go solą, oraz jęczmieniem. Trybun zanosił przed nim uroczyste modły do Jowisza, Neptuna i wszystkich bogów morza; a czyniąc śluby, wylewał wino i palił kadzidło. Po spełnieniu tego obowiązku, chcąc się lepiej przyjrzeć swoim ludziom, zasiadł w głównej kajucie.

Owa kajuta, zajmująca środek galery, miała szerokości 30 stóp, długości zaś 65. Światło wpadało do niej trzema dużemi otworami. Szereg słupów podpierał sklepienie. Po obu stronach każdego z tych otworów, prowadziły wschody na niższy pomost, od-

grodzony od nich drzwiami. Drzwi te były otwarte i wpuszczały powietrze. Na środku wznosiła się piramida toporów, włóczni i dzirytów, poopieranych o maszt.

Ta część statku była widocznie jego sercem. Służyła za sypialnię, jadalnię, miejsce do ćwiczeń i zabawy—jeżeli o zabawie mogła być mowa pod taką dyscypliną.

W tyle kajuty była platforma, na którą wchodziło się po kilku wschodach. Na platformie tej siedział hortator przed rodzajem skrzyni rezonansowej, o której wieko, drewnianym młotkiem wybijał takt wioślarzom. Z prawej strony miał on klepsydrę czyli zegar wodny, według którego luzował służbę. Nad nim, na wyższym pomoście, otoczonym piękną pozłacaną balustradą, miał stanowisko swoje trybun. Stało tam łoże, stół i *cathedra* czyli wyściełany fotel z wysokim grzbietem i z poręczami—wspaniały dar cesarski.

Ztamtąd to Arrjusz bacznie śledził załogę, nawzajem przez nią pilnie a znienacka śledzony. Krytycznem okiem przyglądal się wszystkiemu, ale najdłużej wioślarzom. Miał on przed sobą bardzo prosty widok: na pierwszy rzut oka zdawało się, że ławki wzdłuż kajuty, są do ścian okrętu przytwierdzone, ale przyjrzawszy się uważniej, przekonywano się, że są to rzędy ławek, wzniesionych jedne nad drugiemi, tak, że drugi znajdował się nad pierwszym, a trzeci nad drugim. Dla sześciu wioślarzy, po każdej stronie było 19 rzędów; 20-ty urządzono w taki sposób, że najwyższa ławka

znajdowała się nad najniższą pierwszego rzędu. Dzięki temu urządzeniu, wioślarze mieli swobodę ruchów, wyzyskiwali całą rozporządzalną przestrzeń i mogli miarowo uderzać wiosłami.

Na dwóch pierwszych kondygnacjach wioślarze siedzieli, na trzeciej zaś mieli dłuższe wiosła i stali. Górny koniec wioseł był wypełniony ołowiem; wisiały one na giętkich rzemieniach, które pozwalały utrzymywać równowagę, wymagając zarazem wielkiej zręczności. Gdy wioślarz nie był biegły w swej sztuce, zdarzało się często, że niespodziana fala porywała go i rzucała w morze, głową na dół. Otwory w bokach okrętu, przez które przechodziły wiosła, służyły zarazem do wpuszczania świeżego powietrza. Światło wpadało przez zakratowany pokład. Pod wielu względami położenie wioślarzy mogło przeto być gorszem, niemniej jednak nie było ono wcale przyjemne.

Grboowa cisza panowała pośród tych ludzi; co rano zajmowali oni swe miejsca, nie mówiąc do siebie ani słowa. Wiosłując, nie mogli oni widzieć twarzy jeden drugiemu. Spanie i jedzenie zapełniały krótkie chwile wypoczynku.

Porozumiewać się z sobą nie było im wolno. Nie śmieli się nigdy; nie słyszał nikt, żeby który z nich śpiewał. Na co się zdało mieć język, jeśli

uczucia można wyrażać tylko westchnieniem, lub jękiem, a więc w milczeniu. Życie tych biedaków podobne było do podziemnego strumienia, co powoli, z trudem bieży do ujścia, nie wiedząc, czy je kiedy znajdzie.

O, synu Marji! Dziś nawet wymiar sprawiedliwości oparty jest na miłosierdziu i tobie to zawdzięczamy! Ale w czasie, do którego się powieść nasza odnosi, używano więźniów do robót budowlanych, ulicznych, kopalnianych; galery wojenne i kupieckie pochłaniały ich także bez liku. Gdy Druiljusz wygrał pierwszą morską bitwę, rzymianie porzucili wiosła, — a chwała spadła zarówno na wioślarzy, jak i na marynarkę.

Powyżej wspomniane ławki świadczyły o mądrej polityce i o męstwie Rzymu, gdyż prawie wszystkich krajów synowie byli do nich przykuci. Po większej części znajdowali się tam jeńcy wojenni, wybrani z pośród najwaleczniejszych i najwytrwalszych. Tu siedział brytyjczyk, przed nim libijczyk, za nim mieszkaniec Krymu. W innej stronie scyt, gall, teb. Skazańcy rzymscy musieli żyć pospołu z gotami i longobardami, z żydami, etjopczykami i barbarzyńcami z wybrzeży Maeotisu. Tu siedział ateńczyk, tam rudy dzikus z Hiberji, dalej znowu modrookie pielgrzymy z Cymbrji. Wiosłowanie jest tak machinalną pracą, że nie zaspakajało potrzeb nawet ich niewykształconych umysłów. Praca ich o tyle mogła być skute-

czną, o ile była automatyczna. Nawet walka z morzem stała się raczej dziełem instynktu, aniżeli myśli. Wskutek długotrwałej służby, ci biedacy stali się bezdusznie posłuszni, cierpliwi, żyli tylko wspomnieniami, niespodziewając się niczego od przyszłości. Z czasem popadali w stan połowicznej nieświadomości: przywykli do swego nieszczęścia, zobojętnieli na cierpienie.

Trybun, siedząc na swym fotelu, godzinami obracał głowę w prawo i w lewo i dumał o wszystkiem, tylko nie o smutnej doli jeńców, siedzących na ławkach. Ich ruchy dokładne i zupełnie jednakie po obu stronach okrętu, po niejakiej chwili tak go znużyły swą monotonją, że dla rozrywki, zaczął się przyglądać wioślarzom, każdemu zosobna. Notując szczegółowe spostrzeżenia, myślał, czy w razie pomyślnego obrotu wyprawy, nie znajdzie pomiędzy rozbójnikami zdolniejszych ludzi do tego zajęcia.

Na galerze—jak w grobie, niewolnicy niepotrzebowali imion. Dla wygody, zazwyczaj nosili oni numer wymalowany na ławce, do której byli przykuci. Bystre oko wielkiego męża przenosiło się z numeru na numer, po obu stronach statku, a doszedłszy do 60, zatrzymało się na nim, jako na ostatnim.

Ławka nr. 60 była mało co wzniesiona nad poziom platformy i tylko na parę stóp od niej oddalona. Światło przedzierające się przez kraty pokładu, padało wprost na głowę wioślarza; trybun mógł mu się

więc dobrze przyjrzeć. Był on wysokiego wzrostu i jak wszyscy inni wioślarze, nawpół nagi. Miał najwyżej lat 20. Arjusz lubił nietylko grę w kości, ale i piękno fizyczne. Zapewne od jakiegoś filozofa przejął on to pojęcie, że siła zależy od jakości i ilości muskułów i że do ćwiczeń fizycznych prócz siły, potrzebna pewna inteligencja. Przyswoiwszy sobie tę ideę, starał się ją sprawdzać przy każdej sposobności.

Należy przyznać, że mu się rzadko zdarzało być tak zadowolonym z rezultatu spostrzeżeń, jak tym razem.

Gdy młodzieniec zagłębiał wiosło w wodzie, postać jego i twarz widzialne były z profilu, na platformie; gdy je zaś wyjmował, przegięty był w tył. Swoboda jego ruchów obudziła w trybunie podejrzenie, że jest niesumiennym w pracy; po chwili jednak przekonał się, że jej źródłem jest olbrzymia siła.

Po bliższem wpatrzeniu się, Arjusz zauważył, że wioślarz jest młody, że ma ręce może za długie trochę, ale zato dziwnie muskularne i że cała jego postać jest tak harmonijnie zbudowaną, jak nie zdarzyło mu się jeszcze widzieć.

Zaciekawiony jeszcze bardziej, zapragnął zobaczyć twarz wioślarza. Profil, wschodniego typu, był bardzo delikatny i nosił na sobie piętno żywej inteligencji.

Trybuna ciekawość wzrastała.

— Na bogów!—mówił do siebie,—ten chłopiec

podoba mi się... jest obiecujący... Muszę się dowiedzieć kto to taki.

W tejże chwili, wioślarz zwrócił właśnie głowę ku trybunowi i spojrzał nań.

— To żyd... i dziecko jeszcze... pomyślał Arrjusz.

Pod jego bystrem spojrzeniem, wielkie oczy niewolnika powiększyły się jeszcze bardziej, zaczerwienił się po uszy i trzon wiosła zadrżał mu w rękach. W tejże chwili, hortator gniewnie cisnął pałeczkę; wioślarz drgnął, odwrócił się od badawczego spojrzenia trybuna, jak gdyby osobiście potrzebował się kryć i puścił z rąk wiosło. Gdy spojrzał znowu na trybuna, zadziwił się jeszcze bardziej,—spotkał bowiem miły uśmiech na jego twarzy.

Galera wpłynęła tymczasem do cieśniny Messyńskiej i minąwszy miasto tejże nazwy, zwróciła się potem ku wschodowi. Odtąd, ile razy Arrjusz zasiadł na platformie, przyglądał się zawsze wioślarzowi i mówił do siebie: „To jakiś niepospolity chłopiec... Przecie żyd nie jest barbarzyńcą. Chciałbym się dowiedzieć bliższych szczegółów o nim.“

Czwartego dnia, galera owa, zwana *Astrea*, płynęła po morzu jońskiem. Niebo było jasne, wiatr pomyślny.

Ponieważ dogonić flotę nim wpłynie do zatoki wyspy Cytery, punktu zbornego dla okrętów rzymkich, było rzeczą możliwą, niecierpliwiący się trochę

Arjusz często przesiadywał na pokładzie. Bacznie przyglądał on się ruchowi, panującemu na okręcie, i w ogóle był zadowolony. Bujając się na katedrze, w swojej kajucie, wciąż myślał o wioślarzu nr. 60.

— Czy znasz tego chłopca, który wstał z tamtej ławki?—zapytał nakoniec pewnego razu hortatora.

W tej chwili właśnie luzowała się służba okrętowa.

— Numer 60?

— Tak.

Zapytany wpatrzył się bacznie w wioślarza, który właśnie przechodził.

— Jak wiesz,—odrzekł dozorca,—okręt nasz wyszedł dopiero przed miesiącem z rąk szkutników, załogę znam równie mało jak sam statek.

— On musi być żydem—zauważył Arrjusz.

— Szlachetny Kwintus jest domyślny.

— Bardzo młody jeszcze—mówił dalej trybun.

— Ale najlepszy z naszych wioślarzy.

— Jaki ma charakter?

— Posłuszny jest; więcej nic o nim nie wiem. Raz jeden odezwał się do mnie z prośbą.

— O co?

— Chodziło o to, żebym go stawiał kolejno z prawej i z lewej strony statku.

— Co go skłoniło do tego żądania?

— Zauważył, że ludzie, wciąż przykuci do jednego miejsca, wykoszlawiają się. Mówił także, iż

w razie burzy albo bitwy, może wypaść nagła potrzeba postawienia go na drugiej stronie statku, a przez brak wprawy nie byłby tam pożyteczny.

— *Perpol*! To dowcipny pomysł! Cóżeś więcej w nim zauważył?

— Jest schludniejszy od swoich towarzyszy.

— Prawdziwy z niego rzymianin,—rzekł Arrjusz z zadowoleniem—Czy wiesz co o jego przeszłości?

— Zgoła nic.

Trybun stał chwilę zamyślony, poczem miał już wrócić do swej kajuty, lecz zatrzymał się i rzekł:

— Jeśli znajdę się kiedy na pokładzie w czasie obluzu wioślarzy, przyślij go do mnie. Niechaj przyjdzie sam.

W jakie dwie godziny potem Arrjusz stał pod flagą okrętową. Był on w usposobieniu człowieka, który przewidując ważny wypadek, nie jest zdolny do żadnej roboty, bo czeka w usposobieniu, w jakie filozofja uzbraja wyrobionego przez siebie człowieka, w zupełnym spokoju. Sternik siedział na zwykłym posterunku. Kilku majtków spało w cieniu żagla, a na rei czuwał strażnik. Podnosząc oczy od kompasu, według którego kierowano się na morzu, spostrzegł Arrjusz podchodzącego ku niemu wioślarza.

— Dozorca nazwał cię szlachetnym Arrjuszem i powiedział, że chcesz, żebym tu przyszedł. Stawiam się więc na twe rozkazy.

Arrjusz z zadziwieniem spojrzał na wysmukłą i muskularną postać, stojącą przed nim. Przypomniała mu się arena. Pojawienie się młodzieńca inny jeszcze wpływ wywarło na rzymskim wodzu: ton jego głosu wskazywał, że przedtem upływało mu życie wśród uszlachetniających okoliczności; spojrzenie miał raczej ciekawe, aniżeli wyzywające. Pod badawczem bystrem okiem trybuna nie zmieszał on się wcale.

Na jego twarzy malował się tylko głęboki smutek.

Rzymianin, ujęty postawą i obejściem wioślarza, mówił do niego nie jak pan do niewolnika, lecz raczej jak starszy do młodszego towarzysza.

— Hortator powiedział mi, że jesteś najlepszym z jego wioślarzy.

— Hortator jest bardzo łaskaw!

— Czy dawno już służysz?

— Około trzech lat.

— Przy wiośle?

— Nie opuściłem ani jednego dnia.

— To ciężka praca. Mało kto wytrzyma ją dłużej niż rok,—a tyś jeszcze młodzieniaszek.

— Szlachetny Arrjusz zapomina, że wola tak dalece hartuje ciało, iż przy jej pomocy, słaby częstokroć znosi to, czemu nie podoła silny.

— Znać z twej mowy że jesteś żydem.

— Moi przodkowie byli hebrajczykami zanim jeszcze Rzym został założony.

— Plemienna duma odzywa się w tobie,—rzekł Arrjusz; zauważył bowiem, że wioślarz zarumienił się przy ostatnim frazesie.

— Duma jest najgłośniejszą—gdy w kajdanach.

— Jaki masz powód do dumy?

— Jestem żydem.

Arrjusz uśmiechnął się.

— Nie byłem nigdy w Jerozolimie,—rzekł—alem słyszał o jego książętach. Znałem nawet jednego z nich. Byłto kupiec, żeglował po morzach. Wart był być królem. Z jakiego stanu ty pochodzisz?

— Odpowiadam ci z ławy galerniczej... Należę do stanu niewolników; ale mój ojciec był księciem jerozolimskim i jako kupiec, pływał po morzach. Znany był i szanowany w pałacu wielkiego Augusta.

— Jak się nazywał?

— Itamar, syn Hura.

Trybun podniósł rękę ze zdumieniem.

— Ty—synem Hura?

Po chwili milczenia zapytał:

— Co cię tu sprowadziło?

Juda spuścił głowę i pierś zaczęła mu falować. Ochłonąwszy, spojrzał trybunowi w oczy i odrzekł:

— Oskarżono mię o targnięcie się na życie Walerjusza Gratusa, prokuratora.

— Ciebie!—wykrzyknął Arrjusz z większem jeszcze zdumieniem i cofnął się na krok.—Ty miałbyś

być owym zabójcą! W całym Rzymie był głośny ten zamach. Pamiętam, żem się o nim dowiedział na rzece Lodinum.

Obaj niemówiąc, patrzyli na siebie.

— Myślałem, że już wygasła rodzina Hurów,— rzekł Arjusz, pierwszy przerywając milczenie.

Fala tkliwych wspomnień pokonała dumę młodzieńca. Łzy spłynęły po jego licu.

— Matko—matko! Droga Tirzo moja. Gdzie jesteście w tej chwili? O trybunie, szlachetny trybunie, jeśli masz o nich jaką wiadomość,—mówił, złożywszy błagalnie ręce,—nie taj nic przedemną. Powiedz mi, czy one żyją... a jeśli żyją, to gdzie są... Wjakiem położeniu znajdują się? Zaklinam cię, mów!

Przystąpił tak blizko, że dotknął się płaszcza spadającego z ramion Arjuszowi.

— Już trzy lata upłynęły od onego strasznego dnia,—mówił dalej,—trzy lata, o trybunie—a każda godzina była dla mnie całym wiekiem nędzy—wiekiem spędzonym w bezdennej przepaści, w której jedyną ulgą była praca; a przez cały ten czas niesłyszałem ani jednego słowa. Ach, czemuż, będąc zapomniani, sami nie możemy zapomnieć!.. Czemuż nie mogę wyrugować z pamięci tej chwili, kiedy matka rzuciła na mnie ostatnie spojrzenie; kiedy siostrę uprowadzano! Czułem tchnienie zarazy, miotanie się okrętu podczas bitwy, słyszałem ryk burzy na morzu—i śmiałem się, chociaż się inni modlili, gdyż śmierć byłaby dla mnie ulgą. Za każdem uderzeniem wiosła starałem

się wyrugować z pamięci ów obraz. Powiedz mi, że już nie żyją, bo nie mając mnie, nie mogłyby być szczęśliwe. Ach, żadne uczucie nie jest tak wierne jak macierzyńskie. A Tirza, ona była słońcem życia mego. A jednak moja to ręka wtrąciła ją w otchłań niedoli.

— Przyznajesz się do winy? — ostro zapytał Arrjusz.

Słowa te wywołały zdumiewająco szybką zmianę w Ben-Hurze. Głos jego spotężniał, oczy ciskały błyskawice; zacisnął pięści.

— Słyszałeś pewnie o Bogu moich ojców, wszechmocnym Jehowie.—Otóż na jego potęgę i na miłość, jaką otacza zawsze dzieci Izraela,—przysięgam, żem niewinny!

Trybun zdawał się bardzo wzruszony.

— O, szlachetny rzymianinie!—mówił dalej Ben-Hur,—uwierz mi, niechaj choć promyk światła przeniknie wzmagające się dokoła mnie ciemności.

Arrjusz odwrócił się i zaczął chodzić po pokładzie.

— Czy nie przeprowadzono śledztwa?—zapytał stając nagle.

— Nie.

Rzymianin podniósł głowę z zadziwieniem.

— Jakto, nie było śledztwa ani świadków?... Któż wydał wyrok?

Należy pamiętać, iż rzymianie nigdy nie przy-

wiązywali większej wagi do form prawnych, jak w epoce swego upadku.

— Skrępowali mię powrozami i wtrącili do więzienia w wieży. Nie widziałem nikogo. Nikt mię nie badał. Nazajutrz żołnierze zaprowadzili mię na brzeg morski i od owej chwili stałem się—galernikiem.

— Jakiemi dowodami mógłbyś stwierdzić swoją niewinność?

— Byłem dzieckiem prawie, więc za młodym na mordercę. Ale gdybym go nawet chciał zabić, to w każdym razie wybrałbym inne miejsce i inną porę. Jechał pośród swej legji i w biały dzień, więc nie mógłbym uciec. Należałem do klasy najbardziej sprzyjającej Rzymowi. Mój ojciec odznaczył się w służbie cesarskiej. Mieliśmy wielki majątek do stracenia. Zguba niechybna była tak dla mnie, jak i dla matki mojej i siostry. Nie miałem przyczyny do nienawiści; przeciwnie,—majątek, rodzina, życie, sumienie, zakon nasz, który dla izraelity jest jako powietrze dla piersi,—wszystkie te względy powstrzymałyby mi rękę, nawet gdyby pokusa była silna. Przekładałem zawsze śmierć nad hańbę i, wierzaj, że teraz także nie wahałbym się w wyborze.

— Kto był przy tobie, gdy ten wypadek miał miejsce?

— Znajdowałem się na dachu domu mego ojca. Była ze mną Tirza, uosobienie łagodności. Oboje wychyliliśmy się za przedpiersień, żeby się przyjrzeć

przechodzącej legji... Cegła oberwała się pod moją ręką i spadła na Gratusa. Myślałem żem go zabił. Ach jakże mnie to przeraziło!

— Gdzie była twoja matka?

— Na dole, w swojej komnacie.

— Co się z nią stało?

Ben-Hur zacisnął pięści. Zbrakło mu tchu.

— Nie wiem. Widziałem jak ją wiekli... więcej nic nie wiem. Wyprowadzono wszystko co żyło z domu, nawet nieme stworzenia; poczem opieczętowano drzwi. Wszystko to było zrobione w tym celu, żeby tam nie powróciła. Ja także pytałem o nią. Ach gdybym wiedział, gdzie matka moja. Ona w każdym razie jest niewinna. Gotów bym wybaczyć—ale przepraszam cię, szlachetny trybunie! Niewolnik nie może mówić o przebaczeniu lub zemście... Jestem przykuty na całe życie do wiosła.

Arrjusz słuchał z wytężoną uwagą. Ale wiedząc, że niewolnicy są po większej części kłamcami, niedowierzał mu. „Jeśli ten młody żyd nie odgrywa komedji,—myślał,—to jest niewinny; a w takim razie jakże niebacznie postąpiły sądy! Całą rodzinę poświęcono dla pomszczenia urojonej winy.“ Ta myśl wstrząsnęła nim.

Arrjusz potrafił być nieubłaganym, ale miał też poczucie sprawiedliwości; załoga okrętowa nazywała go „dobrotliwym trybunem.“

W tym wypadku wiele okoliczności z pewnością

przemawiało na korzyść młodzieńca, innych zaś można się było domyślać. Mógł on znać Walerjusza Gratusa i nielubić go; mógł znać także starego Hura. W ciągu badania, Juda zapytał go o to kilka razy, lecz nie otrzymał odpowiedzi.

Trybun zamyślił się, zawahał, jak postąpić...

Jednem słowem mógł on mu zwrócić wolność, ale niechcąc się pozbyć najlepszego ze swych wioślarzy, postanowił czekać jeszcze, upewnić się przynajmniej co do tego, czy młodzieniec jest rzeczywiście księciem Hurem.

— Możesz wrócić na swe miejsce,—rzekł głośno.

Juda skłonił się i spojrzał raz jeszcze w oczy trybunowi, ale ich wyraz nie obudził w nim nadziei.

Miał już odejść, lecz zatrzymał się i rzekł:

— Jeśli kiedy pomyślisz o mnie trybunie, to pamiętaj, żem cię prosił tylko o wiadomość co się dzieje z matką moją i siostrą!

Zabrał się do odejścia. Arrjusz z podziwem śledził go oczami.

— *Perpol*!—myślał—jakiby z niego był atleta. Stój!—zawołał głośno.

Ben-Hur zatrzymał się.

— Jaki użytek zrobiłbyś z wolności, gdybym ci ją darował?

— Szlachetny Arrjusz żartuje ze mnie...—wyjąkał Juda, drżąc ze wzruszenia.

— Na bogów, nie!

— W takim razie odpowiem szczerze. Poświęciłbym życie najpierwszemu z obowiązków. Wszystkie usiłowania moje zwróciłbym ku temu, żeby matkę i Tirzę odszukać i sprowadzić je do rodzinnego domu, a potem służyłbym im tak wiernie, jak jeszcze żaden niewolnik nikomu nie służył. Straciły dużo, ale na Boga przodków moich przysięgam, że zdobyłbym dla nich jeszcze więcej!

Rzymianin, zaskoczony tą odpowiedzią, dopiero po chwili namysłu rzekł:

— A gdyby matka twoja i siostra nie żyły, lub gdybyś ich nie mógł odnaleźć, cobyś z sobą zrobił?

Śmiertelna bladość okryła twarz Ben-Hura. Widocznem było, że walczył z jakiemś silnem uczuciem. Gdy zdołał zapanować nad niem, rzekł:

— Pytasz jaki zawód obrałbym?

— Tak.

— Trybunie, powiem ci prawdę. Właśnie w wigilję owego strasznego dnia, uzyskałem pozwolenie zostać żołnierzem. Dziś uczyniłbym ten sam wybór i ponieważ na świecie całym jest tylko jedna szkoła, w której można się nauczyć sztuki wojowania, udałbym się do tej szkoły.

— Arena?

— Nie, obóz rzymski.

— Musiałbyś wpierwej się nauczyć władania bronią.

Odezwanie się takie do podwładnego, było niewłaściwe. Zmiarkował to trybun i rzekł oschłym tonem:

— Odejdź teraz i nie buduj nic na tem, co zaszło pomiędzy nami. Możem tylko drwił z ciebie. Albo—(tu zamyślił się na chwilę) Zresztą... jeśli ci trudno zrzeć się nadziei, to wybieraj między chwałą gladjatora a służbą żołnierza. Pierwsze może ci zjednać łaski cezara, z drugiej nie czekałaby cię żadna nagroda, nie będąc rzymianinem. Możesz odejść.

Ben-Hur wrócił na swą ławę, ale praca nie wydawała mu się ciężką, odkąd nadzieja niby ptaszyna wpadła mu do serca. Ile razy przypomniały mu się słowa trybuna: „możem z ciebie drwił“ odwracał od nich myśl. To, że go Arrjusz przywołał do siebie i wypytywał o przeszłość, było strawą dla jego zgłodniałego ducha. Był pewien, że coś dobrego ztąd wyniknie. Promienie słońca, przedzierające się przez kratę, zdawały mu się pełne obietnic.

— O Boże!—modlił się—Jam prawdziwy syn Izraela, którego tak kochałeś, ulituj się nademną!

ROZDZIAŁ XI.

Galery te, w liczbie stu, zgromadziły się w zatoce Antymona, na wschód od wyspy Cytery. Trybun poświęcił jeden dzień na ich przegląd. Następnie popłynął do Naxos, największej z cyklad, która na wpół drogi od wybrzeży Grecji i Azji, nakształt olbrzymiej skały wyłania się z głębi morza. Mając ztamtąd otwarty widok na wszystkie okręty przepływające, mógł dostrzedz piratów, bądź na morzu Egejskiem, bądź na Śródziemnem.

Podczas kiedy flota w największym porządku dążyła do górzystego wybrzeża wyspy, od północy pojawiła się galera jakaś. Arrjusz pospieszył na jej spotkanie i od jej dowódcy dowiedział się, że galera ta przybywa wprost z Byzancjum, że wszyscy rozbójnicy pochodzą z odleglejszych wybrzeży morza Czarnego; że porobili oni przygotowania w największej tajemnicy. Zdradziło ich dopiero pojawienie się na Bosforze tamtejszej floty. Aż do krańca Hellespontu wszystko stało się ich łupem. Flota piratów składała się z 60 galer dobrze uzbrojonych i z liczną załogą. Przywódcą był grek i majtkowie, obeznani ze wszystkiemi morzami wschodniemi, pochodzili również z Grecji. Rabowali oni niemiłosiernie; ztąd panika pano-

wała nietylko na morzu. Ludność miast zamykała bramy tychże i czuwała nocną porą na wałach. Handel ustał prawie zupełnie.

Gdzie są teraz rabusie?

Na pytanie to, odnośne do kwestji najżywotniejszej dla Arrjusza, odebrał on odpowiedź następującą:

„Napadli oni i spądrowali Hefestją na wyspie Lemnos, potem pojawili się na gromadzie wysp Tesalskich, a następnie znikli w zatokach pomiędzy Eubeą i Helladą.“

Oto jakie doszły go wieści.

Wyspiarze, zwabieni na szczyty wzgórz niezwykłym widokiem floty, złożonej ze stu okrętów, ujrzeli, że oddział stanowiący straż przednią, nagle zwrócił się ku północy; inne galery podążyły wślad za nim... Słyszeli oni o zbliżaniu się piratów i teraz ścigając białe żagle dopóki nie znikły im z oczu, nabrali otuchy i przejęci byli wdzięcznością; gdy bowiem Rzym ujął w swe silne ręce sprawę jaką, zawsze ją obronił: w zamian za podatki, dawał bezpieczeństwo.

Ruchy nieprzyjaciela wielce zadawalały trybuna; był on podwójnie wdzięczny losom, nietylko bowiem doszły go szybko pewne wieści, ale ściągnął nieprzyjaciela na te własnie wody, na których go łatwiej mógł po konać. Wiedział, jaką klęskę może zadać jedna galera na tak rozległem morzu, jak Śródziemne; jak trudno ją wyśledzić i zniszczyć; wiedział również i to, że właśnie ta okoliczność wyjdzie mu na pożytek i chwałę, jeże-

li jednym zamachem całą flotę rabusiów morskich zniweczy.

Czytelnik może się przekonać na mapie Grecji i morza Egejskiego, że wyspa Euboa leży nawprost klasycznego brzegu Hellady, niby szaniec zasłaniający ją od strony Azji, jako też, że pomiędzy wyspą tą a lądem ciągnie się kanał, mający 120 mil długości, a zaledwie 8 szerokości. Kiedyś do zatoki północnej zawinęła flota Xerxesa, obecnie zaś znajdowali się w niej zuchwali rabusie z morza Czarnego. Miasta nadbrzeżne były bardzo bogate i nęciły ku sobie nadzieją łupów. Z tego też względu Arrjusz powziął przekonanie, że piraci zatrzymali się w jakimkolwiek punkcie Termopilów. Chcąc spożytkować tę okoliczność, postanowił obsaczyć ich od północy i południa, czego nie można było zwlekać ani godziny. Arrjuszowi wypadało zrzec się nawet owoców, wina i kobiet z Naxos. Żeglował on bez ustanku i dopiero o zmierzchu zarysowała się przed nim na horyzoncie góra Ocha, a sternik obwieścił, że widzi już wybrzeże Eubońskie,

Na dane hasło, flota przestała wiosłować, Arrjusz jedną połowę okrętów wprowadził w kanał, drugą zaś wysłał ku wyspie od strony morza. Załoga tych galer, mniejsza aniżeli statków korsarskich, miała jednak pewną wyższość, szczególniej pod względem ścisłej karności. Przezorny trybun liczył też na to, że jeśli jedna część floty zostanie pobitą, to druga łatwiej zwalczy wroga, zmęczonego po odniesionem zwycięztwie.

Tymczasem Ben-Hur siedział na swojej ławie, luzowany co 6 godzin. Wypoczynek w zatoce Antemona pokrzepił go, wiosło nie wydawało mu się ciężkie; zwierzchnik siedzący na platformie nie mógł mu przeto nic zarzucić.

Ludzie, w ogóle, zamało cenią spokój, wypływający ze świadomości, gdzie są i dokąd dążą. Zmierzać na oślep do nieznanych miejsc, jest uczuciem bardzo przykrem. W Ben-Hurze przytępiło się ono wskutek przyzwyczajenia, ale tylko do pewnego stopnia. Płynąc długie godziny, a niekiedy całe dnie i noce, miał to wciąż na myśli, że galera przebywa dalekie przestrzenie, on zaś nie wie, gdzie się znajduje i dokąd zmierza. Po rozmowie z trybunem, wrażenie to zdawało się spotęgowane nadzieją, co zawitała do jego duszy. Słuchał bacznie każdego odgłosu żeglującego okrętu, jak gdyby on miał zwiastować jaką nowinę; wpatrywał się w kratę ponad głową i w przedzierające się przez nią światełko, pokładając w niem nadzieję, z której nie umiał sobie zdać sprawy. Chwilami opanowywała go nieprzeparta chęć odezwać się do trybuna, lecz wiedział, że nicby nie zdołało wzbudzić w dostojniku tym większego zdumienia.

W ciągu swej kilkoletniej służby nauczył się Juda wnosić o stanowisku słońca, z kierunku promieni wpadających przez otwory w pokładzie. Zdobyte doświadczenie przydało mu się po wyruszeniu z Cytery. Sądząc, że zmierzają do starej ziemi Judzkiej, był on wrażliwy na każdą zmianę w kierunku drogi.

Z biciem serca zauważył przeto nagły zwrot floty ku północy, który nastąpił, jak wiadomo, opodal Naxos. Przyczyny tego manewru nie mógł jednak odgadnąć; należy bowiem pamiętać, że jak wszyscy niewolnicy, nie wiedział gdzie się znajduje i jaki jest cel podróży. Jego miejsce było przy wiośle—czy okręt stał na kotwicy, czy płynął pod żaglem. Jedyny raz w ciągu trzechletniej kary wyszedł na pokład wtenczas, kiedy go trybun powołał do siebie. Nie wiedział on, że tuż za okrętem, któremu pomagał posuwać się naprzód, płynęła wielka eskadra w najpiękniejszym porządku; zarówno nie wiedział i tego, dokąd zmierzają.

Słońce skryło się, potem zupełne ciemności zaległy horyzont, a jednak Ben-Hur nie zauważył zmiany kierunku drogi. Naraz, z pokładu zaczął go dochodzić zapach kadzideł.

— Trybun jest przed ołtarzem,—pomyślał on.— Czyżbyśmy prowadzili wojnę?

Natężył uwagę.

Znajdował się on już w niejednej bitwie, ale żadnej nie widział. Z ławki swojej słyszał je nad sobą i dokoła siebie i z czasem nauczył się prawie tak rozpoznawać odgłosy walki, jak śpiewak rozróżnia dźwięki pieśni. Znane mu już były przedwstępne przygotowania do boju, mianowicie ceremonja ofiary bogom, obserwowana przez Rzymian i Greków. Obrządki owe były takie same, jak na początku podróży i, jeśli je zauważył, służyły mu zawsze za przestrogę.

Bitwa stanowiła szczególnie żywotną kwestję tak dla niego, jak dla innych niewolników, nietyle ze względu na niebezpieczeństwo, jak z tej przyczyny, że porażka Rzymian mogła zmienić ich położenie, a nawet udarować ich może wolnością.

We właściwym czasie zapalono lampy na wschodach.

Trybun zszedł z pokładu. Na jego rozkaz, marynarze przywdzieli zbroję; na jego rozkaz także zrobiono przegląd maszyn wojennych, przyniesiono i złożono na podłodze wielkie pęki oszczepów, dzid i strzał, różne materjały palne, jako to: olej, kosze napełnione kłębami bawełny i t. p.

Gdy Ben-Hur zobaczył, że trybun wstąpił na platformę, włożył także na siebie zbroję, przygotował tarczę i hełm. Nie mogąc już wątpić o celu przygotowań, oczekiwał aktu największej hańby, przywiązanej do jego stanu niewolniczego.

Do każdej z ław galery był przymocowany łańcuch z ciężkiemi kajdanami na nogi. Hortator, przechodząc od numeru do numeru, nakładał te kajdany wszystkim wioślarzom. Bunt z ich strony był przeto niemożliwy, zarówno jak ucieczka w czasie walki.

Wszyscy czuli dotkliwie ten srom, ale najgłębiej czuł go Ben-Hur. Gotów był okupić się choćby największym kosztem. Z brzęku kajdan miarkował on, jak daleko posunął się już hortator. Niezadługo miała przyjść kolej na niego: kto wie, może trybun zechce go wyłączyć?

Czytelnik przypisze zapewne tę myśl miłości własnej albo samolubstwu,—ale opanowała ona w tej chwili naszego bohatera. Miał on nadzieję, że stanowić będzie wyjątek; że rzymianin uwolni go od hańby i tem samem okaże, jak był dla niego usposobionym.

Jeśli przypomni sobie o nim w czasie tych przygotowań, będzie to dowodem, że go stawia ponad jego towarzyszy niedoli; a w takim razie ziściłyby się jego nadzieje.

Ben-Hur wyglądał gorączkowo swojej kolei. Zdawało mu się, że od wieków czeka. Za każdem uderzeniem wiosła spoglądał na trybuna, który ukończywszy przygotowania, ułożył się do snu. Numer 60 zobaczywszy to, roześmiał się gorzko z samego siebie i postanowił nie patrzeć więcej w tę stronę.

Hortator zbliżał się, a kajdany coraz wyraźniej dzwoniły.

Wreszcie stanął przed 60-tym numerem.

Ben-Hur, owładnięty spokojem, wypływającym z rozpaczy, przestał wiosłować i wyciągnął nogę.

W tej chwili trybun podniósł się i skinął na hortatora.

W uczuciach młodzieńca nastąpił nagły przewrót. Oczy trybuna zwróciły się z hortatora na Judę. Upuścił wiosło i cały okręt wydał mu się niby światłem oblany. Nie słyszał słów; dosyć mu było tego, że kajdany wiszą nieużyte. Hortator udał się na zwykłe miejsce przy skrzyni rezonansowej. Wioślarzowi

uderzenia młotka nigdy jeszcze nie wydawały się tak dźwięczne. Pochyliwszy się, pchnął on z taką siłą wiosłem, że się zgięło, jak gdyby miało pęknąć.

Hortator zbliżywszy się do trybuna, wskazał mu numer 60 i rzekł:

— Co za siła!...

— I jaka energja,—odpowiedział trybun,—*Perpol!* Jeszcze dzielniejszy bez kajdan. Nie okuwaj go już nigdy!

Po tych słowach trybun położył się na łożu, część załogi także wypoczywała, podczas gdy okręt posuwał się dalej a dalej. Ben Hur, zluzowany dwa razy, nie mógł usnąć. Po trzechletnich ciemnościach, ujrzał on nakoniec promień słońca! Niby rozbitek, znalazł się nareszcie w bezpiecznym porcie! W takiej chwili sen ucieka z powiek. Widział już siebie z matką, siostrą, w ojczyznie ukochanej, w odzyskanym domu rodzinnym i czuł się tak szczęśliwy, jak jeszcze nigdy. Messala, Gratus, Rzym i wszystkie wspomnienia, związane z temi nazwiskami, wydawały mu się chorobą przebytą, zabójczym wyziewem ziemi, od której oderwany, buja teraz wysoko i daleko po królestwie gwiazd.

Jak to zwykle bywa przed świtem, *Astreę* otulały gęstsze ciemności. Wszystko na niej było w porządku. Naraz, męzka postać przeszła szybko z pokładu na platformę i obudziła Arrjusza. Podniósł on się, włożył hełm na głowę, wziął miecz i tarczę,—poczem podążył ku wschodom, prowadzącym na pokład.

ROZDZIAŁ XII.

Na okręcie ocknęli się wszyscy.

Oficerowie zajęli posterunki; żołnierze chwycili za broń i uformowali się na pokładzie. Znoszono pęki strzał, dzid i kosze z kulami bawełnianemi. Napełniano cebry wodą. Zapalono większą ilość latarń. Zluzowani wioślarze zgromadzili się dokoła swego nadzorcy. Za sprawą Opatrzności, Ben-Hur znajdował się pośród tych ostatnich. Słyszał on ponad sobą zgiełk ostatecznych przygotowań — rozwijanie żagli przez majtków, rozciąganie sieci, nastawianie machin wojennych.

Po niejakiej chwili nastąpiła na galerze cisza, tchnąca jakąś nieokreśloną trwogą i wyczekiwaniem. Mówiła ona: *jesteśmy gotowi*!

Na znak hortatora dany z pokładu, wszystkie wiosła stanęły.

Żaden ze 120 wioślarzy nie zastanawiał się jednak nad tem, co to mogło znaczyć. Wyzuci oni byli z ambicji i miłości ojczyzny; poczucie obowiązku i honoru było im zgoła nieznane. Doznawali tylko tego wrażenia, że na oślep dążą ku niebezpieczeństwu, nie mogąc się ratować. Prawdopodobnie i najbierniejszy z nich, robiąc wiosłem, myślał o tem wszystkiem, co

się mogło stać, ale dla siebie nie mógł się spodziewać żadnej zmiany; zwycięztwo ścieśniłoby tylko okowy.

Los tych biedaków związany był z losem okrętu — czyby zatonął, czy zgorzał.

Skazańcy nie mieli prawa zapytać o stan rzeczy. —Kto jest wrogiem? Może przyjdzie walczyć z przyjaciołmi, braćmi, ziomkami?

Łatwo pojąć, że wobec takich okoliczności, Rzymianin musiał przykuwać tych nieszczęsnych ludzi do ław.

Ale nie było czasu myśleć o nich. Łoskot wioseł galery, jak się zdawało Ben-Hurowi, płynącej tuż za ich okrętem, pochłonął jego uwagę. *Astrea* kołysała się, niby podczas burzy. Opanowała go myśl, że może to być flota, idąca do ataku. Na tę myśl, krew skrzepła mu w żyłach.

Znowu dano hasło z pokładu.

Wiosła opadły, a galera nieznacznie posuwała się naprzód. Żaden dźwięk nie dolatywał uszu tak z zewnątrz jak i z wewnątrz; a jednak wszyscy na okręcie oczekiwali katastrofy. Nawet statek zdawał się brać udział w tem uczuciu, tamował oddech, czaił się niejako, chcąc się rzucić niby tygrys na ofiarę.

W takim stanie rzeczy traci się miarę czasu. Ben-Hur nie miał więc wyobrażenia, ile drogi przebyli.

Nakoniec wrzasnęła trąba na pokładzie. Hortator wybijał takt na skrzyni rezonansowej. Wioślarze naraz wytężyli swe siły, a galera zadrżała i jakby podskoczyła w górę. Odgłos trąb powiększył jeszcze

chaos; dochodził on z boku, z przodu zaś dała się słyszeć wrzawa. Tu nastąpiło gwałtowne wstrząśnienie: wioślarze zakołysali się przed platformą hortatora, niektórzy padli na ziemię. Okręt przechylił się w tył, powstał i pomknął naprzód. Łoskot uderzenia się dwóch okrętów i dźwięk trąb, zagłuszone zostały krzykiem trwogi. Ben-Hur usłyszał taki trzask, jak gdyby pękł szkielet okrętu. Z pokładu doleciał go okrzyk tryumfu.

Rzymianie odnieśli zwycięztwo. Zatopili jakiś okręt... Ale kto poszedł na dno morskie? Do jakiego narodu, do jakiego kraju należał nieprzyjaciel?

Astrea pomknęła dalej. Żołnierze zmaczali kłęby bawełny w kadziach z olejem i zapalili takowe. Do całej grozy wojny, przybyła jeszcze i pożoga. Wtedy galera pochyliła się naprzód tak, że wioślarzom trudno było utrzymać się na swych miejscach?

Rzymianie znowu okrzyknęli tryumf, zwyciężeni zaś ponowili rozpaczliwe wołania.

Galera rzymska zahaczyła okręt nieprzyjacielski, podrzuciła go w powietrze i zepchnęła w przepaść.

Przeraźliwe jęki dochodziły ze wszystkich stron, z prawej, z lewej, z przodu, z tyłu. Od czasu do czasu słychać było trzask, a po nim krzyki przerażenia, co wskazywało, że znowu jeden okręt tonie, a załoga jego walczy z falami.

Zwycięstwo nie przechyliło się jeszcze na żadną stronę. Kiedy niekiedy przynoszono na pomost którego z rzymian, zbroczonego krwią, umierającego. Wzbi-

jały się kłęby dymu, pomieszanego z parą i z wonią piekącego się mięsa. Chwytając z trudnością oddech, Ben-Hur mówił sobie w takich razach, że muszą wymijać płonącą galerę, której wioślarze do ław przykuci, stają się pastwą płomieni.

Astrea mknęła tymczasem naprzód. Załoga pospadała z ław, puściwszy wiosła. Na pokładzie dał się słyszeć huk, poczem uderzyły o siebie dwa statki. Wioślarze, z trwogą patrzyli dokoła siebie. Wśród tego zamieszania, padł u stóp Ben Hura trup jasnowłosego barbarzyńcy z północy. Skąd on się wziął? czy został porwany zelazną dłonią z nieprzyjacielskiego okrętu? Nie, to *Astrea* znajduje się pewnie w ręku nieprzyjacioł! Rzymianie walczą na własnym okręcie z atakującym nieprzyjacielem!

Młody izraelita przeraził się. Arrjusz w niebezpieczeństwie! Może w tej chwili walczy o życie... A gdyby poległ? Oby go strzegł Bóg Abrahama. Czyżby świeżo rozbudzone w sercu Judy marzenia i nadzieje, miały pozostać tylko marzeniami i nadziejami? Czy nigdy już nie ujrzy matki, siostry, domu rodzinnego, ukochanej ojczyzny?

Popłoch wzmagał się nad głową Judy. Dokoła niego panowało zamieszanie. Wioślarze siedzieli na ławach obezwładnieni; inni ludzie z załogi potraciwszy głowy, kręcili się bez celu. Tylko hortator siedział spokojnie na zwykłem miejscu i napróżno wybijał takt na skrzyni rezonansowej, gotów na rozkazy

trybuna. Spokój jego był obrazem żelaznej karności, którą rzymianie świat zdobyli.

Przykład jego dobrze oddziałał na Ben-Hura. Zapanował nad sobą do tyla, że mógł myśleć. Syna Romy honor i obowiązek przykuwają do platformy—mówił sobie,—ale mną, nie mogą powodować takie pobudki. Z ławy ucieknę, bo choćbym i zginął jako niewolnik, coby komu przyszło z mego poświęcenia? Mnie obowiązek, honor, nakazują żyć. Moje życie należy do rodziny.

Nigdy jeszcze ukochane istoty nie stanęły mu tak żywo przed oczami. Widział ich wyciągnięte ramiona, słyszał błagalne głosy. Chciał spieszyć do nich. Zerwał się... lecz siadł zaraz na ławie. Niestety, wyrok rzymski trwał w całej swej sile; a dopóki ciężył nad nim, nie było ratunku. Gdziekolwiekby się znajdował—na morzu czy na lądzie, Cezar miał doń prawo. Hur pragnął odzyskania wolności według form prawnych, mógł on zamieszkiwać tylko Judeę i poświęcać się rodzinie swojej: w innym kraju nie byłby zdolny żyć. Jakże on wyglądał wyzwolenia, jak się modlił o nie! Długo dało ono na siebie czekać; nakoniec obietnica trybuna zbudziła w nim promyk nadziei. Jednak gdyby dobroczyńca miał zginąć? Umarli nie powracają dla spełnienia obietnicy, danej za życia. Nie, Arrjusz musi żyć. Lepiej z nim razem zginąć, aniżeli przeżyć go jako galernik.

Raz jeszcze rozejrzał się Ben Hur wokoło. Na pokładzie wrzała walka. *Astreę* okręty nieprzyja-

cielskie wciąż otaczały, wioślarze jej targali swe pęta, lecz—daremnie; widząc, że próżne są ich usiłowania, napełniali powietrze rykami rozpaczy. Hortator siedział wciąż nieruchomie na swem miejscu, a jedyną bronią w jego ręku, były pałeczki do wybijania taktu. Nikt nie słuchał jego uderzeń.

Ben-Hur spojrzał nań raz jeszcze, poczem wybiegł, nie po to, żeby uciec, lecz żeby wyszukać trybuna.

Bardzo mała przestrzeń dzieliła go od wschodów wiodących do pokładu, jednym skokiem przesadził ich połowę. Wtedy ujrzał niebo czerwone od płomieni, statki piratów, pływające szczątki okrętów, morze, walkę na pokładzie, ogrom napastników i garstkę obrońców. Naraz stracił równowagę. Deski zachwiały się pod jego nogami i rozłupały na dwoje, a huczące morze, jak gdyby oddawna czekało tej chwili, wcisnęło się w szczelinę.

Ben-Hura otoczyły ciemności i huczące fale.

Nie można powiedzieć, że młody żyd poradził sobie w tej krytycznej chwili; chociaż bowiem walczył z natężoną siłą, szum wody odjął mu po chwili przytomność. Nawet zatrzymanie oddechu było w nim mimowolne. Wciskające się fale wrzuciły go niby kłodę drzewa, do kajuty, w której byłby utonął, gdyby opór zatapiającego się okrętu nie podrzucił go był w górę. Czując, że wraz z jego rozwalinami wydobywa się z fal, chwycił pływający obok przedmiot. Była to tarcica—uczepił się jej mocno. Czas przeby-

ty pod wodą wydał mu się wiekiem. Nakoniec wydobył się na powierzchnię, odetchnął głęboko, strząsnął wodę z włosów i oczu i rozejrzał się dokoła.

Śmierć, której uniknął w wodzie, groziła na powierzchni.

Nad morzem wzbijał się dym, niby nawpół przezroczysta mgła, poprzez którą tu i owdzie przedzierały się jaskrawe płomienie. Juda zrozumiał, że to okręty płoną, że walka toczy się jeszcze; ale nie wiedział, kto jest zwycięzcą. Gdzieniegdzie przepływały statki, cieniem swym przysłaniając łuny płomieni. Z dali dochodził łoskot uderzających o siebie okrętów. Ale niebezpieczeństwo bliżej było. Gdy *Astrea* utonęła, na pokładzie znajdowali się prócz własnej załogi, ludzie dwóch okrętów, które ją zaatakowały jednocześnie. Wszystko to pochłonęło morze. Wielu tych wrogów wypłynęło razem na powierzchnię i wiedli z sobą śmiertelną walkę, zaczętą może w otchłani wód. Wili się oni i szamotali w śmiertelnym uścisku, godząc w siebie mieczem lub kopją, a dokoła nich wrzało morze, miejscami czarne jak noc, miejscami zaś purpurowe od krwi i płomieni. Walki ich nie obchodziły go —nie byli bowiem jego wrogami. Ale że każdy z nich mógł go zabić, aby posiąść tarcicę, na której płynął,—pospieszył zejść im z oczu.

W tejże chwili dało się słyszeć szybkie wiosłowanie i ujrzał nadpływającą galerę. Jedna sekunda mogła go ocalić albo zgubić, więc pchnął z całych sił tarcicę przed siebie, chociaż była szeroka i ciężka. Naraz

w pobliżu wynurzył się z wody błyszczący hełm, potem dwie ręce z wyciągniętemi palcami, — duże, krzepkie ręce, które zapewne umiały trzymać, to co pochwyciły.

Ben-Hur odwrócił się przerażony.

Znowu wychylił się hełm, potem głowa, następnie dwie ręce, które rozpaczliwie chwytały powietrze. Po chwili głowa obróciła się i ukazała twarz. Usta topielca były szeroko rozwarte, oczy osłupiałe, lica śmiertelną bladością okryte. Przedstawiał on straszny widok. Jednakże Ben-Hur krzyknął z radości i gdy rozbitek zaczął znowu tonąć, porwał go za łańcuch od hełmu i wciągnął na tarcicę.

Człowiekiem tym był trybun Kwintus Arrjusz.

Woda gwałtownie zawrzała i zakipiała. Ben Hur wytężył siły, żeby się utrzymać na swej podporze i nie wypuścić z rąk głowy rzymianina. Pośród pływających ludzi, ponad głowami w hełmach i bez hełmów, galera posuwała się dalej, prując morze, jaskrawe od płomieni.

Naraz, usłyszał Juda straszny trzask, a potem krzyki przeraźliwe; spojrzał w stronę, zkąd one wychodziły i opanowała go jakaś dzika radość:—*Astrea* była pomszczona!

Bój toczył się dalej. Opór zamienił się w ucieczkę. Kto odniósł zwycięstwo, Ben Hur nie wiedział, ale rozumiał, jak dalece zawisły od tego jego wyzwolenie i życie trybuna. Popychał on swą deskę pod tego ostatniego, dopóki go nie uniosła, poczem wszelkich starań dokładał, żeby go na niej utrzymać.

Powoli zaczynało świtać. Ben-Hur wpatrywał się we wschodzące słońce to z nadzieją, to z trwogą w sercu. Kto wziął górę—Rzymianie czy rozbójnicy? Jeśli ci ostatni, to Arrjusz zgubiony.

Nakoniec słońce ukazało się w całym blasku na niebie. Powietrze było ciche. Na lewo widniał ląd, ale zbyt daleko, żeby młodzieniec próbował nawet dostać się do niego. Tu i owdzie wyłaniał się podobny jemu rozbitek, lub szczątek dymiącego się okrętu. W znacznej odległości ukazywała się galera z podartym żaglem i bez wioseł. Jeszcze dalej sunęły punkciki, jak mu się zdawało, ścigane lub ścigające statki.

Upłynęła godzina. Niepokój jego wzrastał. Jeśli kto nie pośpieszy z pomocą, to Arrjusz wkrótce wyzionie ducha. Chwilami zdawał się już martwy, tak cicho leżał. Ben Hur zdjął mu hełm z głowy, a potem, z większym trudem, i pancerz. Serce biło jeszcze, chociaż bardzo nieregularnie.

Dodało to otuchy Judzie; nie mógł jednak działać, tylko czekać i modlić się do Boga swych ojców.

Ku wielkiej radości młodzieńca, Arrjusz zwolna przychodził do siebie i zaczynał mówić.

Zrazu pytał tylko z pomieszaniem, gdzie jest, kto go ocalił i w jaki sposób; ale po niejakiej chwili przypomniała mu się bitwa. Niepewność, kto odniósł zwycięstwo, i wypoczynek—jeśli można tak nazwać

pływanie na wątłej tarcicy, do reszty przywróciły mu przytomność. Stał się nawet gadatliwym.

— Nasz ratunek,—rzekł,— zależy od rezultatu bitwy. Umiem to ocenić, coś uczynił dla mnie. Uratowałeś mi życie, z narażeniem własnego. Cokolwiek nastąpi, możesz liczyć na wdzięczność moją. Jeśli losy będą nam sprzyjały i wyjdziemy cało z tego krytycznego położenia, to cię obsypię łaskami, jak przystoi na Rzymianina, który może się odwdzięczyć i ma do tego przyczynę. Chociaż—kto wie, czyś mi oddał przysługę,— dodał z pewnem wahaniem, wiedząc o twoich dobrych chęciach, muszę zażądać od ciebie przyrzeczenia, że w pewnym wypadku wyświadczysz mi największą łaskę, jaką może zrobić jeden człowiek drugiemu. Przysięgniesz?

— Jeśli ci nie idzie o rzecz zakazaną przez nasz zakon,—odpowiedział Ben-Hur.

Arrjusz zamyślił się i dopiero po chwili zapytał:

— Czy ty rzeczywiście jesteś synem Hura, żydem?

— Powiedziałem ci już, że tak jest.

— Znałem twego ojca.

Juda przysunął się bliżej, gdyż głos trybuna był słaby, — przysunął się i słuchał z natężoną uwagą i nadzieją, że nakoniec dowie się czego o rodzinie swojej.

— Znałem go i kochałem,—rzekł Arrjusz, i znowu popadł w zadumę.

— Jako syn Hura, musiałeś słyszeć o Katonie i Brutusie,—odezwał się po chwili. Byli to bardzo wielcy ludzie, a najwięksi w chwili śmierci. Zostawili oni tę naukę, że Rzymianin powinien póty tylko żyć, póki mu szczęście służy. Słuchasz?

— Słucham.

— Zwyczajem patrycjuszów Rzymskich, noszę na palcu pierścień. Weź go.

Wyciągnął rękę do Judy, który zastosował się do żądania.

— Teraz włóż go na swój palec.

Ben-Hur uczynił to.

— Klejnot ten nie jest bez znaczenia,—rzekł znowu Arrjusz. Mam włości i pieniądze. Uchodzę za bogacza nawet w Rzymie. Nie mam rodziny. Pokaż ten pierścień wyzwoleńcowi, zarządzającemu moim majątkiem. Znajdziesz go w willi, nieopodal Mizenum, Powiedz mu, w jaki sposób sygnet ten dostał się w twoje ręce i zażądaj czego bądź, lub wszystkiego co posiada; on ci nic nie odmówi. Jeśli będę żył, to uczynię więcej jeszcze dla ciebie. Zwrócę ci wolność, ojczyznę i rodzinę. Albo też, będziesz mógł obrać sobie jaką karjerę. Słyszysz?

— Muszę słyszeć.

— Przysięgnij mi więc na bogów...

— Nie mogę, dobry trybunie, jestem żydem.

— A więc przysięgnij na Boga, lub na to, co jest najświętszego w twej wierze... Przysięgnij mi,

że uczynisz to, o co cię poproszę i w taki sposób, jaki ci wskażę. Czekam.

— Szlachetny Arrjuszu, z mowy twej miarkuję, że to będzie rzecz wielkiej wagi. Powiedz mi wpierwej, czego żądasz.

— Przysięgniesz potem?

— Przysięgnę, jeśli.... Niechaj błogosławiony będzie Bóg ojców moich!... Patrz... nadpływa okręt jakiś!

— Z której strony?

— Z północy.

— Możesz rozpoznać do jakiej narodowości należy?

— Nie, służyłem zawsze przy wiosłach.

— Czy ma flagę?

— Nie widzę żadnej.

Arrjusz zamyślił się głęboko.

— Nie dostrzegasz innego znaku?

— Ma żagiel, 3 rzędy wioseł i szybko płynie,— więcej nic nie mogę powiedzieć.

— Zwycięzki Rzymianin wywiesiłby niejedną flagę. Musi to być nieprzyjaciel. Słuchajże, dopóki mogę mówić,—dodał Arrjusz uroczyście,—jeśli to galera piratów, możesz być pewien życia. Chociaż nie zwrócą ci wolności, może przykują cię znowu do wiosła, ale cię nie zabiją. Mnie, przeciwnie...

— Trybunowi zadrżał głos.

— Na bogów! Za stary jestem, żeby się poddać hańbie. Chcę, żeby mówiono w Rzymie, że Kwin-

tus Arrjusz zginął, jak przystoi trybunowi rzymskiemu w obronie swego okrętu. Jeśli to więc galera piratów, żądam, żebyś mię zepchnął z tej tarcicy w morze. Czy słyszysz? Przysięgniesz na to, o co cię proszę?

— Nie przysięgnę,—odpowiedział Ben-Hur stanowczo,—i nie spełnię twego żądania. Zakon mój uczyniłby mię odpowiedzialnym za twe życie. Weź twój sygnet,—tu zdjął go ze swego palca, — weź sygnet i obietnice łask, w razie gdybyś uniknął tego niebezpieczeństwa. Chociaż mię skazano na dożywotnie galery, nie jestem niewolnikiem, nie jestem też twoim wyzwoleńcem. Jam synem Izraela i w tej chwili przynajmniej, panem swego losu. Zabierz swój pierścień.

Arrjusz nie odpowiedział.

— Nie chcesz?—mówił dalej Juda,—a więc nie dlatego, żebym się gniewał na ciebie lub pogardzał twym darem, lecz żeby nie brać na siebie wstrętnego zobowiązania, wrzucam sygnet twój do morza.... patrz, o trybunie!

Cisnął pierścień. Arrjusz usłyszał plusk, ale się nie obejrzał.

— Popełniłeś szaleństwo; tak, to jest szaleństwem w twojem położeniu,—rzekł. Śmierć moja nie zależy od ciebie. Ja sam, bez twojej pomocy, mogę przeciąć nić swego żywota, a gdy to uczynię, co się stanie z tobą? Ludzie, zdecydowani na śmierć, wolą żeby ją zadała obca ręka, bo dusza istniejąca w nas, podług nauk Platona, wzdryga się na myśl samobójstwa. Teraz wiesz już wszystko. Jeśli to będzie

okręt piratów,—pożegnam świat. Moje postanowienie jest niezłomne. Jestem Rzymianinem. Powodzenie i honor stawiam ponad wszystkiem. Chciałem ci zapewnić szczęście, aleś je odrzucił. Sygnet był jedynym znakiem, który mógł świadczyć o mej woli w tym razie. Teraz oba jesteśmy zgubieni. Ja umrę, żałując chwały i zwycięztw; ty żyć będziesz, aby trochę później umrzeć, wyrzucając sobie gorzko, żeś nie wysłuchał mej prośby, przez upór niedorzeczny. Żal mi ciebie.

Ben-Hur jeszcze jaśniej widział niż przedtem następstwa swego czynu. Jednakże nie zachwiał się.

— Odkąd jestem niewolnikiem, ty pierwszy zapytałeś mię, kto jestem,—o trybunie! Ty pierwszy przemówiłeś do mnie życzliwie. Ach, nie... ktoś inny jeszcze... Głos mu zadrżał, oczy zaszły łzami, zdawało się, że widzi przed sobą twarz młodzieńca, który dał mu się napić przy starej studni w Nazarecie. W każdym razie,—mówił dalej, — ty pierwszy zapytałeś mię, kto jestem, i jeśli, ratując cię przed chwilą, ja także myślałem o tem, że mógłbyś mi być pomocnym, czyn mój nie był całkiem samolubny,—wierzaj mi, proszę cię o to. Prócz tego, objawił mi Bóg w tej chwili, że tylko godziwemi środkami mogę osiągnąć swój cel. Wolałbym umrzeć, aniżeli się do twojej śmierci przyczynić. Moje postanowienie jest tak niezachwiane, jak twoje. Gdybyś mi nawet obiecywał Rzym cały podarować i mógł spełnić tę obietnicę, o trybunie,—nie odebrałbym ci życia. Twój Ka-

ton i Brutus byli dziećmi w porównaniu z owym Hebrajczykiem, którego prawom każdy żyd winien być posłusznym.

— Ja cię proszę...

— Gdybyś nawet rozkazał, nie usłuchałbym cię! To ostatnie moje słowo.

Milczeli oba i czekali.

Ben-Hur spoglądał często na nadpływający statek. Arrjusz leżał z zamkniętemi oczami, obojętny.

— Czyś pewien, że to okręt nieprzyjacielski? zapytał Ben-Hur.

— Tak mi się zdaje.

— Zatrzymuje się właśnie i spuszcza łódź.

— Czy widzisz flagę?

— Nie. Może jest inny znak, po którym można poznać okręt rzymski?

— Na szczycie masztu galery rzymskiej bywa wywieszony hełm.

— A więc nabierz otuchy, bo widzę hełm.

Arrjusz nie dowierzał jeszcze.

— Osada łodzi ratuje rozbitków. Rabusie morscy nie są litościwi.

— Mogą potrzebować wioślarzy,—odpowiedział Arrjusz, przypominając sobie zapewne czasy, kiedy ratował tonących, z tej przyczyny.

Ben-Hur przyglądał się z natężoną uwagą ruchom załogi okrętowej.

— Statek odpływa.

— W jakim kierunku?

— Poza nami, naprawo, jest galera, jak wnoszę opuszczona. Okręt zmierza ku niej. Już przybił. Załoga chroni się na pokład.

Arrjusz otworzył oczy i otrząsnął się z dotychczasowej obojętności,

— Podziękuj twemu jedynemu Bogu, — rzekł do Ben-Hura,—tak jest, ja złożę dzięki moim wielu bogom. Rozbójnik morski zatopiłby tę galerę, zamiast ją ratować. Po tym czynie i po hełmie, wywieszonym na maszcie, poznaję, że to statek rzymski. Zwycięztwo!. Szczęście nie opuściło mię! Ocaleliśmy. Skiń na nich ręką, zawołaj, sprowadź ich tu prędko. Ja będę Duumwirem—a ty--znałem i kochałem twego ojca. Był on rzeczywiście księciem. Od niego dowiedzialem się, że żyd nie jest barbarzyńcą. Zabiorę cię z sobą. Przyznam cię za syna. Podziękuj swemu Bogu i zażądaj pomocy od ludzi z okrętu. Spiesz się! Trzeba dalej ścigać piratów... ani jeden nie powinien nam ujść.

Juda stanął na tarcicy, machał ręką i wołał, o ile mógł najgłośniej. Nakoniec zwrócił na siebie uwagę. Przypłynęła mała łódź i obaj wsiedli na nią spiesznie.

Arrjusza przyjęto na galerze z honorami, należnemi ulubieńcowi Fortuny. Leżąc na pokładzie, usłyszał on szczegóły zakończenia walki. Gdy wszystkich rozbitków ratowano i rozmieszczano zdobyte łupy, rozwinął on znowu swą flagę przywódcy; poczem żeglował ku północy, ażeby się połączyć z resztą floty i uzupełnić zwycięztwo swoje. We właściwym

czasie, galery kursujące po kanale napadły uciekających piratów i wytępiły ich doszczętnie. Ani jeden nie ocalał. Prócz tego, zabrano jeszcze 20 nieprzyjacielskich galer, co wzmogło sławę trybuna.

Po powrocie z tej wyprawy, Arrjusz był gorąco witany na pobrzeżu m. Mizenum. Młodzieniec, towarzyszący mu, zwrócił na siebie bardzo szybko uwagę będących tam przyjaciół trybuna. Na pytania kto on jest, trybun bardzo życzliwie odpowiadał i w korzystnem świetle przedstawił go, pomijając dawniejsze jego dzieje. Skończywszy opowiadanie, przywołał do siebie Ben-Hura—położył przyjaźnie rękę na jego ramieniu, rzekł:

— Przyjaciele, oto syn mój i spadkobierca, którego,—ponieważ ma wziąć po mnie fortunę, jeśli bogowie pozwolą, żebym jaką zostawił,—znać będziecie pod mojem nazwiskiem. Pragnę, żebyście go tak kochali jak mnie kochacie.

Przy pierwszej nadarzonej sposobności, adoptacja dokonaną została według wszelkich formalności prawnych. Tak to zacny Rzymianin dotrzymał obietnicy, danej Ben-Hurowi, wprowadzając go w świat rzymski. W miesiąc po powrocie Arrjusza, *armilustrium* jego przedstawiano z wielkim przepychem w teatrze Scaurusa. Jedną stronę budowli zajmowały trofea wojenne, z pomiędzy których największy podziw budziło 20 czubów okrętowych z *aplustrami*, wyrąbanemi z tyluż galer. Przed niemi widniał na-

pis tak wielkiemi literami, że mogło go czytać 80,000 widzów, siedzących na ławach:

Zdobyte na korsarzach greckich

w zatoce Euripus

przez

Quintusa Arrjusza Duumwira.

ROZDZIAŁ XIII.

Działo się to w dzisiejszym miesiącu lipcu, roku pańskiego 29, na placu Antjochji w mieście najpotężniejszem po Rzymie, jeśli nie najpopularniejszem.

Panuje powszechne mniemanie, że marnotrawstwo, rozprzężenie obyczajów owoczesnych wzięły początek w Rzymie i ztamtąd rozeszły się po całem cesarstwie; że wielkie miasta odzwierciedlały tylko

obyczaje grodu z nad Tybru. Można powątpiewać o tem. Zepsucie zwyciężonych udzielało się zwycięzcom, posuwało się ono ze wschodu ku zachodowi: Antjochja zaś, to najstarsze siedlisko potęgi i świetności asyryjskiej, była głównem źródłem zgnilizny.

Transportowy okręt wpływał w ujście rzeki Orontes z błękitnych wód morza. Nadchodziło południe. Upał był nie do zniesienia; mimo to, wszyscy usiłowali dostać się na pokład. Ben-Hur znajdował się pośród nich.

Upłynęło 5 lat: młody izraelita stał się dojrzałym mężczyzną. Chociaż biała szeroka szata skrywała nieco jego kształty, widać było, że się wspaniale rozwinęły. Przeszło godzinę siedział on w cieniu żagli; przez ten czas wielu towarzyszy podróży i współziomków jego probowało zawiązać z nim rozmowę, ale nadaremnie. Dawał im odpowiedzi krótkie, choć niezmiernie grzeczne, w języku łacińskim. Jego czysta mowa, wytworny układ, powściągliwość w obejściu—zaciekawiały wszystkich. Kto mu się bliżej przyjrzał, tego zadziwiały niektóre sprzeczności, w osobie tego patrycjusza; ręce bowiem miał szczególnie długie, duże, silne i widocznie spracowane. Wzajemnie zapytywano siebie, kto on jest i jakie są dzieje jego życia. Innemi słowy, najtrafniej go odmaluje to określenie, że wyglądał na człowieka, który wiele już przeżył.

Galera, na której się znajdował, zatrzymawszy się w jednym z portów Cyprusu, przyjęła na swój po-

kład Hebrajczyka budzącego szacunek, spokojnego, ojcowskiego. Ben-Hur odważył się zadać mu kilka pytań. Odpowiedzi obudziły w nim zaufanie i przyszło do długiej rozmowy pomiędzy nimi.

Zdarzyło się, iż gdy galera z Cyprusu wpłynęła do zatoki Orontes, dwa inne statki wjechały na rzekę jednocześnie z nią. W tejże chwili oba obce okręty wywiesiły jaskrawo-żółte chorągiewki. Wszyscy starali się odgadnąć znaczenie tych sygnałów. Nakoniec jeden z pasażerów zwrócił się do poważnego Izraelity po objaśnienie.

— Są to sygnały,—odrzekł tenże,—lecz oznaczają właściciela, nie narodowość okrętu.

— Czy on posiada dużo okrętów?

— Całą flotę.

— Znasz go?

— Jestem z nim w stosunkach handlowych.

Podróżni wpatrywali się w mówiącego, z widocznem zaciekawieniem; nawet Ben-Hur słuchał uważnie.

— Mieszka on w Antjochji,—mówił dalej Hebrajczyk z właściwym mu spokojem.—Ogromne bogactwa zwracają nań uwagę i przez zazdrość ludzie nieprzychylnie mówią o nim. Przed laty żył w Jerozolimie pewien książę bardzo starożytnego rodu, imieniem Hur.

Juda silił się na spokojny pozór, ale serce zaczęło mu bić gwałtownie.

Książę ten, genjalny kupiec, miał przedsiębiorstwa na wschodzie i zachodzie. W wielkich miastach

pozakładał on agencje. Filją Antjochijską powierzy kierunkowi pewnego Simonidesa, który pomimo imienia greckiego był izraelitą. Podobno był to niewolnik Hura. Książę zginął na morzu, ale interesa jego szły dalej niemal równie pomyślnie. Po niejakim czasie nieszczęście przytrafiło się rodzinie księcia. Jego jedyny syn, młodzieniaszek jeszcze, targnął się na jednej z ulic Jerozolimy na życie prokuratora Gratusa. Zamach nie powiódł się i nie wiadomo, co się stało z winowajcą. Zemsta Rzymianina dotknęła cały dom Hurów. Nie uszedł jej ani jeden członek tej rodziny. W ich opieczętowanym pałacu gnieżdżą się teraz gołębie. Majątek skonfiskowany został; prokurator przyłożył do swych ran maść ze złota.

Pasażerowie roześmieli się.

— To znaczy, że zatrzymał dla siebie majątek,— odezwał się ktoś.

— Tak powiadają,—odpowiedział żyd. Powtórzyłem tylko to, com słyszał. Otóż Simonides, który był w Antjochji agentem księcia, zaczął niezadługo prowadzić handel na własną rękę i w zadziwiająco krótkim przeciągu czasu wyszedł na najbogatszego kupca w całym grodzie. Idąc za przykładem swego pana, wysyłał on karawany do Indyj i posiada obecnie na morzu tyle galer, że mogłyby one stanowić flotę królewską. Powiadają, że mu się wszystko wiedzie: wielbłądy jego giną tylko ze starości; okręty nie toną nigdy; gdyby rzucił do rzeki trzaskę, to wypłynęłaby jako bryła złota.

— Dawno mu się tak szczęści?

— Od lat 10-ciu blizko.

— Musiał mieć niemałe kapitały na początek.

— Tak; powiadają, że prokurator zabrał tylko to, co było pod ręką: konie, bydło, domy, włości, okręty, towary. Pieniędzy nie mógł znaleźć, chociaż musiały być bardzo znaczne. Co się z niemi stało, jest dotąd tajemnicą.

— Nie dla mnie,—odezwał się złośliwie jeden z pasażerów.

— Rozumiem cię,—odpowiedział żyd.—Inni także padali na ten domysł. Powszechnie podejrzewają starego Simonidesa, że rozpoczął handel przypomocy owych pieniędzy. Prokurator jest także lub też był tego przekonania, bo w przeciągu 5-ciu lat, dwa razy kazał schwytać kupca i wziąć go na tortury.

Juda z żelazną siłą szarpnął linę, którą trzymał w ręku.

— Powiadają,—ciągnął dalej starzec,—że ten człowiek nie ma ani jednej całej kości. Kiedym go widział ostatni raz, siedział na fotelu, jak bezkształtna masa, obłożony poduszkami.

— Tak go storturowano!—zawołało kilku litościwszych.

— Choroba nie przyprawiłaby go o takie kalectwo. Ale nie uległ cierpieniom. Nie zdołano wymódz na nim żadnego zeznania: to tylko powiedział, że wszystko co ma, jest jego prawowitą własnością i że z niej robi godziwy użytek. Przestano go już je-

dnak prześladować i od samego Tyberjusza ma pozwolenie na handel.

— Pewien jestem, że dobrze za to zapłacił.

— Te okręty do niego należą,—mówił dalej żyd, nie odpowiadając na powyższą uwagę,—Jestto zwyczajem żeglarzy witać się nawzajem żółtemi chorągiewkami, które wywieszają na znak szczęśliwie odbywanej podróży.

Historja starca na tem się skończyła.

Juda, zostawszy po niejakiej chwili sam na sam z żydem, zapytał:

— Jak się nazywał ów książe Jerozolimski o którym opowiadałeś.

— Ben-Hur.

— Co się stało z jego rodziną?

— Syn skazany został na galery. Musiał już umrzeć. Zazwyczaj galernicy wytrzymują tylko rok jeden. O wdowie i córce nie było żadnych wieści. Kto wie, co się z niemi dzieje, nie chce nic powiedzieć. Musiały zmarnieć w podziemiach jednego z tych zamków, co są rozsiane po Judei.

Juda zaszedł do kajuty. Tak był pogrążony w myślach, że prawie nie spojrzał na wybrzeże rzeki, które od morza do miasta było niezrównanie piękne, pokrywały je bowiem ogrody, wabiące Tyryjskiem owocami i winem, przy willach, równających się czarami z Neapolitańskimi. Nie zwrócił też uwagi na przepływającą flotę całą okrętów, nie słyszał śpiewu i wrzawy majtków, z których jedni pracowali, drudzy

weselili się. Horyzont, oblany słońcem, ciężył nad lądem i morzem. Nigdzie nie było cieniu, tylko na jego życiu

Raz jeden ocknął się Juda z zadumy, gdy wskazał ktoś na widniejący zdala, na wybrzeżu, gaj Dafny.

Za ukazaniem się miasta, pasażerowie wylegli na pokład, żeby się nacieszyć wspaniałym widokiem, a znany nam sędziwy żyd objaśniał ich znowu.

— Ta rzeka płynie ku zachodowi,—rzekł, wskazując na południe,—tam oto jest góra Cosius, inaczej Orontes nazywana. Naprzeciw niej wznosi się góra Amnus, a pośrodku leży równina Antjochja. Dalej ciągną się Czarne Góry, zkąd wodociągi królewskie prowadzą do miasta najczystszą wodę, ażeby orzeźwiać spragnionych i skrapiać ulice. Lasy tamtejsze i puszcze są gęsto jeszcze zadrzewione, pełne ptaków i zwierzyny.

— Gdzie jest jezioro?—zapytał ktoś.

— Z tamtej strony, na północ. Można się do niego dostać konno, albo—co jest najdogodniej—łodzią, bo jedna jego odnoga łączy się z rzeką.

— Cóżto za las?—zapytano znowu.

— To gaj Dafny, którego czarów nie można oddać słowami. Sam Apollin go założył i przekłada go nad Olimp. Kto na gaj ten spojrzy choćby jeden raz, pozostaje w nim na zawsze. Jest nawet przysłowie: „Lepiej być robakiem i ogryzać liście morwy w ogrodzie Dafny, niż siedzieć u stołu królewskiego“.

— Więc zapewne radzisz unikać tego niebezpiecznego miejsca?

— Przeciwnie, idźcie, idźcie... Wszyscy tam dążą: filozofowie, cynicy, młodzieniaszki, kobiety, kapłani. Jestem tak dalece przekonany o tem, iż wszyscy pójdziecie, że pozwolę sobie dać wam radę: nie zatrzymujcie się w mieście,—byłoby to stratą czasu,——podążcie odrazu do wsi, leżącej opodal groty. Droga do niej przez ogród, pomiędzy wodotryskami. Patrzcie—tam oto są mury miasta, arcydzieła Xerxesa, mistrza w sztuce budownictwa.

Wszystkie oczy zwróciły się w stronę, którą wskazywał.

— Ta część murów stanęła na rozkaz pierwszego z Seleucydów. Zrosły się one ze skałami, które od lat 300 je dźwigają. Na szczytach murów jest 400 wież, a każda służy za zbiornik wody. Patrzcie, mury są wysokie, a jednak widać z poza nich, w oddaleniu, dwie góry, o których musieliście słyszeć, że współzawodniczą z czubami Sulpiusa. Za niemi widnieje cytadela, w której legjon rzymski cały rok stoi załogą. Naprzeciwko wznosi się świątynia Jowisza, a u jej stóp jest rezydencja posłów,—twierdza tak silna, że napór tłumów byłby dla niej powiewem wiatru południowego.

Majtkowie zaczęli zwijać żagle. Żyd objaśniał dalej.

— Przez ten most prowadzi droga do Seleucji,

Tu są granice żeglugi. To, czego nie można wieźć dalej okrętem, ładuje się tu na wielbłądy. Za mostem zaczyna się wyspa, na której Kalinikus buduje swe nowe miasto, łącząc je 5-ma wielkiemi wiaduktami, tak mocnemi, że nic nie zdoła ich zburzyć: ani czas, ani powodzie, ani trzęsienie ziemi. O samem mieście to wam tylko powiem, że kto je zobaczy, ten do końca życia może się uważać za szczęśliwego.

Właśnie gdy kończył mówić, okręt skręcił powoli i podpłynął ku legarom, będącym pod murem. Nakoniec dorzucono liny, przymocowano kotwicę. Podróż była skończona. Ben Hur odezwał się raz jeszcze do sędziwego izraelity:

— Czy pozwolisz, żebym cię o coś zapytał, nim się rozstaniemy?

Starzec skinął głową na znak przyzwolenia.

— Twoja historja o kupcu zaciekawiła mię, chciałbym go zobaczyć. Wszakże nazwałeś go Simonidesem?

— Tak. Jestto żyd z nazwiskiem greckiem.

— Gdziebym go mógł znaleźć?

Starzec spojrzał przenikliwie.

— Chciałbym ci oszczędzić upokorzenia... on nie pożycza pieniędzy.

— A ja nie zaciągam pożyczek,—odrzekł Ben-Hur, uśmiechając się z jego domyślności.

Izraelita podniósł głowę i zamyślił się chwilę.

— Należałoby się spodziewać, że najbogatszy człowiek w Antjochji zajmuje dom odpowiedni do swego

majątku, tymczasem, jeśli chcesz go odwiedzić, musisz iść wzdłuż rzeki, pod ten oto most. Mieszka tam w chałupce, która wygląda niby pal, podpierający mur.

— Dziękuję ci za objaśnienia.

— Oby pokój twych ojców był z tobą!

— I z tobą także.

Po tych słowach rozstali się.

Dwóch tragarzy wzięło na plecy pakunki Ben-Hura.

— Do cytadeli,—rzekł. Polecenie to wskazywało że zajmuje publiczne, wojskowe stanowisko.

Dwie szerokie ulice, krzyżujące się pod kątem prostym, dzieliły miasto na kwartały. Przy tej, co się ciągnęła z północy ku południowi, stał dziwacznego kształtu duży budynek, zwany Nymphaeum. Gdy tragarze zwrócili się ku południowi, podróżny, jakkolwiek tylko co przybył z Rzymu, zdumiał wobec wspaniałego widoku. Na prawo i na lewo ulicy stały pałace marmurowe, a pomiędzy niemi, wśród 2-ch długich szeregów kolumn, także z marmuru, ciągnęły się drogi, osobne dla pieszych, wozów i bydła. W ulicy tej panował rozkoszny chłód, gdyż pokryta była dachem i co kilka kroków biły wodotryski.

Ben-Hur zamyślony o historji Simonidesa, nie rozglądał się. Doszedłszy do „Omfalusa, olbrzymiego pomnika, złożonego z 4-ch łuków, który wystawił sobie Epifanes, ostatni z Seleucydów,—zmienił on nagle zamiar.

— Nie pójdę dziś do cytadeli,—rzekł do tragarzy,—zaprowadźcie mię do jakiego „khanu",—do tego, co stoi przy moście, na drodze do Seleucji.

Niebawem zaszedł Juda do skromnej lecz obszernej gospody w pobliżu mostu, pod którym mieszkał Simonides. Całą noc przeleżał on na dachu „khanu".

Opanowany radością, powtarzał sobie: Teraz, teraz,—usłyszę co nakoniec o najdroższych mi istotach, —o matce ukochanej i o małej Tirzie. Jeżeli żyją, niebo i ziemię poruszę, żeby je znaleźć.

ROZDZIAŁ XIV.

Nazajutrz, nie zaglądając wcale do miasta, wybrał się Ben-Hur na poszukiwanie domu Simonidesa.

Byłto ciężki stary gmach. Dwoje ogromnych drzwi z przodu prowadziło do szeregu legarów. Zakratowane otwory pod samym dachem, służyły za okna. Ze szczelin wyglądały chwasty i miejscami kępka mchu porastała nagie zresztą kamienie.

Drzwi były otwarte: jednemi wnoszono towary, drugiemi wynoszono. Wszędzie kipiało życie, wszędzie był gorączkowy ruch.

Pośród pak, leżących stosami przed domem, krzątali się niewolnicy. Pod mostem stała na kotwicy cała flota okrętów, na których powiewały żółte chorągiewki. Na przeciwnym końcu mostu wyłaniał się ze zwierciadła wód, który wieżyczkami i balustradami uwieńczony, ciągnął się wzdłuż całej prawie wyspy, opisanej przez nieznajomego. Ben-Hur zwracał na nią jednak mało uwagi. Spodziewał on się dowiedzieć nakoniec czego o rodzinie swojej, w razie, jeżeli Simonides rzeczywiscie był niewolnikiem jego ojca. Ale czy się przyzna do tego? Znaczyłoby to zrzec się bogactw oraz świetnej karjery i co pociągnęłoby ważniejsze jeszcze następstwa, wśród niesłychanego powodzenia wypadłoby mu zaprzestać interesów i dobrowolnie zostać nanowo niewolnikiem. Sama myśl o podobnem żądaniu wydawała mu się szaleństwem, zuchwalstwem. Mógłże mu powiedzieć: Jesteś moim niewolnikiem... oddaj mi wszystko, co masz—i siebie samego

Jednakże Ben-Hur czerpał otuchę w wierze w prawa swoje i silnej nadziei, co się ocknęła w głębi jego serca. Jeżeli opowiedziana mu historja była prawdziwą, to Simonides należy do niego wraz ze wszystkiem, co posiada. Trzeba przyznać, że o fortunę dbał mało. Wszedł we drzwi z tem postanowieniem, że byleby mu Simonides powiedział co o matce i Tirzie, obdarzy go wolnością, nie żądając zdania rachunków.

Śmiało dostał się do wnętrza domu.

Zobaczył wielkie składy towarów przeróżnych. Wśród mroku i zaduchu, ludzie żwawo się krzątali jedni szeregami ustawiali paki; drudzy, uzbrojeni w siekiery i młoty, zabijali skrzynie, mające popłynąć okrętem. Torując sobie zwolna drogę pośród stosu kufrów, rozmyślał nad tem, czy człowiek ,mający takie bogactwa, mógł być niewolnikiem jego ojca? Jeśli był niewolnikiem, do jakiej klasy należał? Jeśli to żyd, czy jest synem niewolnika, czy też dłużnikiem, albo synem dłużnika. A może to złodziej, sprzedany za popełnioną kradzież? Myśli te, przesuwające mu się po głowie, bynajmniej nie zmniejszały w nim poszanowania dla bogatego kupca; owszem wzmagało się ono z każdą chwilą.

Nakoniec zapytał go jeden z robotników:

— Czego żądasz?

— Chciałbym się zobaczyć z kupcem Simonidesem.

— Chodź tędy.

Krętemi ścieżkami, pośród pak, dostali się do wschodów, które ich zawiodły na dach składu. Na dachu tym stał drugi mniejszy domek, kamienny, niewidzialny z dołu, zwrócony od zachodniej strony mostu. Dach owego domku, otoczony nizkim murem, wyglądał jak taras i, ku wielkiemu zdziwieniu Judy, pokryty był kwiatami. Ten dom, w tak świetnem otoczeniu, był to czworobok z szarego kamienia, u którego drzwi od frontu stanowiły jedyny otwór.

Starannie utrzymana ścieżka prowadziła do drzwi, pośród krzaków kwitnących róż perskich. Juda szedł za swym przewodnikiem, napawając się zapachem kwiatów.

W końcu ciemnego korytarza zatrzymali się przed uchyloną zasłoną i przewodnik rzekł:

— Jakiś nieznajomy pragnie widzieć się z naszym panem.

— W imię Boże, niechaj wejdzie,—odpowiedział wdzięczny głos.

Pokój, do którego wprowadzono gościa, byłby przez Rzymianina nazywany atrium. Urządzenie jego wskazywało na bogactwo właściciela, ale księgi i stosy rachunków, leżące pod ścianami, świadczyły, że bogacz i w tym zakątku trudnił się handlem. Podłoga wysłana była grubym szarym kobiercem, który przytłumiał odgłos kroków.

Na środku pokoju znajdowały się dwie osoby: na fotelu o wysokich poręczach, wysłanym poduszkami, siedział mężczyzna, a po lewej jego stronie, oparta o fotel, stała młoda dzieweczka. Na widok tych dwojga Ben Hurowi uderzyła krew do głowy. Skłonił się nizko, nietylko przez szacunek, ale i dla ukrycia wrażenia. Gdy ochłonął i podniósł oczy, spotkał się z badawczem spojrzeniem starca i dziewczęcia.

— Jeśli jesteś kupcem, Simonidesem i żydem, to niechaj pokój Boga naszego ojca Abrahama towarzyszy tobie i blizkim twoim.

Ostatnie słowa zwrócone były do dziewczęcia.

— Jestem tym Simonidesem, o którym mówisz, z urodzenia żydem,—odrzekł starzec dziwnie miłym głosem. Ja, żyd Simonides, odpowiadam na twe powitanie zapytaniem, — co cię, o gościu, sprowadziło w moje nizkie progi?

Ben-Hur przyglądał się mówiącemu. W zagłębieniach poduszek leżała bezkształtna masa w ciemnej jedwabnej sukni. Nad tą zmiażdzoną masą ciała wznosiła się królewska głowa, idealna głowa męża stanu i zdobywcy—głowa, z którejby Angelo wziął był model na Cezara. Srebrzyste włosy spadały na białe brwi, przyczem jeszcze czerniejszemi zdawały się oczy, co ciskały błyskawice. Twarz była blada, pomarszczona, zwłaszcza dokoła ust. Słowem, z głowy i twarzy łatwo było wyczytać, że człowiek ten raczejby cały świat nagiął do swej woli, aniżeliby mu sam uległ; że gdyby go jeszcze 10 razy wzięto na tortury, nie wydałby jęku, nie zrobiłby żadnego zeznania; że wolałby życie złożyć w ofierze, niż odstąpić od powziętego zamiaru; że jedynie miłość zdołałaby go przemódz.

— Jam jest Juda, syn Itamara, z domu Hurów, —rzekł młodzieniec, wyciągając ręce do sędziwego izraelity.

Kupiec zacisnął konwulsyjnie prawą rękę, długą, chudą rękę, świadczącą o przebytych mękach. Byłto jedyny znak życia z jego strony. Nie zdradzając żadnego wrażenia, odrzekł on tylko spokojnie:

— Książęta Jerozolimy, szlachetnej krwi, są zawsze pożądani w moim domu; witam cię więc, o gościu. Estero, podaj krzesło temu młodzieńcowi.

Dzieweczka wzięła krzesło stojące nieopodal i zaniosła je Ben-Hurowi. Gdy je stawiała przed młodzieńcem, spotkały się ich wejrzenia.

— Pokój Pana niechaj będzie z tobą,—rzekła skromnie.—Usiądź i odpocznij.

— Ben-Hur, nie przyjmując krzesła, rzekł grzecznie: proszę czcigodnego Simonidesa, żeby mię nie brał za natręta. Mówiono mi wczoraj na statku, ześ znał mego ojca, więc przychodzę.

— Znałem Księcia Hura. Prowadziliśmy razem różne interesa, jako kupcy, szukający zarobku za morzami i pustynią. Ale usiądź, proszę cię,—a ty, Estero, przynieś wina gościowi. Nehemiasz wspomina o synu Hura, który niegdyś panował nad połową Jerozolimy. Starożytny to ród, bardzo starożytny. Za czasów Mojżesza i Jozuego niejeden z nich znalazł nawet łaskę przed Panem i dzielił zaszczyty z tymi wybrańcami bożymi. Wszak ich potomek nie odmówi wina z jagód Soreku, które rosły na południowych stokach Hebronu.

Właśnie gdy skończył mówić, Estera stanęła przed nim ze srebrnym kubkiem, do którego nalała wina z naczynia, stojącego na stole, nieopodal krzesła. Podała mu napój ze spuszczonemi oczyma. Juda dotknął z lekka jej ręki, odsuwając kubek. Oczy ich znowu się spotkały. Zauważył on teraz, że jest

tak mała, iż mu dochodzi zaledwie do ramion, ale bardzo zgrabna, ładna i że ma oczy czarne z niezmiernie łagodnym wyrazem. Dobra i piękna,—pomyślał,—gdyby Tirza żyła, takby wyglądała. Biedna Tirza!

Potem rzekł głośno:

— Nie, twój ojciec—ale czy to twój ojciec?...

— Jestem Estera, córka Simonidesa,—odrzekła z godnością.

— A więc, piękna Estero, — gdy ojciec twój usłyszy to, co mam mu powiedzieć, z pewnością nie weźmie mi za złe, że nie chcę skosztować tego wyborowego wina; mam nadzieję, że i w twoich oczach nie stracę przez to łaski. Stań tu przy mnie na chwilę!

Oboje zwrócili się ku Simonidesowi, jak gdyby ich łączyła wspólność jakaś.

— Simonidesie,—rzekł Juda uroczystym głosem, ojciec mój, umierając, miał wiernego sługę twego imienia i powiedziano mi, że tym człowiekiem jesteś ty!

Kaleka zadrżał, zacisnął wychudłą rękę i zawołał surowo: Estero! Estero! Stań tu, przy mnie! Twoje miejsce jest tu, nie tam, boś córka moja i żony mojej.

Dzieweczka spojrzała na ojca, potem na gościa, zawahała się przez chwilę, postawiła kubek na stole i posłusznie zbliżyła się do krzesła rodzica. Twarzyczka jej wyrażała zadziwienie i przestrach.

Simonides podniósł lewą rękę, ujął nią dłoń córki, opartą na jego ramieniu i rzekł ze spokojem: Zestarzałem się w obcowaniu z ludźmi, a zestarzałem się przedwcześnie. Jeśli ten, o którym wspomniałeś, był przyjacielem, znającym dzieje mego życia i bez uprzedzenia mię sądził, to musiał ci powiedzieć, żem bardzo podejrzliwy. Mało mam osób drogich sercu, jedną z nich jest... (tu przycisnął do ust rękę, spoczywającą na jego ramieniu), jedną z nich jest ta, która dotąd żyła dla mnie wyłącznie i taką jest osłodą w mojej niedoli, że gdyby mi jej zbrakło, nie przeżyłbym tego ciosu.

Estery głowa spadała coraz niżej, tak że dotknęła jego twarzy policzkiem.

— Druga miłość moja jest wspomnieniem. Tyle tylko mogę powiedzieć o niej, że, jak błogosławieństwo Pana, obejmuje całą rodzinę. Ach, gdybym— tu głos mu zadrżał,—gdybym mógł wiedzieć, gdzie się one znajdują.

Ben-Hur do głębi duszy wzruszony, zbliżył się o krok do starca i zawołał gwałtownie:

— Matka moja! siostra! ach, wszakże o nich mówisz!

Estera podniosła nań oczy, jak gdyby do niej zwracał mowę: ale Simonides uspokoił się już i odrzekł bardzo zimno:

— Wysłuchaj mię do końca. Właśnie dlatego, że niełatwo dowierzam ludziom i w imię miłości, o której wspomniałem, zanim ci powiem, jakie

stosunki łączyły mię z księciem Hurem, — zapytam, czem stwierdzisz swoje pochodzenie. Czy masz dowody piśmienne, albo świadków naocznych?

Pytanie to było bardzo proste i Simonides miał niezaprzeczone prawo je zadać, jednakże Ben-Hur zaczerwienił się, załamał ręce, wybełkotał coś niewyraźnie i odwrócił się zmieszany. Simonides nalegał.

— Dowodów. Dowodów! Pokaż mi je! Daj mi je w ręce!

Ben-Hur nie odpowiadał. Nie był przygotowany na to żądanie. Teraz, dopiero kiedy je usłyszał, zrozumiał, że przez całe 3 lata, które spędził na galerze, zaginął o nim wszelki ślad. Ponieważ matka jego i siostra znikły, żywa dusza o nim nie pamięta.

Na teraźniejszych znajomych nie mógł liczyć, chociaż było ich wielu. Gdyby nawet Kwintus Arrjusz był obecny, nie mógłby nic powiedzieć prócz tego, gdzie go napotkał i że mu wierzy, iż jest synem Hura. Ale, jak się okazało niebawem, waleczny Rzymianin już nie żył. Juda uczuł się tak osieroconym, jak jeszcze nigdy. Stał z załamanemi rękami, z twarzą odwróconą, jak skamieniały. Simonides, szanując jego cierpienie, czekał w milczeniu.

— Mistrzu Simonidesie,—rzekł nakoniec,—mogę ci tylko opowiedzieć moją historję, ale i tego nie uczynię, jeśli się nie wstrzymasz z sądem, dopóki nie raczysz mię wysłuchać.

— Mów,—powiedział Simonides, który był w tej chwili zupełnym panem położenia.—Wysłucham cię

tem chętniej, żem ci nie zaprzeczył, żeś ten, za kogo się podajesz.

Ben-Hur opowiedział wtedy swe życie, pobieżnie tylko, ale z uczuciem, które jest źródłem wszelkiej wymowy. Ponieważ znamy dzieje tego życia do chwili, kiedy Juda wylądował, z Arrjuszem w Mizenum, po zwycięzkiej wyprawie na morze Egejskie, zaczniemy je od tego punktu.

— Mój dobroczyńca cieszył się łaską i zaufaniem cezara, który wynagrodził go za zasługi dostojeństwami. Kupcy wschodni obdarzyli go tak sowicie, że stał się dwa razy bogatszym od największych bogaczy rzymskich. Czy żyd może zapomnieć o swojej religji, lub o swym kraju rodzinnym, jeżeli tym krajem jest święta ziemia ojców naszych. Zacny ten człowiek przybrał mię, według wszelkich formalności za syna. Ja także starałem mu się odwdzięczyć. Rodzony syn nie mógłby uleglejszym być względem ojca. Arrjusz chciał zrobić ze mnie uczonego; chciał mi dać najlepszych mistrzów w sztuce, filozofji, retoryce. Oparłem się jego naleganiom, gdyż jako żyd nie mogłem zapomnieć ani Boga Pana naszego, ani chwały Jego proroków, ani też miasta, założonego na pagórkach przez Dawida i Salomona. Zapytasz, dlaczego przyjmowałem dobrodziejstwa od Rzymianina? Jam go kochał. Prócz tego miałem nadzieję spożytkować jego wpływy dla wyświetlenia tajemnicy, pokrywającej losy mojej matki i siostry. Miałem jeszcze inny powód—o którym tyle tylko powiem,

że mię zniewolił do uczenia się sztuki wojennej. Ćwiczyłem się w arenach cyrkowych zarówno jak i w obozach. Wszędzie wsławiałem swe imię, ale to, którem nosił, nie było imieniem mego ojca. Wszystkie zwycięzkie wawrzyny a niemało ich zdobi ściany atrium w mojej willi w Mizenum, — wywalczyłem, jako syn duumwira Arrjusza. Tylko jako taki jestem znany Rzymianom.... Dążąc wciąż do mego skrytego celu, opuściłem Rzym i przybyłem do Antjochji, żeby towarzyszyć konsulowi Macentiusowi w wyprawie na Partów. Teraz kiedy już umiem władać bronią, chcę przyswoić sobie wyższą sztukę kierowania korpusami wojska na polu bitwy. Konsul przyjął mię do swego najbliższego otoczenia. Ale wczoraj, gdy nasz okręt wpłynął do Orontesu, spotkaliśmy dwa inne okręty z żółtemi chorągiewkami i jeden z podróżnych, ziomek z Cypresu, objaśnił nas, że właścicielem tych okrętów jest Simonides, najbogatszy kupiec w Antjochji. Opowiadał też o niebywałem powodzeniu jego w handlu, o jego flotach i karawanach, i niewiedząc, że mię to interesuje więcej niż innych pasażerów, dodał, że Simonides jest żydem i że był niegdyś sługą Księcia Hura. Wspominał także o okrucieństwach Gratusa i jego przyczynach.

Przy tej wzmiance uchylił Simonides głowę, a córka, chcąc niejako skryć jego wrażenia swoją sympatją, przytuliła główkę do jego piersi. Starzec podniósł zaraz oczy i rzekł pewnym głosem:

— Słucham cię!

— O dobry Simonidesie—! powiedział wtedy Ben-Hur, przystępując krok bliżej. Zdawało się, że całą duszę włożył w te słowa, — widzę, żem cię nie przekonał; że stoję jeszcze w cieniu twego posądzenia.

Twarz kupca była jak marmur nieruchoma, a usta jak marmur milczące.

— Niemniej jasno widzę, jak trudne jest moje położenie,—mówił dalej Ben-Hur. Wszystkie moje stosunki rzymskie mogę udowodnić. Dosyć mi powołać się na konsula, który gości obecnie u gubernatora miasta, ale tych dowodów, jakich się domagasz, nie zdołam dostarczyć; tego nie mogę ci dowieść, żem syn mego ojca. Ci, co mogliby świadczyć za mną, pomarli, albo niestety, znikli na zawsze.

Zasłonił twarz rękami. Tu Estera podniosła się i podała mu odrzucony kubek, mówiąc: To wino pochodzi z krainy, którą wszyscy tak kochamy. Proszę cię, pij!

Głos jej był tak słodki, jak głos Rebeki, podającej kubek wody przy studni nieopodal Nahoru. Spostrzegł łzy w jej oczach, więc wypił wino, mówiąc:

— Córko Simonidesa, serce twe pełne dobroci i łaskawości względem mnie, nieszczęśliwego. Oby cię błogosławił Pan nasz, Bóg! Dzięki ci.

Potem zwrócił się znowu do kupca:

— Ponieważ nie mogę tego udowodnić, że jestem synem mego ojca, cofam prośbę, jaką zaniosłem do ciebie, o Simonidesie—i odejdę, żeby ci się nienaprzykrzać dłużej. Pozwól mi tylko dodać, żem nie

miał na celu pozbawić cię wolności i mienia. W każdym razie powiedział bym ci to, co powiem teraz: wszystko coś zdobył talentem i pracą, jest twoje. Używaj tego w spokoju... Życzę ci wszelkiego powodzenia. Zanim szlachetny Kwintus, mój przybrany ojciec, wyruszył na wyprawę, która była dla niego ostatnią, ustanowił mię swoim spadkobiercą, mam przeto królewską fortunę. Jeśli więc wspomnisz kiedy o mnie, to niechaj zarazem stanie ci zawsze w myśli zapytanie, które—przysięgam ci na proroków i Jehowę, twojego i mojego Boga,—było jedynym celem mego przybycia tutaj. Co wiesz, co możesz mi powiedzieć o matce mojej i Tirzie, mojej siostrze,—tej, coby się równała teraz urodą i wdziękiem córce twojej, która jest osłodą twego życia, jeśli nie samem życiem. O powiedz, co wiesz o nich!

Po twarzyczce Estery spłynęły łzy; ale ojciec jej nie dał się wzruszyć i odpowiedział chłodno:

— Powiedziałem ci już, żem znał Księcia Hura. Przypominam sobie, żem słyszał o nieszczęściu, co spadło na jego rodzinę. Pamiętam, jak mię boleśnie dotknęła ta wiadomość. Sprawca niedoli wdowy mego przyjaciela jest tym samym człowiekiem, który mnie później prześladował. Dodam jeszcze to, żem się usilnie starał zasięgnąć wieści o twej rodzinie, ale—napróżno—nie mogę ci nic powiedzieć o niej.

Ben-Hur westchnął głęboko.

— A więc niema już dla mnie nadziei!—powiedział, usiłując poskromić swe uczucia.—Jestem przy-

zwyczajony do zawodów. Proszę cię, daruj, żem cię naszedł i, jeślim ci się naraził, wybacz to ze względu na moje strapienie. Odtąd będę żył tylko dla zemsty. Żegnam cię.

Gdy doszedł do zasłony u drzwi, obrócił się i dodał: dziękuję wam obojgu.

— Pokój z tobą—rzekł kupiec.

Estera nie mogła przemówić: zanosiła się od płaczu.

Juda oddalił się.

Zaledwie wyszedł młodzieniec, Simonides obudził się niejako ze snu: na twarz wystąpiły mu rumieńce, oczy ożywiły się i zawołał wesoło:

Estero, zadzwoń—prędko!

Przystąpiła do stolika i poruszyła dzwonkiem.

Otworzyły się drzwi w jednej ze ścian i wszedł człowiek, który się nizko skłonił kupcowi.

— Malluch, chodź tu bliżej, do krzesła,—zawołał rozkazująco. Dam ci zlecenie, z którego, bądź co bądź, musisz się wywiązać. Słuchaj! Schodzi teraz do składu młodzieniec wysoki, piękny, w żydowskim stroju. Chodź za nim, jak cień. Przysyłaj mi co noc wiadomość, gdzie on się znajduje, co robi i w jakiem towarzystwie się obraca. Jeśli ci się uda podsłuchiwać jego rozmowy, to donoś mi je dosłownie. Przedewszystkiem masz mię zawiadomić o tem, czego się dowiesz o jego sposobie życia, zwyczajach, zamiarach. Rozumiesz? Spiesz. Czekaj jeszcze, Malluch, jeśli

wyjedzie z miasta, to jedź za nim—i pamiętaj zaprzyjaźnić się z nim. Jeśli cię zapyta, kto jesteś, odpowiedz mu, jak ci wypadnie, tylko nie mów, że pozostajesz w mojej służbie. O tem ani słowa. Spiesz się, spiesz!

Sługa oddał znowu nizki pokłon i odszedł.

Wtedy Simonides zaczął zacierać ręce i smiać się.

— Którego dziś mamy, córko?—zapytał, śmiejąc się wciąż.—Jaki to dzień dzisiaj? Chciałbym pamiętać, że w tym dniu szczęście do nas zawitało. Wyszukaj tę datę z uśmiechem, Estero, i powiedz mi ją także z uśmiechem.

Ta wesołość zdawała jej się nienaturalna i jak gdyby dla położenia jej końca, odpowiedziała smutno.

— Biada mi, jeśli kiedy zapomnę ten dzień!

Natychmiast opuścił ręce i głowa opadła mu na piersi.

— Prawdę mówisz, wielką prawdę, moja córko! —rzekł, nie podnosząc na nią oczu. Mamy dziś 20-ty dzień 4-go miesiąca. Dziś właśnie kończy się 5 lat, moja Estero, jak twoja matka skończyła życie. Przyniesiono mnie wtedy do domu, połamanego przez tortury, takiego, jak mię widzisz oto, i zastaliśmy ją trupem. Umarła z żalu i przerażenia. Ach, dla mnie, była ona jako krzak mirtowy, jako kwiat kamforowego drzewa. Pochowaliśmy ją na ustroniu—w grobie, wykopanym na stoku góry. Nikt nie leży obok niej. Śmierć jej pogrążyła mię w ciemnościach, ale przez te ciemności przedzierał się promyczek, który z bie-

giem czasu stał się zorzą jaśniejącą. O Panie! dzięki ci, że Rachel, żona moja, odrodziła się w Esterze!

Naraz podniósł głowę, jak gdyby mu nagle myśl jakaś zaświtała, i rzekł:

— Wszak na dworze jest biały dzień?

— Było jasno i wesolo, gdy wszedł tu ten młodzieniec.

— Zawołaj Abimelecha; niechaj mię zaprowadzi do ogrodu, zkąd będę mógł widzieć rzekę i statki. Tam, droga Estero, powiem ci, dlaczego jestem tak wesoły, dlaczego serce skacze mi z radości, niby jagnię na pastwisku.

Na odgłos dzwonka wszedł sługa i wytoczył fotel na kółkach, na dach mniejszego domu, nazywany ogrodem. Poprzez róże i rabaty z drobniejszemi kwiatami, sługa zawiózł Simonidesa do miejsca, z którego mógł widzieć dachy pałaców z przeciwległej wyspy, most w dalekiej perspektywie na najodleglejszym brzegu i rzekę pod mostem, pokrytą statkami. Tam-to sługa zostawił go samego z Esterą.

Hałas i zgiełk, dochodzący z pól i z mostu, bynajmniej nie drażniły Simonidesa,—owszem, rodziły w nim nadzieję zysku.

Estera, siedząc na poręczy krzesła, pieściła rękę ojca i czekała, żeby przerwał milczenie. Nakoniec zaczął mówić i to z zupełnym spokojem, gdyż przez silną wolę, odzyskał już był równowagę.

— Uważałem, Estero, gdy młodzieniec mówił

żeś go słuchała z natężoną uwagą i zdawało mi się, że cię zjednał sobie.

Odrzekła ze spuszczonemi oczyma:

— Jeśli to chcesz powiedzieć, ojcze, że wzbudził we mnie zaufanie, to przyznaję, że tak jest.

— A więc w twoich oczach jest on owym zaginionym synem księcia Hura?

— Jeśli nim nie jest,—zawahała się.

— A jeśli nim nie jest, Estero?

— Odkąd pan powołał przed siebie matkę moją, niby niewolnica, nie odstępowałam od ciebie, a stojąc przy twym boku, przysłuchiwałam się twoim mądrym rozmowom z rozmaitymi ludźmi, z których jedni przybywali po zarobki godziwe, inni po nieprawe; nauczyłam się odróżniać prawdę od fałszu i jeśli ten młody człowiek nie jest tym księciem, za którego się podaje, to nigdy jeszcze kłamstwo nie przedstawiło mi się w szacie tak szczerej prawdy.

— Na chwałę Sałomona, córko, dobrze mówisz. Czy wierzysz temu, że ojciec twój był niewolnikiem jego ojca?

— Zdawało mi się, że on sam nie jest pewnym i dla tego zapytał cię o to.

Simonides wodził okiem czas jakiś po swoich okrętach, chociaż myślą był od nich bardzo daleko.

— Jesteś przenikliwa, jako dziecię Izraela, droga Estero i masz dosyć dojrzałości i sił, żeby wysłuchać smutnej historji,—opowiem ci więc o sobie, o twojej matce i o wielu rzeczach przeszłych, których

nie wiesz i które skrywałem przed prześladowaniem Rzymian i w nadziei pomyślniejszych okoliczności. Tobie nie wyjawiłem ich dotąd dla tego, żem chciał, żeby dusza twoja zwracała się ku Panu, niby kwiat ku słońcu! Słuchaj że teraz: ujrzałem światło dzienne w rowie, w dolinie Hinnom, na południowem zboczu Syonu. Rodzice moi, niewolnicy izraelscy, hodowali drzewa figowe i oliwne, oraz winnice w ogrodach królewskich nad sadzawką Siloam. Będąc małem chłopięciem, pomagałem im. Należeli oni do klasy, skazanej na wieczystą niewolę. Gdym podrósł, sprzedano mię księciu Hurowi, który, po królu Herodzie, był wówczas największym bogaczem w Jerozolimie. Z ogrodu przeniósł on mię do składów w Aleksandrji egipskiej, gdzie doszedłem do pełnoletności. Służyłem mu lat 6, w 7-mym zaś roku, na mocy zakonu mojżeszowego, pozyskałem wolność.

Estera klasnęła w rączki.

— A więc nie jesteś niewolnikiem jego ojca!

— Słuchaj dalej, córko. Za owych czasów, w przedsionkach świątyń gromadzili się uczeni doktorowie i wiedli gwałtowne spory o tem, czy dzieci niewolników powinny zostawać na zawsze w stanie niewoli. Ale książe Hur był sprawiedliwym mężem w każdym względzie i tłómaczył zakon według najprostszej sekty, chociaż do niej nie należał. Ponieważ byłem kupionym niewolnikiem hebrajskim, w myśl prawodawcy, przyznał mi dokumentem piśmiennym prawo do wolności.

— A matka moja?—zapytała Estera.

— Dowiesz się wszystkiego, Estero, czekaj cierpliwie. Wprędce zmiarkujesz, że łatwiej mi było zapomnieć o sobie, niż o matce twojej... Gdy się skończyły lata mej niewoli, udałem się do Jerozolimy na święto Paschy. Znalazłem gościnę w domu mego dawnego pana. Kochałem go już wtedy i prosiłem, żebym i nadal pozostał w jego służbie. Zgodził się na to i służyłem mu drugie 7 lat, ale jako najemny syn Izraela. W imieniu mego pana prowadziłem przedsiębiorstwa na morzu i interesy na lądzie; jeździłem z karawanami aż do Suzy, Persepolisu i do dalszych jeszcze krajów tkanin jedwabnych. Były to niebezpieczne wyprawy, moja córko; ale Bóg błogosławił wszystkie moje przedsięwzięcia. Powracałem do domu z bogactwy dla pana mego, a dla siebie z doświadczeniem, dzięki któremu, mogę teraz prowadzić handel na wielką skalę. Pewnego dnia, kiedym gościł w Jerozolimie, weszła służebnica z kilkoma kawałkami chleba na talerzu, z którym najpierw do mnie przystąpiła. Wtedy to pierwszy raz ujrzałem twoją matkę, ukochałem i z miłością tą w duszy powróciłem do domu. Niezadługo udałem się do księcia z prośbą, żeby mi ją dał za żonę. Odpowiedział mi, że ona jest wieczystą niewolnicą, ale jeśli zechce, to ją wyzwoli ze względu na mnie. Odpłaciła mi miłość miłością. Ale dobrze jej było w służbie i nie chciała wolności. Prosiłem, błagałem powracając do niej od czasu do

czasu, lecz ona wciąż jedno odpowiadała: będę twoją żoną, jeśli zechcesz zostać także niewolnikiem. Nasz ojciec Jakób służył 2 razy po 7 lat dla Racheli, więc i ja mogłem był to uczynić dla swojej wybranej; ale twoja matka chciała, żebym był, tak jak ona, wieczystym niewolnikiem. Oddaliłem się, lecz znowu wróciłem. Widzisz to, Estero?

Wskazał tu na swoje lewe ucho:

— Czy nie widzisz śladu szwajcy?

— Owszem;—odrzekła,—ach, widzę także, jak bardzo kochałeś moją matkę.

— Kochałem ją, Estero! Ona mi była milszą niż Sulamitka królowi poetów i mędrców, piękniejsza, czystsza; dla mnie była ona jak fontanna ogrodowa, jako zdrój ożywczej wody, jako strumień Libanu. Na prośbę moją, pan mój poprowadził mię do sędziów, a potem znowu do drzwi swego domu i przybił mi szwajcą ucho do drzwi,—przez co zostałem jego niewolnikiem na wieki. W taki to sposób pozyskałem Rachelę. Czyjaż miłość może się równać z moją miłością?

Estera pochyliła się, pocałowała go i milczeli chwilę oboje, myśląc o zmarłej.

— Pan mój utonął w morzu,—było to pierwsze moje strapienie, — mówił dalej kupiec. Żałoba pokryła jego dom i mój tu w Antjochji. Słuchaj teraz uważnie, co ci powiem, Estero! Gdy szlachetny książe skończył życie, zostałem był właśnie zarządcą wszystkich jego posiadłości. Możesz z tego wno-

sić, jak dalece mi sprzyjał i ufał. Podążyłem do Jerozolimy, żeby zdać rachunki wdowie. Zatwierdziła mię ona w zarządztwie, pracowałem więc dalej z największą gorliwością. Interesy szły coraz pomyślniej. Upłynęło 10 lat. Wtedy to stało się owo nieszczęście, o którem mówił ten młodzieniec,—wypadek ów, zdarzył się, jak on powiada—prokuratorowi Gratusowi. Rzymianin utrzymywał, że to był zamach na jego życie i pod tym pozorem zagarnął ogromną fortunę wdowy i dzieci. Niedosyć na tem: żeby spokojnie używać zagrabionego majątku, zgładził ze świata wszystkich, co mieli do niego prawo. Od owego strasznego dnia, rodzina Hurów nie dała już znaku życia. Syn, którego znałem w dzieciństwie, został skazany na galery; wdowę zaś i córkę musiano wtrącić do jednego z tych więzień judzkich, co, jak grób—zamykają się na zawsze za biednemi skazańcami. Zatarły się one zupełnie w pamięci miasta, jakby je morze pochłonęło. Nie mogliśmy się dowiedzieć, w jaki sposób skończyły życie, ani nawet, czy je skończyły.

Oczy Estery zaszły łzami.

— Masz dobre serce, Estero,—tak dobre, jak matka twoja miała. Oby ono nie doznało losu wszystkich serc tkliwych, które depcą ludzie ślepi i nielitościwi. Ale słuchaj dalej. Pospieszyłem do Jerozolimy, żeby się oddać na usługi mojej dobrodziejce, tymczasem porwano mię u bramy miasta i uprowadzono do podziemi twierdzy Antonia; dla czego, nie wie-

działem, dopóki sam Gratus nie przybył, żądając pieniędzy rodziny Hurów. Wiedział on, że podług żydowskiego zwyczaju, tylko za moim podpisem można było pościągać kapitały ze wszystkich rynków świata. Żądał odemnie przekazów. Jam się opierał. Przywłaszczył sobie domy, włości, bydło, towary, okręty i wszelkie ruchomości dobroczyńców moich, ale pieniędzy postanowiłem mu nie oddać. Wiedziałem z góry, że przy Boskiej pomocy mogę zruinowany majątek podźwignąć, nie zastosowałem się więc do żądania tyrana. Wziął mię na tortury, alem ja się nie ugiął. Wypuścił mię w końcu na wolność, nic nie wskòrawszy. Po powrocie do domu, prowadziłem dalej interesy pod imieniem Simonidesa z Antjochji, zamiast księcia Hur z Jerozolimy. Wiesz, jak mi się szczęściło. Miljony, księcia będące w moim ręku, mnożyły się zdumiewającym sposobem. Wiesz, że po upływie 3-ch lat, w drodze do Cezarei zostałem znów pojmany i Gratus oddał mię powtórnie katom. Miał nadzieję, że wymusi ze mnie wyznanie, iż towary moje i pieniądze podlegają konfiskacie. Wiadomo ci, że i tym razem katusze były daremne. Złamany na ciele, powróciłem do domu i zastałem moją Rachelę umarłą z przestrachu i przerażenia. Pan Bóg nasz pozwolił, bym został przy życiu. Od samego Cezara kupiłem pozwolenie na handel w całym świecie. Dziś—dzięki niechaj będą Temu, co w obłokach niby na wozie siedzi i po wichrach jeździ, — dziś, Estero,

majątek w me ręce oddany, wzrósł tak dalece, że wzbogaciłby samego Cezara.

Podniósł dumnie głowę, oczy ich spotkały się: wyczytali w nich nawzajem swe myśli. Co ja mam zrobić z temi talentami, Estero?—zapytał, nie odrywając od niej oczu.

— Ojcze mój,—odpowiedziała cichym głosem,—wszakże prawowity ich właściciel był tu przed chwilą.

Simonides nie spuścił wzroku.

— A ty, moje dziecię, mamże cię uczynić żebraczką?

— Ojcze, alboż jako córka twoja, nie jestem jego niewolnicą? Czyż nie powiedziano o dzielnej niewieście: „Siła i cześć były jej szatą godową, radować się będzie w czasie przyszłym a blizkim“.

Promień niewysłowionej miłości rozjaśnił twarz Simonidesa, gdy wymówił te słowa: Pan okazał mi swe miłosierdzie w wielu rzeczach, ale ty, Estero, jesteś koroną Jego łask.

Przycisnął ją do piersi i ucałował.

— Słuchaj teraz,—rzekł, pewniejszym już głosem,—dowiesz się, czegom się śmiał dziś rano. Ten młodzieniec wydał mi się żywym obrazem swego ojca, gdy miał jego lata. Serce moje rwało się ku niemu. Czułem, że dni moich prób i mozołów zbliżają się do końca. Trudno mi było powstrzymać łzy. Byłbym mu chciał uścisnąć rękę, wykazać w księgach miljony i powiedzieć mu: Wszystko to jest twoje, i jam także niewolnikiem twoim. Byłbym to uczynił, Este-

ro, byłbym to uczynił, ale wpierwej chcę się przekonać, czy on jest synem mego pana—a jeśli nim jest, zbadam jego charakter, zanim mu zwrócę jego skarby. Pomyśl tylko, Estero, ilu jest takich pomiędzy zrodzonymi wśród bogactw, w których ręku majątek jest klęską dla społeczeństwa.

Umilkł, zacisnął ręce i wykrzyknął namiętnie:

— Estero, pomnij na to, jakie katusze przecierpiałem od Rzymian; nietylko od samego Gratusa, bo nędznicy, którzy za pierwszym i drugim razem spełniali jego rozkazy, byli Rzymianami. Najgrawali się oni z moich krzyków boleści. Przyjrzyj się mojemu połamanemu ciału, przypomnij sobie, od ilu lat jestem pozbawiony członków; przypomnij sobie matkę, leżącą w grobie; przypomnij sobie cierpienia rodziny mego pana, gdyby żyła, albo okrutny sposób pozbawiania ją życia, jeśli już zgładzona jest ze świata. Pomyśl o tem wszystkiem, moja córko i powiedz, czy ani jeden włos nie ma spaść z niczyjej głowy, ani jedna kropla krwi popłynąć na odkupienie tylu mąk? Nie odpowiadaj mi słowy kapłanów: zemsta jest w ręku Boga. Alboż Pan nie używa narzędzi dla wymierzenia kary, zarówno jak i nagrody? czy nie liczy On więcej wojowników aniżeli proroków? Wszakże prawo Jego nakazuje: „Oko za oko, ząb za ząb". O, przez te wszystkie lata marzyłem o zemście, modliłem się o nią i przygotowywałem ją! Cierpliwie zbierałem skarby w tej nadziei, że Pan uczyni mię kiedyś na-

rzędziem kary na winowajców. I kiedy młodzieniec wspomniał, że się ćwiczył w sztuce wojennej dla celu, którego nie wyjawi, ja cel ten nazwałem—zemstą! Oto powód, żem milczał i nie ugiął się, dopóki on opowiadał swą historję, oto przyczyna mojej radości, gdy odszedł.

Estera pieściła pomarszczone ręce ojca.

— Odszedł... Czy powróci kiedy?—rzekła, jakby do siebie.

— O, wierny mój Malluch, któremu poleciłem chodzić za nim, sprowadzi go, jak tylko będę gotów na przyjęcie.

— A kiedy to nastąpi, ojcze?

— Niedługo, niedługo. On myśli, że wszyscy jego świadkowie pomarli; tymczasem żyje ktoś, co go z pewnością pozna, jeśli on jest rzeczywiście synem mego pana.

— Jego matka?

— Nie, córko. Wkrótce stawię przed nim tego świadka. Tymczasem oddajmy tę sprawę Boskiej opiece. Jestem znużony. Przywołaj Abimelecha.

Estera zawołała sługę i powrócili do domu.

ROZDZIAŁ XV.

Ben-Hur wyszedł dziwnie zgnębiony z szarego kamiennego domu. Do wszystkich zawodów, jakich doznał w poszukiwaniu swej rodziny, przybył mu jeszcze jeden, o tyle bolesny, o ile drogie mu były osoby, których szukał. Opanowało go uczucie osamotnienia, —uczucie, które łacniej niż cokolwiek bądź wywołuje w duszy tkwiące w niej szczątki przywiązania do życia.

Pomiędzy ludźmi i stosami towarów torując sobie drogę, doszedł do wybrzeża. Chłodne nurty rzeki wabiły go i zdawały się nań czekać. Jakby dla zrównoważenia tego magnetycznego pociągu, przypomniały mu się słowa: Lepiej być robakiem i ogryzać liście morwowe w gaju Dafne, niż zasiadać, jako gość, u stołu królewskiego. Odwrócił się i pospieszył do khanu.

— Droga do Dafne!—zawołał.

Strażnik, stojący u wrót, rzekł z zadziwieniem:

— Pierwszy raz tam pójdziesz? A więc zalicz ten dzień do najszczęśliwszych w swem życiu. Nie możesz zabłądzić. Najbliższa ulica na lewo, idąc w stronę południową, prowadzi wprost do Góry Sulpiusa, dźwigającej na swym szczycie ołtarz Jowisza i amfiteatr; potem dojdziesz do trzeciej przecznicy,

zwanej kolumnadą Heroda; następnie zwrócisz się na prawo i pójdziesz przez stare miasto Seleukusa do bronzowych wrót Epifanesa. Tam zaczyna się droga do Dafne. Oby ci bogowie towarzyszyli.

Ben-Hur, wydawszy rozporządzenia co do swych pakunków, puścił się w drogę.

Od kolumnady Heroda, którą z łatwością znalazł, szedł do bram bronzowych pod długim marmurowym portykiem, pośród tłumu ludzi, przybyłych tu ze wszystkich handlujących krajów.

Dochodziła 4-ta popołudniu, gdy wyszedłszy za bramę, ujrzał się pośród pątników, idących długą procesją do słynnego gaju. Droga dzieliła się na osobne ścieżki dla pieszych, jeźdźców i wozów; te zaś znowu rozpadały się na dróżki dla idących do Dafne i dla powracających ztamtąd. Linje demarkacyjne były odznaczone nizkiemi balustradami, osadzonemi w masywnych piedestałach, po większej części ozdobionych posągami. Po prawej i lewej stronie drogi rozciągały się śliczne łąki, a na nich gdzieniegdzie stały grupy dębów, sykomorów i altany obrosłe winem dla wygody znużonych pielgrzymów, których w powrotnej drodze bywało bardzo wielu. Ścieżki dla pieszych były wyłożone kamieniem czerwonym dla konnych zaś—wysypane zwirem mocno utłoczonym, ale niedosyć zbitym, żeby się rozlegało echo kopyt, albo kół. Liczba i rozmaitość wodotrysków, zdobiących te miejsca, była zadziwiająca, a wszystkie, będąc fundacji królów, co zwiedzali gaj, nosiły

ich imiona. Wspaniała ta ulica ciągnęła się na południozachód od miasta, przeszło na polską milę. Ben-Hur, rozgoryczony po doznanym zawodzie, mało zwracał uwagi na monarsze dary, przystrajające drogę.

Zrazu, nie rozglądał się też po tłumie, wśród którego szedł. Obojętny był na wszystko. Pochłaniały go myśli; wreszcie, cóż tam mogło zaciekawiać człowieka, przybywającego z Rzymu—z tego złotego słupa, uznanego za centrum świata. Alboż prowincja mogła posiadać coś nowszego lub piękniejszego? Ben-Hur zniecierpliwiony powolnem posuwaniem się naprzód, przedzierał się ciągle poprzez tłum. Gdy doszedł do Heraklei, wioski leżącej nieopodal miasta i gaju, trochę znużony długim pochodem, uczuł potrzebę rozrywki. Najwpierw zwróciła jego uwagę piękna kobieta, prowadząca parę koźląt, – jak ona sama, przystrojonych kwieciem i wstążkami. Potem stanął, żeby się przyjrzeć ogromnemu bykowi śnieżnej białości, pokrytemu świeżo zerwanym winogradem. Na szerokim grzbiecie zwierzęcia siedziało nagie dziecię w koszyku,—obraz młodego Bachusa, wyciskającego sok z dojrzałych winogron do kubka i pijącego ze zwykłemi formułami libacji. Gdy się puścił w dalszą drogę, zaciekawiło go to, na czyich ołtarzach składano tak bogate dary. Przejechał koń z obciętą ówczesnym zwyczajem grzywą; na nim zaś siedział jeździec w przepysznym stroju. Ben-Hur uśmiechnął się na widok jednozgodnej dumy człowieka i zwierzęcia. Potem często obracał głowę, gdy go doszedł

turkot kół albo głuchy tentent kopyt. Bezwiednie zaczął się interesować kształtem wozów i postacią woźniców, co go mijali w tę i ową stronę. Niezadługo zaczął się przyglądać i otaczającej go ciżbie. Zobaczył, że się ona składa z ludzi rozmaitego wieku, stanu i płci, że wszyscy są w świątecznych szatach. Jedna kompanja była cała w bieli, druga w czerni; jedni nieśli flagi, inni kadzielnice dymiące; szli zwolna, śpiewając hymny; tamci maszerowali przy odgłosie fletów i bębnów. Jeśli takie procesje dążą do Dafne codzień przez cały rok, to jakże cudowny widok musi przedstawiać ten gaj! Nakoniec nastąpiło klaskanie w ręce i okrzyki radosne. Idąc za wskazówką wielu wyciągniętych palców, spojrzał i zobaczył na wierzchołku góry wrota gaju świętego. Hymny rozległy się głośniej; muzyka przyspieszyła tempo.

Ben-Hur, porwany przez tłum i równie jak on zaciekawiony, poszedł do Dafne. Chociaż tylko co oglądał piękności Rzymu, oniemiał z podziwu, na widok, jaki się przed nim roztoczył.

U samego wejścia stała świątynia w czysto greckim stylu. Przed świątynią ciągnęła się szeroka esplanada, wyłożona płytami z wygładzonego kamienia. Dokoła niego ruchliwa i krzykliwa ciżba, w jaskrawych szatach, odbijała od kryształowobiałych rzutów wody z fontan. Przed nim na południo-zachód, starannie utrzymane ścieżki przecinały w różnych kierunkach ogród, a potem las, przysłonięty blado-błę-

kitną opną pary. Ben-Hur rozglądał się oczarowany, niewiedząc w którą stronę się zwrócić. Nakoniec puścił się machinalnie jedną ze ścieżek.

W normalnym nastroju ducha, młodzieniec wraziłby sobie w pamięć ciekawsze punkty przed zwiedzeniem ogrójca, ale pod wpływem gorzkiego zawodu, jakiego doznał, szedł nieprzygotowany. Postępując za procesją, przekroczył bramę. Zbyt obojętny, żeby zapytać, dokąd go droga prowadzi, powziął jednak przekonanie, że musi wieść do której ze świątyń, największych osobliwości w tym gaju, tak obfitującym w niezwykłe widoki. Naraz znowu stanęły mu w pamięci słowa: „Lepiej być robakiem i ogryzać liście morwowe w gaju Dafne, aniżeli siedzieć, jako gość, u stołu królewskiego".

Słowa te nasunęły mu rozmaite pytania: „Dlaczego życie jest tutaj tak przyjemne? W czem leży ów urok? Może w głębi niezbadanej filozofji?— Albo może przyczyny tego są jawne, każdemu z przybyszów wiadome?—Co rok tysiące ludzi opuszcza świat, żeby osiąść tutaj; czy oni odkryli, na czem polega tajemnica tych czarów?—I czy to, co tu znajdują, zapełnia im życie?—Jeśli gaj daje innym tyle zadowolenia, może i jemu przyniesie pokój?—On jest żydem, możeż-to być, żeby to, co ma powab dla innych, nie miało go dla dzieci Abrahama? Przejęty takiemi myślami, postanowił zbadać tajemnicę tej miejscowości, nie zważając na to, co się dzieje dokoła.

Gdy się puścił w dalszą drogę, zaleciała go z prawej strony słodka jakaś woń, niby róż i innych aromatycznych kwiatów wschodu. Zatrzymał się i spojrzał w kierunku zapachów.

— Czy tam jest ogród jaki?—zapytał stojącego nieopodal człowieka.

— Musi-to być raczej miejsce, gdzie składają ofiary,—odpowiedział tenże w ojczystym jego języku.

— Czyś ty Hebrajczyk?—spytał znowu Ben-Hur.

— Urodziłem się w Jerozolimie, o rzut kamienia od rynku.

— Młodzieniec miał coś odpowiedzieć, kiedy tłum porwał go i rozłączył z nieznajomym. Zachował tylko w pamięci postać rodaka: miał on twarz zdradzającą pochodzenie żydowskie, ciemno-bronzową szatę i na głowie takiż zawój, obwiązany żółtym sznurem.

Spotkanie ich nastąpiło w miejscu, gdzie ścieżka skręcała się do lasu. Podążył nią, żeby się usunąć od zgiełkliwej ciżby. Zrazu zapuścił się w gęstwinę, która zdaleka zdawała się być w stanie natury, niedostępna, dzika—istne siedlisko dzikiego ptactwa, lecz o kilka kroków dalej nosiła już ślady ręki ludzkiej. Krzaki były pokryte kwieciem lub owocem pod uginającemi się gałęźmi; stroiły ziemię także różnobarwne kwiaty, nad któremi jaśmin zwieszał delikatne gałązki. Bzy i róże, lilje i tulipany, oleandry i mącznice garbarskie—sami starzy przyjaciele

z ogrodów, dolin okalających miasta Dawidowe, dzień i nocą przepełniały powietrze woniami. Aby niczego nie brakowało do szczęścia nimfom i najadom krystaliczny strumyk wężykiem przepływał ukwieconą łąkę.

Ben-Hur zagłębiał się w gaj—a na prawo i na lewo gruchały gołąbki i synogarlice; kosy czekały jego nadejścia i pozwalały mu się zbliżać do siebie; słowik siedział bez obawy na gałęzi, chociaż przeszedł tuż koło drzewa; przepiórka przeleciała przed jego nogami, zwołując pisklęta, które wiodła.

Ben-Hur usiadł na ziemi pod drzewem cytrynowem, które sięgało brunatnemi korzeniami aż do wody. Gniazdo sikory wisiało tuż nad szemrzącym strumykiem i małe to stworzonko, patrzyło mu w oczy ze swojej siedziby.

— Ta ptaszyna odsłoniła przedemną tutejszą tajemnicę...—pomyślał.—Zdaje się mówić: „Nie lękam się ciebie, bo tu miłość panuje wszechwładnie"

Zrozumiał już urok tego gaju, i ogarnięty błogiem uczuciem, postanowił być jednym z tych, co nazawsze pozostają w Dafne. Czy hodując kwiaty i krzewy, wpatrując się we wszystkie cuda tego ogrójca, nie mógłbym tu spędzić wszystkich dni mego życia?—myślał.

Stopniowo rozbudziła się w nim żydowska natura,

— Powaby te mogą wystarczyć niektórym ludziom. Ale jacy-to są ludzie?

Miłość jest rozkoszną—ach, jakżeby odczuwał jej błogość po cierpieniach, jakie przetrwał. Ale czy miłość jest wszystkiem w życiu—wszystkiem?

— Moje położenie jest inne, aniżeli tych, co się tu dobrowolnie zagrzebali,—myślał dalej.—Oni nie mają obowiązków... mogli ich nie mieć; ale ja......

— Boże Izraela!—wykrzyknął i zerwał się z rozpaloną twarzą: Matko! Tirzo! Przeklętą niech będzie chwila, przeklętem to miejsce, w którembym się oddał szczęściu, nie odnalazłszy was!

Wybiegł spiesznie z niebezpiecznej gąszczy. Niezadługo znalazł się przy strumieniu, rozlanym szeroko jak rzeka, pomiędzy dwoma murami. Ścieżka, którą dążył, doprowadziła go do mostu na owym strumieniem; z mostu tego zobaczył inne piętrzące się mosty—każdy odmienny. Pod nim woda, przejrzysta jak cień, drzemała w głębokim stawie; nieco dalej zaś szumiała na skałach. Potem był drugi staw, drugi wodospad i tak ciągle, jak mógł okiem sięgnąć; a mosty, sadzawka i szumiące kaskady wyraźnie mówiły, iż rzeka ta płynie za zgodą pana i ściśle według pana tego woli, stała się bowiem posłuszną niewolnicą bogów.

Stojąc na moście, miał przed sobą krajobraz rozległych dolin i nieregularnych wzgórz, na których widniały gaiki, jeziora i fantastyczne wille, połączeon białemi ścieżkami i połyskującemi od słońca strumykami. Poniżej rozciągały się doliny, aby rzeka mogłe je zraszać w razie suszy. Wyglądały one niby

zielone kobierce, przetykane kwieciem i upstrzone owcami, białemi jak kule śniegu.

Głosy pasterzy, idących za trzodami, rozlegały się w dal.

Pod gołem niebem było ustawionych mnóstwo ołtarzy. Przy każdym z nich składał ofiary kapłan w białej szacie, a pomiędzy ołtarzami przesuwały się zwolna procesje ludzi także w bieli. Dym kadzideł wzbijał się ku niebu mglistemi obłokami.

Nagle zrozumiał Ben-Hur—gaj był świątynią rozległą, świątynią nie ograniczoną ścianami! Budowniczy nie ozdobił jej kolumnami i portykami, tylko przyrodę uczynił służebnicą swoją. W taki sam pomysłowy sposób syn Jowisza i Kalisty urządził Arkadję; a tak tu, jak tam—przewodniczył mu genjusz grecki.

Z mostu zeszedł młody izraelita do poblizkiej doliny.

Napotkał na łące trzodę owiec, a strzegąca je pasterka mrugnęła figlarnie okiem, wabiąc go do siebie.

Dalej stanął mu na drodze piedestał z czarnego gnejsu, który podpierał płytę z białego marmuru, pięknie rzeźbioną w zęby; na płycie zaś, w bronzowym ofjarniku, płonęło kadzidło. Stojąca przy kadzielnicy kobieta, zobaczywszy młodzieńca, przywoływała go do siebie gałązką brzozy. Uśmiech jej kusił namiętną młodością.

Dalej jeszcze spotkał jedną z procesyj, a na czele jej grono dziewczątek nagich, prócz wieńców na główce, śpiewało piskliwie; potem gromadka chłopców, także obnażonych, z ciałem ogorzałem od słońca, tańczyło przy śpiewie owych dziewcząt. Za nimi postępowała druga procesja, złożona z samych młodych kobiet, które niosły do ołtarzy kosze, pełne bakalij i różnych słodyczy. Kobiety owe, w powiewnych i przejrzystych szatach, wyciągały ku Ben-Hurowi ręce i wabiąc okiem, wołały: chodź z nami! Używajmy życia.....

Ale młody żyd szedł dalej, obojętny. Niebawem przybył do rozkosznego gaju w pośrodku doliny, w najponętniejszym punkcie dla oka wędrowca. Na krańcu ścieżki, dostrzegł on połyskujący posąg w rozkosznie zacienionym zakątku.

Trawa była tam świeża i starannie utrzymana. Drzewa nie cisnęły się jedno na drugie. Były to przeróżne drzewa wschodnie i z innych dalekich okolic świata sprowadzane. Tu, niby królowe — stały dumne palmy, tworząc osobną gromadę; tam jawory, o misternie wyzębionych liściach, piętrzyły się nad ciemnemi wawrzynami; dalej sterczały wiecznie zielone dęby i cedry tak rozłożyste, że mogły być królami Libanu. Były też morwy, terebinty, tak piękne, jak gdyby przeniesione wprost z rajskich ogrodów.

Ów posąg, bielejący zdaleka, przedstawiał Dafne przecudnej urody. Ale Ben-Hur rzucił na nią tylko przelotne spojrzenie. Oko jego pociągnęła para ko-

chanków, śpiących na tygrysiej skórze, u stóp piedestału, obok narzędzi swej pracy,—jego siekiery i kosy, oraz jej koszyka,—rzuconych na stos więdnących róż.

Obraz ten zrobił na nim wstrząsające wrażenie. Jak tam, w głębi cichego gąszczu, zdawało mu się, że tajemnicą wielkiego gaju jest spokój bez obawy i nieomal uległ mu,—tak teraz, w tym śnie, przy olśniewającem świetle dziennem, w tym śnie u stóp Dafny, przeczytał dalszy rozdział, nie potrzebujący komentarza. Poznał, że prawem miejsca tego—miłość, ale miłość nieuprawniona.

I to jest ten rozkoszny gaj Dafny!

Taki cel życia jej kapłanów!

Dla takiego celu królowie i książęta zrzekają się swych koron i mocy!

Takiemu celowi służy cała przyroda—jej ptaki, strumienie i lilje; rzeka, praca wielu rąk, świętość ołtarzy, zapładniająca potęga słońca!

Ben-Hur szedł dalej przyspieszonym krokiem, z głową wyżej wzniesioną i rozglądał się dokoła spokojniej już, chociaż niekiedy z wyrazem wzgardy na ustach.

Rozwijał się przed nim las cyprysowy, w którym każde drzewo było wysmukłe jak kolumna i proste jak maszt. Spragniony chłodu i cieniu, puścił się Juda w głąb gąszczy. Po chwili ucho jego uderzyła wesoła trąbka, a zaraz po tem spostrzegł leżącego na trawie ziomka, którego był spotkał, szukając świątyń. Ów człowiek wstał i przybliżył się do niego.

— Pozdrawiam cię powtórnie,—rzekł wesoło.

— Dziękuję ci,—odpowiedział Ben-Hur i zapytał:—czy idziesz w tą samą stronę, co ja?

— Ja idę do stadjum,—a ty?

— Do stadjum!

— Tak. Trąbka, którą słyszałeś przed chwilą, wzywała współubiegających się.

— Nie znam wcale tego miejsca, więc byłbym ci wdzięczny, szanowny ziomku, gdybyś chciał być przewodnikiem moim.

— I owszem, sprawi mi to wielką przyjemność. Słyszysz tentent wozów? Spieszą na plac gonitwy.

Ben-Hur wsłuchiwał się chwilę, poczem położywszy rękę na ramieniu nieznajomego, rzekł:

— Jestem synem duumwira Arrjusza—a ty?

— Jam jest Malluch, kupiec z Antjochji.

Idźmy prędko na plac wyścigów; mam trochę wprawy w tych ćwiczeniach i chciałbym się przyjrzeć tutejszym.

Malluch zwlekał z odpowiedzią.

— Duumwir był rzymianinem,—rzekł nakoniec, —a jednak syna jego widzę w ubiorze żydowskim.

— Szlachetny Arrjusz był moim przybranym ojcem,—odpowiedział Ben-Hur.

— Taak! Przepraszam cię.

Wyszedłszy z lasu, dostali się na rozległe pole, gdzie był tor, świeżo usypany z piasku polanego wodą i odgrodzony od publiczności sznurem przeciągniętym na łokieć nad ziemią. Dla wygody widzów były

urządzone dwa rzędy siedzeń pod osłoną płócienną. Dwaj przybysze także zajęli tam miejsca.

Ben-Hur rachował wozy wjeżdżające na stadjum. Było ich wszystkich dziewięć.

— Tęgie zuchy!—rzekł.—Myślałem, że tu, na wschodzie, poprzestają na parze koni; ale widzę, że są ambitni i występują z królewskiemi czwórkami. Przyjrzyjmy się ich ćwiczeniom.

Osiem z owych czwórek ukazało się na placu gonitw; jedne przeszły zwolna, inne przebiegły truchtem,—a wszystkie były wybornie prowadzone. Dziewiąty rydwan wpadł galopem. Ben-Hur wykrzyknął:

— Bywałem w stajniach cesarskich, Malluchu, ale przysięgam na ojca Abrahama, że tak dzielnych rumaków nie widziałem nigdy.

Właśnie gdy mówił te słowa, ostatnia czwórka mignęła się przed nim. Naraz poplątały się konie. Pomiędzy publicznością rozległ się przeraźliwy krzyk. Ben Hur obrócił głowę i zobaczył starca, który podniósł się do połowy z nizkiego siedzenia, ręce załamał i wzniósł do góry, z oczu ciskał błyskawice. Długa biała broda spadała mu na piersi. Niektórzy z widzów, siedzący nieopodal niego, zaczęli się śmiać.

Powinni uszanować przynajmniej jego siwiznę, —odezwał się Ben-Hur i zapytał: Kto to jest?

To bardzo wpływowy mieszkaniec pustyni, z okolicy Noabu i właściciel stad wielbłądów i koni, pochodzących podobno od rumaków pierwszych Faraonów—Szeik Ilderim z imienia i godności.

Tak brzmiała odpowiedź Mallucha.

Woźnica tymczasem usiłował poskromić konie, lecz napróżno; a każdy jego daremny wysiłek rozjątrzał jeszcze bardziej Szeika.

— Abaddon, łap go!—krzyknął rozpaczliwie patryarcha.—Biegnij! Leć! Słyszycie, dzieci?—Pytanie to zwrócił do otaczających go sług.—Czy słyszycie? To są dzieci pustyni, tak samo jak wy. Trzymajcie, prędko!

Konie plątały się coraz bardziej.

— Przeklęty rzymianin!—Krzyknął Szeik, grożąc pięścią woźnicy.—A zaklinał się, że potrafi kierować końmi, przysięgał na wszystkie łacińskie bogi swoje. Daj mi pokój—mówiłem—ale on zaczął się znów przysięgać, że latać będą jak orły, a powolnemi będą, niby jagnięta. Przekleństwo jemu, przekleństwo matce, która kłamcę tego nazwała synem swoim. Widzicie te skarby moje? Niechaj się tylko ośmieli dotknąć biczem którego.

Zgrzytnął zębami, niedopowiadając reszty słów.

Kilku sprytniejszych z otoczenia starca, stanęło pomiędzy nim a końmi. Wybieg ten udał im się tem lepiej, że zbrakło mu już tchu.

Ben-Hur zrozumiał uczucia Szeika i sympatyzował z niemi. Odgadywał on, że patryarcha nie powoduje się dumą właściciela tych pięknych stworzeń lecz niepokojem o rezultat wyścigów; wierzył, że— zgodnie ze swemi pojęciami o wartości rzeczy, może

on kochać takie zwierzęta nietylko tkliwie, ale niemal namiętnie.

Wszystkie 4 były skaro-gniade, doskonale dobrane i tak proporcjonalne, że się zdawały mniejsze, aniżeli były w rzeczywistości.. Kształtne uszy sterczały im nad małemi główkami; w nozdrzach widniała skóra czerwona jak ogień. Szyje miały pięknie wygięte, a grzywy jedwabiste, gęste, spadały na piersi i grzbiet.

Od kolan do pęcin nogi były płaskie, jak otwarta ręka, nad kolanami zaś okrągłe i pełne silnych muskułów, kopyta ich podobne były do czar ze lśniącego agatu. Gdy się wspinały albo przeskakiwały, ogony ich błyszczące, czarne, długie i gęste—chłostały powietrze a często i ziemię. Szeik nazywał rumaki swoje nieoszacowanemi i miał słuszność.

Ben-Hur, przyglądając się tej scenie, zrozumiał stosunek koni do ich pana. Wzrosły pod jego okiem; w dzień były przedmiotem jego pieczołowitych starań, w nocy ukazywały mu się we śnie; dzieliły z rodziną jego czarny namiot na pustyni, pod promieniami palącego słońca i były mu drogie, jak rodzone dzieci. Aby mógł odnieść tryumf nad wyniosłym nienawistnym rzymianinem, starzec sprowadził swych ulubieńców do miasta, nie wątpiąc, że wyjdą zwycięzko z wyścigów, jeśli znajdzie kogoś, coby umiał niemi kierować,—kogoś, coby nietylko był zręcznym woźnicą, ale potrafił zbudzić w koniach zaufanie. Jako Szeik i arab, nie zdołał on, tak jak chłodniejsi mieszkańcy

zachodu, skarcić woźnicę za nieudolność samem tylko wzgardliwem milczeniem; musiał wybuchnąć.

Zanim jeszcze Szeik ochłonął z gniewu, konie zostały poskromione. W tejże chwili pojawił się nowy wóz na torze. Woźnica, konie i sam rydwan— różniły się tem od poprzednich, że były tak przybrane, jak miały wystąpić w dzień gonitw cyrkowych. Wypada nam tu opisać szczegółowo on wehikuł dla jasności dalszego opowiadania.

Wóz, jakiego używano w klasycznej starożytności, jest nam znany. Wyobraźmy sobie tylko rodzaj skrzynki na 2-ch nizkich kołach, z szeroką osią. Pudło to otwarte było z tyłu. Genjusz artystów upiększył z czasem ten pierwotny sprzęt, który zwolna przemienił się w taki ozdobny rydwan, jak ten naprzykład, na którym wyobrażamy sobie Jutrzenkę w otoczeniu Godzin, spotykającą rydwan Słońca.

Ówcześni woźnice byli tak umiejętni i ambitni, jak dzisiejsi dżokeje. Skromniejsze wozy nazywali oni *dwójkami*, wspanialsze zaś—*czwórkami*. Do zwykłego użytku posługiwali się 2-ma końmi, na wielkie występy, będące naśladowaniem igrzysk olimpijskich, zaprzęgano ich 4, wszystkie w jednym rzędzie. Dla odróżnienia nazywano konie, idące przy dyszlu=*jarzmowemi*, u orczyka zaś—*bocznemi*. Sądzono także, że im większa jest swoboda ruchów koni, tem szybsza też jazda. Dlatego rzymianie używali jaknajprostszej uprzęży; składała się ona z uzdy, chomonta i lejców.

Do przedniego końca dyszla był przymocowany kawałek drzewa, który postronkiem wraz z uzdą wiązano u szyi konia. Postronki od koni jarzmowych były przytwierdzone do osi, od bocznych zaś do samego wozu. Lejce przywiązane były do kółka, znajdującego się przy końcu dyszla i przewleczone przez obrączki, umocowane do ust. Było ich tyle, co koni. Wolne ich końce trzymał woźnica.

Innych zapaśników przyjmowano w milczeniu, ale nowoprzybyły miał więcej szczęścia. W miarę jak się zbliżał do placu gonitw, witały go coraz głośniejsze okrzyki i oklaski, a to w tym celu, żeby ogólną uwagę ku niemu wyłącznie skierować. Jego jarzmowe konie—jakeśmy już wspomnieli,—były czarne, boczne zaś białe jak śnieg. Zgodnie z modą rzymską, cała czwórka miała ogony i grzywy przycięte, a dla uzupełnienia braku gustu, w te ostatnie wplatano ponsowe i żółte wstęgi.

Posuwając się coraz dalej, przybysz dojechał nakoniec do punktu, z którego wóz był już widzialny na placu, a samo jego ukazanie się mogło usprawiedliwić okrzyki. Koła rydwanu byłyto cuda w swoim rodzaju. Duże obręcze, z brunatnego bronzu, obejmowały ozdobne dzwona; sprychy były zrobione z zębów słoniowych. Po obu stronach rzeźbionych osi znajdowały się miedziane głowy tygrysie, kosz zaś był spleciony ze złoconej wikliny.

Przepyszne konie i świetny rydwan zwróciły uwagę Ben-Hura na powożącego.

— Kto to jest?

Gdy młodzieniec zadał sobie pierwszy raz to pytanie, nie mógł widzieć ani twarzy nadjeżdżającego ani nawet całej jego postaci; jednakże układem swoim przypominał mu on kogoś z dalekiej przeszłości.

Kto to być może?

Konie zbliżały się kłusem. Z okrzyków i wspaniałości wozu wnioskował, że musi to być ulubieniec jakiegoś dostojnika, albo jaki sławny książe. Takie publiczne ubieganie się o wieńce było bowiem wtedy w zwyczaju u kłas wyższych. Królowie nawet starali się na arenach o wawrzyny. Nero i Kommodus—jak wiadomo—chętnie także brali udział w rydwanowych gonitwach. Ben-Hur wstał i przedarł się aż do balustrady u galerji. Twarz jego wyrażała surowość, ruchy były gorączkowe.

Nagle ukazała mu się cała postać woźnicy. Miał on prozy sobie towarzysza, w klasycznej mowie zwanego Myrtilusem,—to jest jednego z dostojników, upoważnionych do brania udziału w wyścigach. Ben-Hur mógł widzieć tylko woźnicę, stojącego prosto w rydwanie, opasanego kilka razy lejcami. Piękną jego postać przyodziewała tylko szkarłatna tunika sukienna. W lewej ręce trzymał bicz, w drugiej, podniesionej do góry i z lekka wyprężonej — 4 lejce. Postawa jego była pełna wdzięku i życia. Okrzyki i oklaski przyjmował on z posągową obojętnością.

Ben-Hur skamieniał—instynkt i pamięć dopisały mu—*woźnicą był Messala.*

Z wyboru koni, ze wspaniałości rydwanu, z teatralnej postawy i dumnego wyrazu zimnych, ostrych, orlich rysów poznał Ben-Hur, że Messala nie zmienił się, że jest tak wyniosły, szyderczy, zarozumiały, jak niegdyś; że się nie pozbył ambicji, cynizmu i lekceważącej *insouciance.*

Gdy Ben-Hur zeszedł ze stopni areny, jeden z arabów, stanąwszy na ostatnim podeście schodów-rzekł donośnym głosem:

„Ludzie ze wschodu i zachodu—słuchajcie! Dobrotliwy szeik Ilderim pozdrawia was! Z czwórką koni, pochodzących od ulubieńców Mądrego Salomona, przybył on na gonitwy. Potrzebuje umiejętnego woźnicy do swoich koni. Kto je będzie prowadził w sposób zadawalający, tego przyrzeka wzbogacić na zawsze. Tu—tam w mieście i w cyrkach—gdzie tylko się gromadzą najzręczniejsi — wszędzie głoście jego obietnicę. Tak powiada pan mój, szlachetny Szeik Ilderim".

Wieść ta sprawiła silne wrażenie. Zanim noc zapadła, z pewnoscią wiedziano o niej w całej Antjochji. Ben-Hur z wahaniem spoglądał to na herolda to na szeika. Malluch myślał, że ma zamiar stawić się na żądanie i ulżyło mu to, gdy młodzieniec zapytał: Dokąd pójdziemy teraz, dobry Malluchu?

Jeśli chcesz to robić, co każdy zwiedzający pierw-

wszy raz gaj Dafny, to przedewszystkiem musisz sobie kazać powróżyć,—odpowiedział tenże z uśmiechem.

Powróżyć?—Wprawdzie ten wyraz brzmi z pogańska, ale gotówbym spróbować.

Nie jest to tak niebezpieczne. Sprzedadzą ci poprostu świeży, prosto z gałęzi zerwany liść papyrusu. Liść ten zanurzysz w pewnem źródle, poczem będziesz mógł na nim wyczytać przyszłość w jednym wierszu.

Twarz Ben-Hura spochmurniała.

— Niektórzy nie potrzebują troskać się o przyszłość, —rzekł ponuro.

— A więc, wolisz pójść do świątyń.

— Tu są świątynie greckie, nieprawda?

— Tak nazywają ich styl.

— Hellenowie byli mistrzami w sztukach pięknych; ale w architekturze poświęcali rozmaitość dla ostrych linij. Wszystkie ich świątynie są jednakie. Jak się nazywa to źródło?

— Kastalja.

O, ono słynie na całym świecie—pójdźmy tam.

Malluch przyglądał się nieznacznie towarzyszowi swemu, gdy szli, i zmiarkował, że może chwilowo tylko—ale sposępniał bardzo. Na przechodzącą publiczność nie zwracał uwagi; na widok osobliwości, nie wydawał okrzyków,—szedł w milczeniu, powolnym krokiem.

Istotnie, widok Messali pogrążył Ben-Hura w zadumie. Zdawało mu się, że dopiero godzina upłynęła od chwili, jak te krzepkie ręce oderwały go od matki,

jak rzymianie opieczętowali dom jego ojców. Rozpamiętywał, że podczas beznadziejnego życia na galerach—jeślito można życiem nazwać,—marzył wciąż o zemście, a wyłącznym prawie przedmiotem zemsty miał być Messala. Nieraz mówił sobie: Gratusowi mógłbym jeszcze wybaczyć, Messali—nigdy! Żeby się umocnić w swej zawziętości, mawiał często: Kto nas wydał prześladowcom? Gdym go prosił o ratunek, nie dla siebie—kto mię wydrwił, kto odszedł ze śmiechem? A marzenia jego zawsze się jednako kończyły: „W dniu, kiedy go spotkam, dopomóż mi, dobrotliwy Boże ojców moich, znaleźć zemstę, na jaką się jeszcze nikt nie zdobył."

Teraz właśnie zbliżała się godzina onej zemsty.

Może gdyby był spotkał Messalę ubogim i cierpiącym, doznałby innych uczuć; ale rzecz miała się inaczej. Zobaczył go więcej niż w powodzeniu: stanowisko jego było świetne, pełne blasku. Był on niejako oblany promieniami słońca.

To więc, co Malluch wziął za przemijające zwątpienie, było rzeczywiście namysłem, kiedy się spotkać z Messalą, i jak postąpić, żeby się to spotkanie upamiętniło.

Po chwilce skręcili do cienistej alei dębowej, gdzie krążyły gromadki ludzi. Tu byli piesi, tam konni, tam znowu kobiety, w lektykach niesione przez niewolników. Od czasu do czasu toczyły się dudniące wozy. W końcu alei łagodna pochyłość zbiegała

do równiny, gdzie z lewej strony rozciągały się łąki zielone, z prawej zaś sterczały strome szare skały. Tamto ujrzeli słynne źródło Kastalskie.

Ben-Hur przecisnął się przez ciżbę, otaczającą źródło, i zobaczył potężny wodospad, spływający ze skały do zbiornika z czarnego marmuru, gdzie szumiąc i pieniąc się, znikał, jakby przez lejek przepuszczony.

Przy basenie, pod małym portykiem, wykutym w mocnym murze, siedział kapłan stary, pomarszczony, z długą brodą, w kapturze zsuniętym na oczy— istny obraz pustelnika. Z zachowania się tłumu trudno było zmiarkować, co go bardziej interesowało— czy źródło, wiecznie wytryskające, czy też wiecznie siedzący przy niem kapłan. Słuchał on, patrzył, ale nigdy nie mówił. Od czasu do czasu, pielgrzym jaki wyciągał doń rękę, podając mu pieniądze; on zaś z chciwością w oczach porywał datek i wzamian oddawał liść papyrusu.

Przybysz zanurzał natychmiast papyrus w zbiorniku; poczem wystawiał wilgotny liść na słońce i wyczytywał w nim wierszowy napis. Zanim Ben-Hur zdążył przeczytać przepowiednię, ukazała się nowa gromadka, zbliżająca się łąką. Wygląd pielgrzymów zaciekawił całe zgromadzenie. Ben-Hur przyglądał się im także z zajęciem.

Najwpierw zobaczył on ogromnego wielbłąda mlecznej białości, którego prowadził jeździec, siedzący na koniu. Wielbłąd dźwigał na grzbiecie złocony

szkarłatny namiot. Dwóch niewolników jechało z tyłu.

— Jakiż piękny wielbłąd!—zawołał ktoś.

— Musi-to być jaki zagraniczny książe.

— Może król.

— Gdyby-to był król, jechałby na słoniu.

Ktoś 3-ci był znowu innego zdania.

— Wielbłąd — rzekł—i to biały wielbłąd. Na Apollina, przyjaciele moi—osoby, które widzicie—jest ich dwie—nie są-to ani królowie, ani książęta—lecz kobiety!

W ciągu tych sporów, nadjechali pielgrzymi.

Wielbłąd wydawał się równie pięknym zblizka jak i zdaleka. Nikt z obecnych, nawet z najdalszych stron przybyły, nie widział większego i wspanialszego zwierzęcia. Takie miał duże czarne oczy! Tak nadzwyczajnie cienki biały włos na grzywie! Takie silne, a przecież wysmukłe nogi! Nikt jeszcze nie widział podobnego wielbłąda. A jak mu pięknie było pod jedwabnym, złotem wyszywanym namiotem, który dźwigał pomiędzy garbami, podczas kiedy srebrny dzwonek brzęczał za każdym jego lekkim ruchem.

Ale kto byli ci dwoje, siedzący pod namiotem, — mężczyzna z kobietą?

Wszystkie oczy zwróciły się ku nim.

Jeśli ów mężczyzna w namiocie był księciem albo królem, to obecni tam filozofowie nie mogli pomawiać czasu o stronność względem niego. Gdy zobaczyli jego twarz wychudłą, pomarszczoną, kryjącą sięw ogro-

mnym turbanie, skórę barwy szarej, jak na mumji, z której nie można było odgadnąć pochodzenia,—radował ich ten dowód, że życie ma granicę zarówno dla wielkich tego świata, jak i dla prostaczków. W osobie starca nic nie budziło w nich takiej zazdrości, jak szal, którym był obwinięty.

Niewiasta siedziała na sposób wschodni, pośród przejrzystej mgły zasłon i koronek. Powyżej łokci miała ona naramienniki w kształcie zwiniętych żmij, złotym sznurem połączone z bransoletami. Więcej ozdób nie było na jej obnażonych przepięknych rękach. U jednej z tych rączek, zwieszonej z namiotu błyszczały pierścionki na paluszkach, których końce różowiły się niby masa perłowa. Główkę jej pokrywała rzadka siatka, haftowana koralami i obszyta pieniążkami, które spadały jej na czoło i karczek, nawpółukryty w masie prostych czarno-błękitnych włosów. Włosy te same przez się stanowiły niezrównaną ozdobę, nie potrzebując zasłony, która je zakrywała, chyba od słońca i pyłu. Z wysokiego siedzenia przyglądała się ta niewiasta ludziom spokojnie, życzliwie i widocznie tak dalece pochłaniali oni jej uwagę, że nie miarkowała, iż sama wzbudza ogólną ciekawość. Wbrew zwyczajowi kobiet wyższego stanu, ukazujących się publiczności, przypatrywała się z odsłoniętą twarzą.

Była-to piękna twarz, zupełnie młoda, kształtu owalnego; cerę miała nie białą, jak greczynka; nie smagłą, jak rzymianka; nie złotawą, jak galijka; by-

ła to raczej barwa promieni słońca z nad Dolnego Nilu, na skórze tak przezroczystej, przebijały przez nią na policzkach i czole, niby promień w lampie. Wskutek odwiecznej mody wschodniej malowania na czarno osady oczu, wielkie jej źrenice zdawały się jeszcze większemi. W rozchylonych nieco purpurowych ustach błyszczały drobne białe ząbki. Dodajmy do tych przymiotów maleńką, klasycznych kształtów główkę, z wdziękiem poruszającą się na długiej gibkiej szyi, a będziemy mieli wyobrażenie o tej iście królewskiej postaci.

Dziewczę, widocznie zadowolone z wyglądu ludzi i miejscowości, odezwało się do woźnicy,—etjopczyka, kolosalnej postaci, obnażonego do pasa. Poprowadził on wielbłąda bliżej źródła i kazał mu uklęknąć; poczem wziął z rąk swej pani kubek i zaczął go napełniać wodą źródlaną. W tejże chwili turkot kół i tentent kopyt koni przerwały ciszę, wywołaną nagłem pojawieniem się czarującego dziewczęcia. Całe zgromadzenie z krzykiem zaczęło umykać na wszystkie strony.

Ten rzymianin chce nas stratować. Baczność! zawołał Malluch do Ben-Hura, dając mu zarazem przykład ucieczki.

Ben-Hur spojrzał w stronę, zkąd dochodziła wrzawa i ujrzał Messalę, który pędził wprost na tłum swym wozem, w czwórkę zaprzężonym.

W tej chwili zobaczył go zblizka i wyraźnie.

Rozstąpienie się tłumu odsłoniło wielbłąda. Czuł on już prawie kopyta końskie na sobie, ale roz piesz-

czony i przyzwyczajony do bezpieczeństwa, klęczał wciąż spokojnie przymrużywszy oczy i przeżuwał pożywienie. Etjopczyk załamał ręce z przerażenia.

Siedzący w namiocie starzec poruszył się, chcąc uciec, ale zbrakło mu sił. Zresztą nawet wobec niebezpieczeństwa nie mógł zapomnieć o szlachetnem zachowaniu się, które weszło mu w nałóg; co do młodej towarzyszki jego, zapóźno już było, żeby się sama ratowała.

Ben-Hur stanąwszy przy nich, zawołał na Messalę: Stój! Gdzie jedziesz! Nazad! nazad!

Patrycjusz roześmiał się lekceważąco, a Ben-Hur, widząc, że należy szybko działać, schwycił za uzdę jednego z koni jarzmowych.

Ty psie rzymski! Czy ci tak mało zależy na życiu ludzkiem? Zawołał z całych sił na bok ciągnąc konie. Te stanęły dęba i porwały z sobą drugą parę; wóz przechylił się, Messala tylko co nie wypadł, a Myrtilus runął, jak kłoda, na ziemię.

Widząc, że niebezpieczeństwo minęło, wszyscy obecni wybuchnęli szyderczym śmiechem.

Wtedy ujawniła się bezprzykładna czelność rzymianina: rzuciwszy na bok opasujące go lejce, wysiadł z rydwanu, obszedł wielbłąda dokoła, spojrzał na Ben-Hura i rzekł nawpół do starca, nawpół do niewiasty:

Przepraszam was oboje, jestem Messala—i przysięgam na naszą starą matkę Ziemię—żem nie spo-

trzegł ani was, ani waszego wielbłąda. Co się tyczy tych ludzi—może zbyt wiele zaufałem mojej zręczności; chciałem się zabawić ich kosztem, tymczasem oni się ze mnie naśmiewają. Niech się śmieją, kiedy im z tem dobrze.

Mówiąc te lekceważące słowa, spojrzał wzgardliwie na obecnych, których czelnością swoją uciszył w jednej chwili. Rad z odniesionego zwycięztwa nad tłumem, dał znak towarzyszowi, żeby odciągnął wóz na bok i rzekł śmiało do dziewczęcia.

Interesujesz się tym starcem.... Wprawdzie nie wybaczył mi on jeszcze, ale później postaram się go przebłagać. Zapewne jesteś jego córką?

— Nie odpowiedziała.

— Na Palladę, piękna jesteś! Strzeż się, żeby cię Apollo nie wziął w miejsce kochanki, którą stracił. Ciekawym, jaki kraj mógł się chlubić twoją matką. Nie odwracaj się! Łaski! Łaski! W oczach twych widzę promienie słońca Indyj, a na kącikach ust pieczęcie Egiptu i miłości. Na Jowisza! zanim się zwrócisz do tamtego niewolnika, okaż temu miłosierdzie. Powiedz mi przynajmniej, żeś mi wybaczyła.

Przerwała mu. Zwracając uprzejmie główkę do Ben-Hura, rzekła:

— Proszę cię, weź ten kubek i napełnij go. Mój ojciec jest spragniony.

— Gotów jestem na twe usługi.

Ben-Hur odwrócił się, żeby jej wyświadczyć tę grzeczność i ujrzał Messalę. Skrzyżowały się ich wejrzenia: żyda—wyzywające, a rzymianina szydercze.

— Jesteś zarówno piękna, jak okrutna!—zawołał Messala. Jeśli cię Apollo nie porwie, to się jeszcze zobaczymy. Nie znając twej ojczyzny, nie wiem jakiemu bogu cię polecić; a więc na wszystkich bogów, polecam cię tobie samej!

Widząc, że Myrtilus ma już w porządku czwórkę, powrócił do woza. Gdy odchodził, dziewica powiodła za nim wzrokiem, z widocznem zadowoleniem. W tej chwili Ben-Hur podał jej wodę; najwpierw napił się starzec, potem sama przyłożyła kubek do ust, pochyliła się i z osobliwym wdziękiem oddała go młodzieńcowi.

— Zachowaj go na pamiątkę — rzekła — szczęście ci przyniesie.

Wielbłąd podniósł się natychmiast i gotów już był do drogi, kiedy starzec zawołał na Ben-Hura:

— Zbliż się tu.

Ben-Hur przystąpił doń z uszanowaniem.

Wyświadczyłeś nam dziś wielką przysługę. Jeden jest tylko Bóg. W jego świętem imieniu dziękuję ci. Jestem Baltazar egipcjanin. W wielkim Gaju Palmowym, poza wsią Dafne, w cieniu drzew, szlachetny Szeik Ilderim mieszka pod namiotami, a my gościmy u niego. Wyszukaj nas tam. Powitamy cię z wdzięcznością.

Ben-Hur pozostał, zdumiony czystym głosem i szlachetnem obejściem starca. Śledząc okiem odchodzących, spostrzegł także Messalę, który jak przyjechał wesoły, obojętny i szyderczo uśmiechnięty, tak samo też odjeżdżał

ROZDZIAŁ XVI.

Jestto rzeczą dowiedzioną, że niczem tak nie zniechęcamy kogoś do siebie, jak właściwem znalezieniem się w tym wypadku, w którym ta osoba zbłądziła. Malluch stanowił wyjątek w tym względzie. Zajście, którego był świadkiem, podniosło Ben-Hura w jego przekonaniu; nie mógł mu odmówić odwagi ani zręczności. Gdyby znał dzieje młodzieńca, to dla mistrza Simonidesa rezultat onego dnia byłby bardzo korzystnym.

Do onej chwili sprawdził on dwie okoliczności, mianowicie, że młodzian, którego śledzi, jest żydem i że dostojny rzymianin przybrał go za syna. W bystrej głowie emisarjusza zaczynała się formułować inna jeszcze konkluzja, mogąca mieć wielką doniosłość, oto—że pomiędzy Messalą i synem duumwira musi zachodzić jakiś stosunek. Ale jaki?—I jakim sposobem

dojść tego? Ben-Hur sam go wyprowadził z tego kłopotu. Położywszy rękę na ramieniu Mallucha, wyciągnął go z tłumu, który nanowo zajął się sędziwym kapłanem i tajemniczem źródłem.

Dobry Malluchu — rzekł, zatrzymując się — czy człowiek może zapomnieć swą matkę?

Niespodziane to pytanie zaskoczyło Mallucha. Spojrzał na twarz Ben-Hura, żeby z niej coś wyczytać, ale zobaczył tylko dwie czerwone plamy i w oczach ślady tłumionych łez; potem odpowiedział machinalnie: „Nie" i po namyśle dodał z zapałem: „Nigdy"; a po chwili, z większym jeszcze naciskiem powiedział: Jeśli jest żydem—nigdy! Pierwszą lekcję w synagodze wykładałem o Schema, drugą o słowach Syna Siracha: „Czcij ojca twego z całej duszy i pamiętaj o cierpieniach matki twojej".

Na twarz Ben-Hura wystąpiły jeszcze ciemniejsze plamy.

— Te słowa przypominają mi dziecinne lata. Dowodzą one, że jesteś prawdziwym żydem. Zdaje mi się, że mogę ci zaufać.

Ben-Hur puścił ramię, które dotąd mocno trzymał, chwycił się za fałdy szaty, pokrywającej mu piersi, i przycisnął mocno rękę do serca, jak gdyby dla stłumienia bólu, albo jakiegoś przykrego uczucia.

— Ojciec mój —rzekł— miał dobre imię i w Jerozolimie, gdzie mieszkał, piastował różne dostojeństwa. Matka umarła w kwiecie wieku i zamało jest powiedzieć, że była dobra i piękna. Przyszłość uśmie-

chała jej się. Słowa jej były słodkie, a uczynki cnotliwe. Miałem siostrzyczkę; była z nas tak szczęśliwa rodzina, że powtarzałem za starym rabim: Bóg nie może być wszędzie, dla tego stworzył matki. Pewnego dnia zdarzył się wypadek pewnemu dostojnikowi rzymskiemu, w chwili, gdy z kohortą swoją przejeżdżał koło naszego domu; żołnierze wyłamali drzwi, wpadli i schwytali nas wszystkich. Odtąd nie widziałem matki i siostry. Nie wiem, czy umarły, czy żyją. Żadnej wieści nie miałem. Ten człowiek oto, co odjeżdża w swym świetnym rydwanie, był obecny naszemu rozstaniu; on wydał nas wrogom. Słyszał błaganie matki, żeby jej zwrócono dzieci, śmiał się, gdy ją od nas oderwano. Trudno powiedzieć, co się bardziej w pamięci ryje: miłość czy nienawiść. Dziś, Malluchu, poznałem go zdaleka....

Znowu schwycił za rękę swego towarzysza.

— Malluchu, on uwiózł z sobą tajemnicę, za którą oddałbym życie; on mógł mi powiedzieć, czy ona żyje, gdzie się znajduje, w jakiem jest położeniu, jeżeli ona —nie, *one*—wielki ból zlał je z sobą w mem sercu;— jeżeli nie żyją, mógł mi powiedzieć, gdzie skończyły życie i gdzie ich kości oczekują, żebym je odnalazł.

— Nie chce powiedzieć?

— Nie.

— Dlaczego?

— Jam żyd, a on jest rzymianinem.

— Ale rzymianie mają języki, a żydzi, choć tak

pogardzani, mają na to środki, żeby ich zmusić do mówienia.

— Na takiego człowieka jak on, niema sposobu. Zresztą, jestto tajemnica stanu. Cały majątek ojca mego został skonfiskowany i rozszarpany przez wrogów.

Malluch zwolna skinął głową, na znak potwierdzenia jego argumentów; poczem znowu zapytał:

— Czy on cię nie poznał?

— Nie mógł. Wykreślono mię z rzędu żyjących i długi czas trwała ta moja śmierć wśród życia.

— Dziwi mię to, żeś się nie rzucił na niego — rzekł Malluch, przejęty zgrozą.

— Pozbawiłoby mię to nazawsze możności użycia go do swoich celów. Możebym go zabił, a śmierć —jak ci wiadomo, jeszcze lepiej dochowuje tajemnicę, aniżeli rzymski przestępca.

Człowiek, który mając tak wiele do pomszczenia, mógł tak spokojnie pominąć sposobność, musiał być ufnym w przyszłość, albo mieć jakieś lepsze widoki upokorzenia wroga. Rozważywszy to, Malluch zaczął się interesować Ben-Hurem, już nie jako emisarjusz, ale osobiście, wiedziony sympatją i szczerym podziwem; gotów był oddać mu się na usługi.

Po chwili milczenia, Ben-Hur odezwał się znowu:

— Nie chciałbym mu odebrać życia, dobry Malluchu; posiadanie tajemnicy, zapewnia mu—przynajmniej na teraz—bezpieczeństwo. Ale mogę go ukarać i, jeśli mi pomożesz, postaram się zemścić na nim.

— On rzymianin, a ja pochodzę z plemienia Judy,—odrzekł.

— Pomogę ci. Jeśli chcesz, to przysięgnę, złożę uroczystą przysięgę.

— Podaj mi rękę, to wystarczy.

Gdy sobie uścisnęli ręce, Ben-Hur doznał ulgi.

— Nie obarczę cię zbyt trudnem zleceniem, dobry przyjacielu—powiedział,—nie obciążę też twego sumienia. Idźmy ztąd.

Puścili się oną drogą, prowadzącą na prawo, przez łąki, o której wspomnieliśmy, opisując okolice źródła. Ben-Hur pierwszy przerwał milczenie.

— Znasz ty dobrotliwego szeika Ilderima?

— Znam go.

— Gdzie jest Gaj Palmowy? Albo raczej, jak daleko leży od wsi Dafne?

Zapytanie to obudziło podejrzenie w umyśle Mallucha. Przypomniał mu się dar, jaki Ben-Hur otrzymał przy źródle, od pięknej dziewicy.—Czy, będąc tak stroskany o matkę, zdoła o niej zapomnieć dla pokus miłości? Jednakże odpowiedział,

— Gaj Palmowy leży za wsią o 2 godziny jazdy konno, a o godzinę na szybkonogim wielbłądzie.

— Dziękuję ci; ale jeszcze słowo: Czy gonitwy, o których wspominałeś, odbędą się publicznie, i kiedy nastąpią?

Pytania te były znaczące. Nie usunęły podejrzeń w umyśle Mallucha, ale podnieciły w nim ciekawość.

— O, tak, zapowiadają się bardzo świetnie. Prefekt jest bogaty, mógłby się ich zrzec, ale jak to zwykle bywa z ludźmi, którym się powodzi, nie przestaje się ubiegać o pieniądze. Gotów ponieść nawet wielkie ofiary, byleby tylko uzyskać wpływowego stronnika przy dworze, jeśli nie coś więcej. Zresztą obywatele antjochijscy biorą udział nietylko w samych gonitwach, ale i w kosztach; wiedzą bowiem z doświadczenia, że obecność konsula i jego wojska, przysparza ludności zarobku; zwłaszcza, gdy igrzyska ściągają dużo obco-krajowców. Przed miesiącem jeszcze wysłano w tym celu heroldów na wszystkie strony świata, żeby rozgłaszali mające wkrótce nastąpić otwarcie cyrku. Samo imię prefekta stanowiłoby dostateczną rękojmię, że igrzyska będą urozmaicone i świetne, szczególniej na wschodzie; ponieważ Antjochja wystąpiła z obietnicami, wszystkie miasta nadmorskie będą się spodziewały czegoś nadzwyczajnego. Ludność ich stawi się osobiście, lub wyśle najznakomitszych z pomiędzy siebie. Wyznaczone nagrody mają być królewskie.

— Sam cyrk, jak słyszałem, jest drugim po cyrku Maximusa.

— Mówisz o rzymskim cyrku? w naszym mieści się 200,000 osób, w waszym tylko o 75,000 więcej; oba są marmurowe i jednako urządzone.

— A prawidła, czy takie same?

Malluch uśmiechnął się.

Gdyby Antjochja śmiała być oryginalną, synu

Arrjusza, to Rzym nie byłby panem świata. Prawidła są te same; z tym wyjątkiem, że tu tylko 4 wozy mogą wyruszać naraz, tam zaś wszystkie, bez względu na ich liczbę.

— Jestto zwyczaj grecki.

— Tak; Antjochja należy raczej do miast greckich, aniżeli rzymskich.

— Więc mógłbym wystąpić na arenę własnym wozem?

— Możesz mieć i wóz własny i konie. Niema w tym względzie żadnych ograniczeń.

Malluch zauważył, odpowiadając, że się twarz Ben-Hura coraz bardziej rozjaśnia.

— Jeszcze słowo, Malluchu. Kiedy nastąpią gonitwy?

— Daruj, nie powiedziałem ci najważniejszej rzeczy: konsul wyląduje jutro lub pojutrze, jeśli bogowie morscy będą mu sprzyjali—jak mówią rzymianie. Tak,—dodał, licząc głośno:—od dziś za dni 6, będziemy mieli gonitwy.

— Mało już czasu, ale wystarczy, kochany mój Malluchu!—Ostatnie słowa wyrzekł z wielką stanowczością.— Na starych proroków naszego Izraela, schwycę znów lejce! Ale czekaj! Jeszcze jedno pytanie: czy to pewne, że Messala będzie w gronie zapaśników?

Malluch zrozumiał teraz plan Ben-Hura; zrozumiał, ze chce on wyzyskać tę sposobność dla upokorzenia wroga swego. Nie byłby prawdziwym potomkiem Jakóba, gdyby—pomimo żywego przejęcia się

tą sprawą, nie rozważał jednak, czy wygrana jest możliwą. Zapytał więc drżącym głosem:

— Masz ty wprawę w gonitwach?

— Bądź spokojny, kochany przyjacielu. W cyrku Maximusa, przez ostatnie 3 lata, od mojej woli zależało, czy będzie kto wieńczony jako zwycięzca. Zapytaj ich—zapytaj najcelniejszych, odpowiedzą ci to samo. W ostatnich wielkich igrzyskach, sam cesarz przyrzekł mi swe orędzie, jeżeli poprowadzę jego konie na tym turnieju wszechświatowym.

— Aleś ty nie uczynił tego? — skwapliwie zapytał Malluch.

— Ja—ja jestem żydem!—odpowiedział Ben-Hur, —i chociaż noszę imię rzymianina, nie chciałbym uczynić publicznie nic takiego, coby splamiło imię mego ojca w dziedzińcach i klasztorach świątyń. W szkołach broni uchodziły mi takie ćwiczenia, ale w cyrku—ściągnąłbym na siebie hańbę. Jeśli chcę należeć do tutejszych gonitw, to—przysięgam ci—że nie dla korzyści.

— Nie spiesz z przysięgą. Nagroda dla zwycięzcy wynosi 10,000 sestersów. Wszak to fortuna, wystarczająca na całe życie!

— Nie dla mnie—chociażby ją prefekt 3 razy powiększył. Wszystkie te pieniądze, wszystkie cesarskie dochody, nie kuszą mię. Ja chcę stanąć do walki jedynie dla upokorzenia Messali, Prawo nie wzbrania zemsty.

Malluch uśmiechnął się i skinął głową, jak gdyby chciał powiedzieć: Masz słuszność, masz słuszność... Żyd zrozumie żyda.

— Messala z pewnością wstąpi w szranki,—rzekł po chwili;— ogłosił to już na ulicach, w łaźniach i teatrach, w pałacach i koszarach. Nie mógłby się cofnąć, bo jego imię zapisane na tabliczkach wszystkich młodych marnotrawców w Antjochji.

— Czy robią zakłady o niego?

— Tak; — codzień przyjeżdża on tu, z wielką paradą, jakeś sam widział przed chwilą,—żeby się ćwiczyć.

— Taak?... Z tym wozem i z temi końmi wystąpi? Dzięki ci, dzięki, Malluchu! Oddałeś mi dziś wielką usługę. Jestem zadowolony. Zaprowadź mię jeszcze do Gaju Palmowego i przedstaw Dobrotliwemu szeikowi Ilderimowi.

— Kiedy?

— Dziś. Jego konie mogą być zajęte jutro.

— Czy ci się podobały?

Ben-Hur odpowiedział z ożywieniem:

— Widziałem je tylko chwilę z estrady, bo Messala zaraz się ukazał, a jednak nie mogłem już patrzeć na nic innego. Poznałem w nich odrazu krew, która jest ozdobą i chlubą pustyń. Tak piękne konie zdarzyło mi się widzieć tylko w stajniach Cezara; ale dosyć raz zobaczyć, żeby je zawsze poznać. Gdybyś mi się nawet nie pokłonił na gonitwach, poznam cię, mój

Malluchu, po twarzy, postawie, ruchach. Po takich samych cechach poznam one konie, z tą samą pewnością. Jeśli to wszystko, com o nich słyszał, jest prawdą, i jeżeli zdołam je okiełznać....

To wygrasz sestersy!--rzekł Malluch ze śmiechem.

Nie,—żywo odpowiedział Ben-Hur,—tak postąpię, jak przystoi potomkowi Jakóba: upokorzę mego wroga publicznie. Ale mitrężymy czas,— dodał niecierpliwie,—którędy najbliżej do namiotów szeika?

Po chwili namysłu odrzekł Malluch:

— Najlepiej udać się prosto do wsi, która na szczęście leży w blizkości; jeśli nam się uda wynająć tam 2 wielbłądy szybkonogie, to za godzinę staniemy na miejscu.

— Spieszmy.

Wieś Dafne składała się z pięknych pałaców, otoczonych ogrodami, i z khanów, urządzonych z książęcym przepychem. Nasi dwaj podróżni wynajęli wielbłądy i puścili się w drogę do słynnego Gaju Palmowego.

Poza wsią grunt był falisty i starannie uprawiony; okolica ta warta była nazwy ogrodu Antjochji. Spożytkowano w niej każdą piędź ziemi: stoki gór przerobione zostały na tarasy, płoty były oplecione zielenią, która nietylko dawała przechodniom cień, ale ich wabiła obietnicą purpurowych gron i pieniącego się wina. Nad polami melonów, pośród krzaków brzoskwiniowych i drzew figowych, poprzez gaje pomarańczowe i cytrynowe,—widniały wybielone domki

wieśniaków; a wszędzie—Obfitość, uśmiechnięta córka Spokoju, dawała tysiączne znaki swej obecności, rozweselając tak dalece wędrowca, że gotów był nawet Rzymowi płacić podatki. Miejscami także odsłaniały się—Taurus i Liban, pomiędzy któremi płynął spokojnie Orontes, niby wstęga srebrzysta.

Ben-Hur i Malluch jechali ciągle wzdłuż rzeki, drogą wijącą się przy jej brzegach, to w dolinach, to po stromych pagórkach, zabudowaną wszędzie domkami wieśniaków. Ziemia uśmiechała się zielenią dębów, jaworów, mirtów, wawrzynów, mącznicy garbarskiej i wonnego jaśminu; a rzeka połyskiwała pod ukośnemi promieniami słońca, które mogłyby na niej drzemać, gdyby nie to że długie szeregi okrętów, partych wiatrem lub wiosłem, przypływały lub odpływały, przewożąc podróżnych z dalekich krain i towary wielkiej wartości. Nic bardziej nie podnieca wyobraźni, jak żagiel rozwinięty na morzu, chyba żagiel zwinięty, gdyż zwiastuje szczęśliwie odbytą podróż.

Nasi dwaj wędrowcy, jadąc ciągle wzdłuż brzegów, dotarli do przejrzystego, głębokiego, spokojnego jeziora, które zasilały wody Orontesu. W rogu tej tafli wodnej wznosiła się stara palma; Malluch, zwróciwszy się na lewo u stóp drzewa, klasnął w ręce i wykrzyknął:

— Patrz, patrz! Oto Gaj Palmowy!

Krajobraz taki można było napotkać chyba tylko w najpiękniejszych oazach Arabji, lub w fermach

Ptolomeuszów, wzdłuż Nilu. Rozkoszne wrażenie, jakiego doznał Ben-Hur, przechowywało się w całej świeżości, szedł bowiem ciągle okolicą, która zdawała się nie mieć granic, i równa była jak szyba lodu. Stąpał on po świeżej murawie, która jest w Syrji najrzadszym i najpiękniejszym produktem ziemi. Jeśli podniósł głowę do góry, widział blade błękity poprzez gałęzie drzew daktylowych. Drzewa te były patryjarchami w swoim rodzaju: tak liczne i stare, tak grube, wysokie, gęste, rozłożyste, obficie ulistnione, o koronach tak bogatych, tak symetrycznych i wspaniałych, że wyglądały jak zaklęci czarodzieje. Trawa udzielała tam barwy nawet atmosferze; chłodne i przejrzyste jezioro, wirujące na kilka tylko stopni pod powierzchnią, zasilało korzenie drzew. Czyżby gaj Dafne mógł być piękniejszym? Palmy, jak gdyby odgadywały myśl Ben-Hura i chciały go sobie zjednać po swojemu,—gdy przechodził pod ich zielonem sklepieniem, zdawały się chwiać poto wysokiemi wierzchołkami, żeby go ochłodzić.

Droga ciągnęła się równolegle z brzegiem jeziora i prowadziła wędrowców do końca wody, na której przeciwległym brzegu, nie rosło także żadne drzewo prócz palmy.

— Spojrzyj na tego olbrzyma,—rzekł Malluch, wskazując na jedną z poblizkich palm.—Każdy pierścień na jej pniu oznacza jeden rok życia. Policz je od korzenia do gałęzi,—a gdy ci szeik powie, że

gaj ten został zasadzony zanim w Antjochji posłyszano o Seleucydach, z łatwością temu uwierzysz.

Widok pięknej palmy podnosi człowieka i czyni zeń poetę. Z tej też przyczyny drzewo to czczono zawsze, począwszy od artystów pierwszych królów, którzy nie zdołali znaleźć na świecie całym piękniejszego wzoru do słupów w ich pałacach i świątyniach. Pod wpływem podobnego uczucia Ben-Hur rzekł:

— Kiedym dziś zobaczył szeika Ilderima, wydał mi się bardzo pospolitym człowiekiem. Rabini jerozolimscy pogardziliby nim, jako edomitą. Jakim sposobem wszedł on w posiadanie tego Gaju? I jakim cudem ocalił go przed chciwością rzymskich gubernatorów?

— Jeżeli czas uszlachetnia krew, o synu Arrjusza to stary Ilderim należy do bardzo dostojnego rodu, chociaż jest edomitą. Wszyscy jego przodkowie byli szeikami,—mówił Malluch z zapałem. Jeden z nich, o którym nie wiem, w jakim czasie żył i czem się trudnił,—wyratował króla swego, obsaczonego przez wrogów. Dał mu podobno 1,000 jeźdźców, którzy znali ścieżki i kryjówki pustyni, jak pasterze znają nagie góry, na których przemieszkują ze swemi trzodami. Przeprowadzili go oni z miejsca na miejsce, a gdy się zdarzyła sposobność, pobiwszy wroga na głowę, osadzili króla swego na tronie. Król miał zachować w pamięci ich przysługę, zaprosił syna pustyni w to miejsce, żeby rozpiął tu namiot, sprowadził

rodzinę i trzody, gdyż jezioro, drzewa i cała okolica od rzeki aż do najbliższych gór jest jego i potomstwa wieczystą własnością. Odtąd ród on spokojnie i bezpiecznie władał tym kawałkiem ziemi. Późniejsi królowie, we własnym interesie, zachowywali przyjazne stosunki z tem pokoleniem, któremu Pan błogosławił, wciąż bowiem wzrastało. Przybywało mu ludzi i koni, wielbłądów i skarbów, tak że dziś szeik stał się panem na niejednym gościńcu pomiędzy wsiami i gdy mu się spodoba, może zawołać na przejeżdżające karawany: Jedź z Bogiem! albo: Stój! Zawsze się dzieje według jego woli. Nawet prefekt cytadeli, górującej nad Antjochją, uważa ten dzień za szczęśliwy, kiedy Ilderim, za cne czyny Dobrotliwym zwany, wraz z żonami swemi, dziećmi, w orszaku sług, ze stadami wielbłądów i koni,—za przykładem ojców naszych—Abrahama i Jakóba, wyrusza do niego, aby swe gorzkie źródła zamienić na czas jakiś na to oto czarujące ustronie.

Jeśli jest taki stan rzeczy—rzekł Ben-Hur, który przysłuchiwał się, nie zwracając uwagi na wolny pochód wielbłądów — cóż to znaczy, że Szeik wyrywał sobie dziś włosy z brody i przeklinał siebie zato, że zaufał rzymianinowi. Gdyby go Cezar słyszał, mógł był powiedzieć: „Nie chcę takiego przyjaciela; precz z nim!“

I miałby słuszność—odpowiedział Malluch z uśmiechem. Ilderim nie sprzyja Rzymowi; ma on do niego urazę. Trzy lata temu, Partowie, ciągnąc z Bozra do

Damaszkn, napotkali karawanę, wiozącą, między innemi podatek z poblizkiego obwodu. Wzięli oni wszystkich pielgrzymów do niewoli, co urzędnicy cesarscy wybaczyliby, gdyby nie to, że skarb został ograbiony. Dzierżawcy podatków, którzy mieli być poszkodowani, zanieśli skargę przed samego cezara. Rozkazał on Herodowi zapłacić stratę, ten znów zagarnął mienie Ilderima, zarzucając mu, że przez zdradę, nie spełnił swego obowiązku. Szeik odwołał się do cezara, ale nadaremnie. Starzec żywi żal w sercu od tego czasu i pragnienie zemsty wzrasta w nim z każdym dniem.

— On nie może być szkodliwym, mój Malluchu.

— Co do tego, później cię objaśnię.—Ale patrz, już się tu zaczyna gościnność szeika; dzieci mówią oto do ciebie.

Wielbłądy zatrzymały się i Ben-Hur zobaczył kilka dziewczątek, z syryjskiej klasy wieśniaczej, które podawały mu koszyki, pełne daktyli. Owoc ten był świeżo zerwany i bardzo nęcący. Pochylił się więc i przyjął dar. W tejże chwili, człowiek siedzący na drzewie, pod którem się właśnie zatrzymali zawołał: Pokój z wami! witajcie!

Podziękowali dzieciom i puścili się w dalszą d rogę, tak prędko, jak się wielbłądom iść podobało

— Trzeba ci wiedzieć,—mówił dalej Malluch,— przerywając sobie niekiedy jedzeniem daktyli,—że kupiec Simonides pokłada we mnie zaufanie i czasami zaszczyca mię nawet zasięganiem rady. Ponie-

waż pełnię służbę w jego domu, poznałem wielu jego przyjaciół, którzy, wiedząc na jakiej stopie jestem z gospodarzem, otwarcie przy mnie o nim mówią. W taki sposób słyszałem też dosyć i o szeiku Ilderimie.

Ben-Hur zadumał się chwilę. Przed wzrokiem jego duszy stanęła luba, urocza postać Estery, córki kupca. Jej ciemne oczy z blaskiem właściwym źrenicom judzkim, spotkały się skromnie z jego oczami; słyszał jej krok, gdy się doń zbliżała z winem, i głos, gdy mu podawała kubek; odczuwał sympatją, którą mu okazała, a okazała tak wyraźnie, że słowa były zbyteczne. Luby ten obraz rozwiał się jednak, skoro Malluch odezwał się znowu:

— Kilka tygodni temu stary arab odwiedził Simonidesa i zastał mię u niego. Zauważyłem, że jest czemś niezwykle wzburzony, więc przez delikatność chciałem się oddalić, ale mię zatrzymał. Ponieważ jesteś izraelitą,— rzekł,—pozostań,—bo mam dziwną historję do opowiedzenia. Nacisk na słowie: izraelita, zaciekawił mię. Zostałem i oto, w streszczeniu, jego opowiadanie. Skrócę je dla tego, że się zbliżamy do jego namiotu, więc ci sam opowie szczegóły. Przed wielu już laty, 3-ch mężów przybyło na pustynię, do namiotu Ilderima. Bylito wszystko obcokrajowcy: indus, grek i egipcjanin; przyjechali oni na wielbłądach, największych, jakie widział w swojem życiu i całkiem białych. Powitał ich i prosił, żeby wypoczęli. Nazajutrz rano podnieśli się

i modlili; a była to modlitwa nieznana szeikowi, modlitwa, zaniesiona do Boga i Jego Syna, w jakiś tajemniczy sposób. Po śniadaniu, które razem z nim spożyli, egipcjanin opowiedział, kto oni są i zkąd przybywają. Każdy z nich widział gwiazdę, z której głos rozkazał im pójść do Jerozolimy i pytać: gdzie jest nowonarodzony król żydowski? Usłuchali wszyscy tego głosu. Z Jerozolimy zawiodła ich gwiazda do Betleemu, gdzie znaleźli w pieczarze nowonarodzone dziecię; padli przed Niem na kolana i złożyli Mu hołd. Gdy Je uczcili i wręczyli Mu bogate dary, siedli na wielbłądy i pędzili bez wypoczynku aż do szeika, bo gdyby Herod, przezwany Wielkim, — dosięgnął ich, to z pewnością pozbawiłby ich życia. Szeik, wierny swemu zwyczajowi, rozciągnął nad nimi opiekę i ukrywał ich cały rok. Obdarzył go każdy z nich i następnie udał się w swoją stronę.

— Rzeczywiście, to bardzo osobliwa historja!— zawołał Ben-Hur.—O co się oni mieli pytać w Jerozolimie?

— Gdzie się narodził nowy król żydowski?

— O nic więcej?

— Było coś jeszcze, ale nie mogę sobie przypomnieć.

— I znaleźli dziecię?

— Znaleźli i złożyli Mu hołd.

— To cud, mój Mallucbu.

— Ilderim, człowiek poważny, chociaż wrażliwy,

jak wszyscy arabowie: Nie można go podejrzewać o kłamstwo, — dorzucił Malluch z głębi przekonania.

Wielbłądy, pozostawione samym sobie, zapomniały o jeźdźcach, zeszły z drogi i zaczęły skubać trawę.

— Czy Ilderim nie słyszał od onego czasu o tych 3-ch mężach?—zapytał znowu Ben-Hur.—Co się z nimi stało?

— Owszem; dlatego właśnie odwiedził Simonidesa onego dnia, o którym wspomniałem. Poprzedniego wieczoru pojawił się znów przed nim egipcjanin.

— Gdzie?

— Tu, u drzwi namiotu, do którego wchodzimy.

— Po czem poznał tego człowieka?

— Po tem samem, po czem ty poznałeś dziś konie,— po wyglądzie i ruchach.

— Po niczem więcej?

— Jechał na tym samym wielkim białym wielbłądzie i nazwał się tak samo—Baltazar, egipcjanin.

— To cud nad cudami!—zawołał Ben-Hur.

— Dlaczego?—zapytał Malluch z zadziwieniem.

— Baltazar, powiadasz?

— Tak, Baltazar, egipcjanin.

— Tak samo nazwał siebie ów starzec przy źródle.

Przypomnienie to było widocznie niemiłem Malluchowi i rozdrażniło go.

— Prawda,—rzekł—i wielbłąd był taki sam, a tyś ocalił życie temu człowiekowi.

— Ta kobieta,—odezwał się Ben-Hur, jakby do siebie samego,—ta kobieta była jego córką.

Zadumał się, i zdawać się mogło, że to marzenie było mu milsze, aniżeli obraz Estery,—lecz po chwilce oderwał się od niego.

— Powiedz mi jeszcze,—rzekł nagle,—czy owi 3-ej mężowie pytali: Gdzie jest ten, co ma być królem żydowskim?

— Nie; mówili: *Gdzie jest ten, co się narodził królem żydowskim?* Takie były słowa, które stary szeik pierwsze posłyszał w pustyni i od tej chwili czekał przybycia króla. Nikt nie zdoła zachwiać jego wiary, że król przybędzie.

— Jako król?

— Tak, i wierzy, że Król ten położy koniec wielkości Rzymu. Tak powiada szeik.

Ben-Hur umilkł znowu i zadumał się, usiłując zapanować nad swemi uczuciami.

— Ten starzec jest jednym z miljonów,—przemówił zwolna,—jeden z wielu miljonów ludzi, którzy mają krzywdę do pomszczenia; a ta osobliwa wiara, mój Malluchu, jest chlebem i winem dla jego nadziei; bo któż, jeśli nie Herod może być królem żydowskim, dopóki Rzym panuje. Ale powiedz mi jeszcze, co szeik o tem myśli?

— Jak Ilderim jest poważny, tak znowu Simonides— mądry, —odpowiedział Malluch, — słyszałem, jak powiedział... Ale ktoś nadchodzi...

Zgiełk wzmagał się i nakoniec wyraźnie było

słychać turkot kół, pomieszany z tententem kopyt końskich. Po niejakiej chwili sam szeik ukazał się na koniu; zanim zaś jechał orszak sług i 4 arabczyki kasztany, wprzągnięte do wozu. Szeik siedział ze spuszczoną siwą głową. Przyjaciele nasi minęli go; ale zobaczywszy ich, podniósł głowę i rzekł uprzejmie:

— Pokój z wami! Aa, mój przyjaciel Malluch! Bądź pozdrowion! Nie mów, że odjedziesz, lecz żeś przyjechał i że mi przywozisz jaką dobrą wiadomość od czcigodnego Simonidesa. Oby go Pan zachował jeszcze długo przy życiu! Chodźcie ze mną obaj; mam z sobą chleb i wino, albo jeśli wolicie,—arak i mięso młodego koźlęcia. Chodźcie!

Pojechali za nim aż do drzwi u namiotu. Gdy zsiedli z wielbłądów, szeik stał w namiocie i na powitanie trzymał na tacy 3 kubki napełnione pieniącym się płynem. Nalał je był ze skórzanej, zapylonej butli, wiszącej u głównego słupa.

— Pijcie,—rzekł serdecznie,—pijcie, to jest kordjał mieszkańców pustyni.

Każdy z nich chwycił za kubek i pił, dopóki sama tylko piana nie została.

— Wejdźcie teraz, w imię Boże.

— Gdy weszli wszyscy do namiotu, Malluch wziął szeika na bok i mówił z nim poufnie. Potem zbliżył się do Ben-Hura i przeprosił go.

— Mówiłem o tobie z szeikiem: powierzy ci on jutro rano konie na próbę. Szeik sprzyja ci. Teraz,

kiedym już uczynił dla ciebie wszystko, co było w mej mocy, musisz sam dokonać reszty, a mnie pozwól wrócić do Antjochji. Muszę się tam zobaczyć z kimś dziś wieczór. Nie mogę zrobić zawodu. Powrócę jutro, przygotowany do tego, że jeśli się wszystko dobrze powiedzie, to zostanę z tobą, dopóki się nie skończą gonitwy.

Z wzajemnem błogosławieństwem rozstali się i Malluch ruszył w drogę do Antjochji.

Księżyc na nowiu oblewał swem bladem światłem twierdzę, sterczącą na górze Sulpius. Dwie trzecie ludności antjochijskiej wyległo na dachy swych domów, aby się ochłodzić, po upale dziennym, powiewem wietrzyku, lub w braku tegoż—wachlarzem. Simonides siedział w swem krześle i z tarasu przyglądał się rzece, na której kołysały się okręty, stojące na kotwicy. Mur, będący za jego plecami, rzucał szeroki cień na wodę aż do przeciwległego brzegu. Ponad nim rozlegały się na moście kroki tłumów.

Estera stała właśnie przed ojcem, podając mu na tacy skromny posiłek wieczorny,—kilka ciastek z mąki pszennej, trochę miodu i kubek mleka, w którym od czasu do czasu, maczał ciastka, posmarowane wpierwej miodem.

— Malluch spóźnia się dziś; - rzekł, zdradzając niepokój.

— Czy myślisz, ojcze, że nadejdzie?—zapytała Estera.

— Jeśli się nie puścił na morze lub na pustynię, to przyjdzie.

Simonides wyrzekł te słowa z zupełnym spokojem i zaufaniem.

— Może być, że napisze,—powiedziało dziewczę.

— Nie, Estero! Byłby napisał, gdy się okazało że nie może powrócić. Ponieważ nie odebrałem podobnego listu, wiem, że może przyjść i że przyjdzie.

— Miejmy nadzieję,—rzekła z cicha.

W głosie jej zwróciło coś uwagę Simonidesa: może ton, a może—życzenie.

— Chciałabyś, żeby powrócił, Estero?

— Tak,—odrzekła, wznosząc ku niemu oczy.

— Dlaczego? Czy możesz mi to powiedzieć? — pytał dalej.

— Dlatego, — zawahała się,—dla tego, że ten młodzieniec—znowu umilkła.

— Jest naszym panem. Czy to chciałaś powiedzieć?

— Tak.

— I wciąż jeszcze myślisz, żem nie powinien pozwolić, by się oddalił, dopóki go nie poproszę, żeby przybył tu, jeśli chce i wziął nas—wraz ze wszystkiem, co posiadamy, Estero, —z towarami, z pieniędzmi, okrętami, niewolnikami i ogromnym kredytem.

Kredyt ten jest płaszczem z sukna, złota i srebra najdelikatniejszego, utkanym dla mnie przez powodzenie, tego największego z aniołów ludzkości.

Nie odpowiedziała.

— Czy to nie robi na tobie żadnego wrażenia? Nie? —zapytał z pewnem odcieniem goryczy. Doświadczenie mię nauczyło, Estero, że najgorsza rzeczywistość, nawet katusze, łatwiejsze są do zniesienia, gdy się wydobywają z poza chmur, po przez które widzieliśmy je zrazu niejasno. Przypuszczam, że tak samo będzie i ze śmiercią. Przez tę filozofią, niewola do której wracamy, musi, po niejakim czasie, stać się słodką. Nawet teraz miło mi myśleć, jakim nasz pan jest ulubieńcem losów. Fortuna nic go nie kosztuje, ani niepokoju, ani jednej kropli potu, ani jednej troski; spada nań niespodzianie, gdy on jest w pełn sił. Prócz tego, moja droga Estero,—wybacz, że mię czyni trochę próżnym ta myśl,—weźmie on skarb, któregoby nie mógł nabyć na żadnym rynku, nawet i za królewską fortunę,—weźmie ciebie, moje dziecię, moją pieszczotkę; ciebie, kwiatek z grobu mojej utraconej Racheli!

Przyciągnął ją i pocałował dwa razy: za siebie, i za matkę.

— Nie mów tak,—rzekła, gdy ręka jego uwolniła jej szyję.—Sądźmy go lepiej; on wie, co to cierpienie, więc wyzwoli nas.

— Masz wiele zmysłu spostrzegawczego i wiesz, żem się już nieraz nim posługiwał; ale, ale,—tu głos

jego stał się ostrzejszy i twardszy,—te członki, co mi służby odmawiają, to ciało, nic mające już w sobie nic ludzkiego,—to jeszcze nie wszystko, co wraz z moją osobą pozyska. Nie! Nie! Ja mu przyniosę duszę, która odniosła zwycięstwo nad torturami i nad gorszą jeszcze od tortur złośliwością rzymian; przyniosę mego ducha, którego oczami widzę pieniądz w większej jeszcze dali, aniżeli okręty Salomona niegdyś żeglowały; przyniosę mu możność zdobywać złoto i kłaść je na moją rękę, żeby palce moje chwytały i przytrzymywały je tak, aby to złoto na żądanie innego nie dostawało skrzydeł; przyniosę mu umiejętność układania planów,—przestał mówić i roześmiał się,—zanim nastąpi nowa kwadra księżyca, mógłbym wstrząsnąć całym światem, tak, że zadrżałby nawet cezar na tronie. Jak wiesz bowiem, drogie dziecię, mam zdolność, więcej wartą aniżeli którykolwiek zmysł pojedyńczy; lepszy, aniżeli zdrowe ciało, aniżeli odwaga i wola, aniżeli doświadczenie, które zazwyczaj bywa najcenniejszym owocem dłuższego życia. Najwyższy to ze wszystkich dar Boży, ale...—zatrzymał się i znowu roześmiał, bez goryczy, tym razem, serdecznie; -ale... który przez mocarzy tego świata nie jest należycie oceniony, a przez gmin jest zgoła nieznany... Darem tym jest umiejętność naginania ludzi do naszych celów i zmuszania ich, by spełniali wolę naszą. Dzięki tej umiejętności, rozporządzam krociami głów i rąk; kapitanowie moich okrętów prują nurty mórz i przywożą mi skarby; Malluch

śledzi młodzieńca, pana naszego i — właśnie w tej chwili dały się słyszeć kroki na tarasie.

— A co, Estero, nie mówiłem? Oto Malluch— przynosi nam pewno wieści. Dla ciebie, słodkie dziecię, moja lilijko, świeżo rozkwitła,—modlę się do Pana Boga naszego, który nie zapomniał o swej dziatwie, tułającej się po pustyni,—żeby wieści te były dobre i pocieszające. Teraz dowiemy się, czy zechce nam dać wolność — tobie — z twą pięknością i mnie — ze wszystkiemi zdolnościami memi.

Malluch zbliżył się do krzesła.

Pokój z tobą, dobry nasz panie,—rzekł, oddając nizki pokłon,—i tobie, Estero, najlepsza z córek.

Stał przed nimi z poszanowaniem:

Trudno było poznać, jaki stosunek łączy go z nimi: z postawy wyglądał na sługę, słowa zaś wskazywały przyjaciela. Simonides, jak to było jego zwyczajem, gdy szło o interes, powitawszy go, przystąpił odrazu do rzeczy.

— Cóż się dzieje z młodzieńcem, Malluchu?

Wierny sługa opowiedział wypadki dnia spokojnie i w najprostszych słowach. Starzec nie przerwał mu do końca i ani razu nie poruszył nawet ręką; gdyby nie to, że miał oczy szeroko rozwarte i błyszczące, że od czasu do czasu chwytał piersiami powietrze, możnaby go wziąć za posąg.

— Dziękuję ci, dziękuję, Malluchu — rzekł on serdecznie na zakończenie;—dobrześ się sprawił, nikt

nie mógłby więcej zrobić. Powiedz mi jeszcze do jakiej on narodowości należy, zdaniem twojem?

— To izraelita, czcigodny panie,—izraelita z pokolenia Judy.

— Czyś pewien tego?

— Jestem pewien.

— Uważam, że ci jednak mało powiedział o swem życiu.

— Nauczył się być ostrożnym; możnaby go nawet nazwać podejrzliwym. Napróżno starałem się z niego co wydobyć; dopiero kiedyśmy opuścili źródło Kastalskie i byli na drodze do wsi Dafne...

— Ohydne miejsce! Poco on tam poszedł?

— Zdaje mi się, że przez ciekawość; tak samo, jak wielu innych; ale dziwna rzecz,—nie interesowało go to, co widział. O świątynię zapytał tylko, czy jest w greckim stylu. Czcigodny panie, ten młodzieniec ma jakieś cierpienie w duszy, które chciałby ukryć i poszedł do gaju pogrzebać to cierpienie, jak idziemy na cmentarz grzebać zwłoki naszych zmarłych.

— Byłby to bardzo pożądany stan rzeczy,—rzekł Simonides zcicha, poczem dodał głośno: Malluchu, plagą naszych czasów jest marnotrawstwo: ubodzy popadają w większą jeszcze biedę przez naśladowanie bogatych, a zamożni ruinują się książęcą wystawnością. Czyś zauważył jaką słabostkę w tym młodzieńcu? Czy trwonił pieniądze—rzymską lub izraelską monetę?

— Nie, nie, cny panie,

— Tam było tak wiele pokus do nadużyć—to jest, tak wiele rzeczy do jedzenia i picia... musiał cię pewno hojnie częstować. Sam młody jego wiek każe się tego domyślać.

— Ani jadł ze mną, ani pił.

— Czyś nie zmiarkował z jego słów i postępków jakiej myśli przewodniej? Wiesz, że czasem najostrożniejszemu wymknie się niebaczne słówko.

— Wytłómacz się jaśniej,—rzekł Malluch.

— Wiesz dobrze, mój Malluchu, że gdy mówimy, gdy działamy, a tem bardziej, gdy postanawiamy coś ważnego, zawsze powoduje nami jakaś pobudka. Cóżeś w nim zauważył w tym względzie?

— Co do tego, mogę ci odpowiedzieć, cny Simonidesie: przedewszystkiem chce się on poświęcić odnalezieniu matki i siostry; prócz tego żywi w sercu żal do Rzymu; a ponieważ Messala, o którym ci wspomniałem, ma jakąś łączność z krzywdą, jakiej doznał, głównem zadaniem jego jest teraz — upokorzyć go. Spotkanie przy źródle dostarczyło sposobności, ale nie skorzystał z niej, gdyż chce wystąpić przed większą ilością widzów.

— Messala jest człowiekiem wpływowym,—rzekł Simonides, wpadając w zadumę.

— Prawda, ale spotkają się z sobą na cyrkowej arenie.

— I cóż tam ma nastąpić?

— Syn Arrjusza odniesie zwycięztwo.

— Zkąd wiesz?

Malluch uśmiechnął się.

— Wnoszę to z jego słów.

— Czy masz ten jeden dowód?

— Nie; mam lepszy—jego odwagę.

— Dobrze, mój Malluchu,—ale jakie będą granice jego zemsty? Czy ona dosięgnie tylko tę garstkę ludzi, którzy go skrzywdzili, czy też ogarnie cały naród? Prócz tego, czy jego pragnienie zemsty jest tylko fantazją wrażliwego chłopca, czy też dojrzałem uczuciem zbolałego męża? Ty wiesz, Malluchu, że marzenie o zemście ma korzeń w umyśle i że jeden promień słońca zdoła je rozwiać; podczas kiedy namiętność zemsty, to choroba serca, która sięga aż do mózgu i czerpie siły zemsty tak z jednego jak z drugiego.

— W tej kwestji Simonides poraz pierwszy zdradził się z uczuciem: mówił szybko, z zaciśniętemi pięściami; zdawało się, że patrzy na chorobę, którą opisuje.

— Czcigodny panie nasz,—odpowiedział Malluch,—właśnie jedną z przyczyn wiary mojej, że młodzieniec ten żydem, jest siła jego nienawiści. Widziałem że się hamuje, co jest naturalne, ze względu, że tak długo żył w atmosferze zazdrości rzymskiej; alem widział także, iż rozpłomienił się raz, gdy zapragnął dowiedzieć się, jakie są uczucia Ilderima względem Rzymu, a potem znów, kiedym mu opowiedział historją o szeiku i mędrcu; gdym mu wspomniał o zapytaniu: Gdzie jest Ten, co się urodził królem żydowskim?

Simonides pochylił się żywo.

— Ach Malluchu, powtórz mi jego słowa, powtórz, chcę wiedzieć, jakie wrażenie uczyniła na nim owa tajemnica.

— Pragnął usłyszeć dosłownie, czy trzej pielgrzymi pytali o „*tego, który jest królem żydowskim*, czy też o „*tego, który ma być królem żydowskim*". Zdawało się, że upatruje ważną różnicę pomiędzy temi dwoma wyrażeniami.

Simonides powrócił do postawy słuchającego sędziego.

— Wtedy powiedziałem mu,—rzeknie Malluch,— jak się Ilderim zapatruje na tę tajemnicę, że król przybędzie, żeby położyć koniec państwu rzymskiemu. Młodzieńcowi krew uderzyła do lica i czoła i wyrzekł poważnie: Któż inny, jeśli nie Herod, może być królem, dopóki Rzym panuje?

— Co rozumiał przez to?

— Że państwo rzymskie musi być zburzone, zanim nowe rządy nastąpią.

Simonides przyglądał się niejaką chwilę z zadumą okrętom oraz ich cieniom, zwolna posuwającym się razem po rzece. Gdy podniósł oczy, byłoto znakiem, że audjencja skończona.

— Dobrze, mój Malluchu,—rzekł,—posil się teraz i bądź gotów do drogi. Musisz powrócić do Gaju Palmowego, żeby być pomocnym młodzieńcowi w krytycznej chwili, co się dlań zbliża Przyjdź do mnie ju-

tro rano; dam ci list do Ilderima.—Potem dodał ciszej, niby do siebie: Może ja sam udam się do cyrku.

Gdy Malluch odszedł, zamieniwszy zwyczajowe błogosławieństwo z Simonidesem, starzec napił się trochę mleka i zdawał się pokrzepiony i lepszej myśli.

— Zabierz tacę, Estero,—powiedział,—posiliłem się już.

Usłuchała.

— Chodź bliżej.

Usiadła znowu na poręczy ojcowskiego krzesła.

— Bóg jest dobry dla mnie, bardzo dobry,—rzekł z zapałem.—On działa zwykle w tajemnicy, ale niekiedy pozwala nam myśleć, że Go widzimy i rozumiemy. Jestem już stary, moja najdroższa i czas mi zejść ze świata. Ale teraz, o tej godzinie, kiedy zaczynałem tracić nadzieję, zesłał mi promyk światła, który mi dodał sił. Widzę nadchodzące wypadki tak wielkiej doniosłości, że będą odrodzeniem dla całego świata. Widzę też, z jakiej przyczyny losy pozwoliły mi nagromadzić takie bogactwa i jaki z nich ma być użytek. Doprawdy, drogie dziecię, jestem niby zmartwychpowstały.

Estera przytuliła się do ojca, jak gdyby chciała myśli jego ściągnąć bliżej.

— Król narodził się,—mówił on dalej,—i musi być w połowie zwykłych lat człowieka. Baltazar powiada, że był niemowlęciem na rękach u matki, gdy go widział i złożył mu hołd i dary; a Ilderim mówił mi, że upłynęło 27 lat, w grudniu zeszłego roku, od

chwili, kiedy Baltazar i jego towarzysze przybyli do jego namiotu, prosząc, by ich ukrył przed Herodem. Pojawienie się króla musi więc niezadługo nastąpić: może dziś, może jutro. O, święci ojcowie Izraela, jakaż to błoga myśl! Zdaje mi się, że słyszę huk padających murów i wrzawę chaosu. Tak, ku najwyższej radości ludzkiej ziemia się rozpada, żeby pochłonąć Rzym. Ludy oddychają głęboko i śpiewają: Rzym zginął a my istniejemy! Roześmiał się do siebie. Słyszałaś co podobnego, Estero? Czuję w sobie natchnienie piewcy, gorącą krew Miriama i Dawida. W myślach moich, które powinny zajmować się tylko liczbami i faktami, brzmią cymbały, harfy i głosy tłumów, otaczających nowopowstały tron. Dam pokój tym myślom teraz. Tylko, gdy przybędzie król, będzie potrzebował pieniędzy i ludzi, bo jako dziecię, narodzone z niewiasty, będzie to człowiek, chodzący ludzkiemi drogami, tak samo jak ty i ja. Do pieniędzy będzie potrzebował rachmistrzów i zarządców, a do ludzi—przywódców. Cóż, czy nie widzisz szerokiej drogi, po której ja iść będę, a młody pan nasz—biedz. Czy widzisz w końcu tej drogi—chwałę i zemstę dla nas obydwóch i... i—umilkł, uderzony samolubstwem planu, w którymby ona nie miała udziału, albo pomyślnego rezultatu; całując ją, dodał: —i szczęście dla dziecięcia twej matki.

Ona siedziała milcząca. Przypomniał sobie nareszcie, jak odmienne są ich natury; przypomniał sobie prawo, mocą którego nie wszystkich jedno cieszy

i jedno przeraża. Przypomniał sobie, że jego córka jest kobietą.

— O czem myślisz, Estero? — zapytał swym zwykłym serdecznym głosem.—Jeśli myśl twoja ma kształt jakiego życzenia, to wyjaw mi je, najdroższa, dopóki mam władzę w ręku. Władza bowiem, jak wiesz, jest ruchliwą rzeczą i zawsze, jak ptak, ma skrzydła rozpięte do lotu.

Odpowiedziała z dziecięcą prawie prostotą:

— Poślij po niego, ojcze, poślij dziś wieczór i nie dopuść, żeby wystąpił na arenie.

— Ach!—wykrzyknął starzec przeciągle i znowu oczy jego padły na rzekę, pokrytą jeszcze głębszemi cieniami, gdyż księżyc posunął się daleko za górę Sulpius, pozostawiając miasto samym tylko bladym gwiazdom. Mamyż ci wyznać, czytelniku, w serce starca wkradła się zazdrość. Czyżby już pokochała swego młodego pana? O nie! To być nie może. Zamłoda. Ale myśl ta uczepiła się go. Jednakże... ma już lat szesnaście... Wiedział o tem, wszakże w ostatnią rocznicę jej urodzin zaprowadził ją do nowego okrętu, spuszczonego na wody Orontesu, a żółta flaga, którą statek przybrał na ten obchód zaślubin swoich z falami, nosiła imię „Estera“. Spędzili więc razem ów uroczysty dzień. A jednak fakt ten zaskoczył go teraz, niby niespodzianka. Są rzeczy, których nie lubimy być świadomi, gdyż sprawiają nam bói; najczęściej bywają-to fakta, dotyczące nas samych, n. p. że się starzejemy, lub co jeszcze

straszniejsze, iż musimy umrzeć. Taki-to ból zrodził się w sercu Simonidesa: byłto ból bezcielesny, niby cień, a jednak dosyć materjalny, żeby wywołać z jego piersi westchnienie, prawie jęk. Niedosyć, że ma zostać, w kwiecie wieku, niewolnicą, miałaby oddać panu swemu te tkliwe, szczere, delikatne uczucia, dobrze znane ojcu, gdyż do tego czasu korzystał z nich bezpodzielnie. Wróg, którego zadaniem jest dręczyć nas obawą i gorzkiemi myślami, rzadko kiedy działa połowicznie. W tej krytycznej chwili zacny starzec stracił z oczu nowe zadanie i cudownego króla, który był przedmiotem jego planów. Jednakże zdołał zapanować nad sobą i zapytał spokojnie: Dlaczego nie miałby wystąpić na arenie cyrkowej dziecię moje?

— To jest niewłaściwe miejsce dla syna Izraela, drogi ojcze.

— Czy tylko z tej przyczyny?

Ton zapytania brzmiał pytająco i ugodził ją w samo serce. Serce to zaczęło bić tak gwałtownie, że nie zdołała odpowiedzieć. Zawładnęło nią nowe a dziwnie miłe pomieszanie.

— Oddam mu fortunę,—rzekł tkliwiej, biorąc ją za rękę,—oddam okręty i sekele — wszystko, Estero, wszystko. Mimo to, dotąd nie czułem się ubogim, boś ty mi została z miłością, tak podobną do miłości mojej biednej Racheli. Powiedz mi, czy on i to posiądzie?

Pochyliła się nad nim i oparła policzek na jego głowie.

— Odpowiedz, Estero, lepiej być przygotowanym na to, co nas czeka.

Wyprostowała się i odrzekła takim szczerym głosem, jak gdyby była uosobieniem prawdy:

— Pociesz się, ojcze. Ja cię nigdy nie opuszczę; chociaż kocham go, pozostanę na zawsze twoją służebnicą.

Pochyliwszy się, złożyła pocałunek na czole starca.

— Miły mi jest jego widok; głos jego pociąga mię także, i drżę na myśl, żeby mu grozić mogło niebezpieczeństwo. Tak, ojcze drogi, byłabym więcej niż rada, gdybym go mogła jeszcze zobaczyć. Jednak miłość nieodwzajemniona nie jest zupełną miłością; dlatego będę czekała jakiś czas, pomnąc, żem twoją i matki mojej córką.

Prawdziwe z ciebie błogosławieństwo Boże, Estero,—błogosławieństwo, które mię uczyni bogaczem, chociażbym wszystko postradał. Na święte imię Pana przysięgam, że nie dopuszczę, byś miała cierpieć.

Po niejakiej chwili przyszedł sługa na jego żądanie i wtoczył go na fotelu do komnaty, gdzie siedział jakiś czas, dumając o spodziewanym królu. Estera poszła do siebie i pogrążyła się w śnie niewinności.

ROZDZIAŁ XVIII.

Pałac po drugiej stronie rzeki, naprzeciw domu Simonidesa, uchodzący za dzieło słynnego Epifanesa, wyglądał odpowiednio do swego przeznaczenia. Budowniczy jego, mający raczej pociąg do kształtów kolosalnych aniżeli do klasycznych, był tak zwanym dziś plagjatorem architektonicznym. Innemi słowy, byłto pałac w stylu perskim nie greckim.

Mur, opasujący całą wyspę, aż do brzegu wody i postawiony w podwójnym celu: jako bulwark zabezpieczający od rzeki i obrona od napaści tłumu, miał uczynić gmach ten nieodpowiednim do stałego zamieszkania, — tak dalece, iż posłowie przenieśli się do innej rezydencji, zbudowanej dla nich na zachodnim stoku góry Sulpius, poniżej świątyni Jowisza. Złośliwi utrzymywali jednak, że rzeczywistą przyczyną przenosin posłów było bezpieczeństwo, zapewnione ogromnemi barakami, zwanemi podówczas cytadelą, która wznosiła się nad samą drogą, na zachodniem zboczu góry. Podejrzenie ich stwierdzał ten fakt, że budowla ta była ciągle na pogotowiu i gdy jaki konsul, generał, król, albo dostojny gość przybywał do Antjochji, zawsze oddawano mu ją na zamieszkanie.

Ponieważ nas interesuje tylko jeden apartament

w starem skrzydle, resztę czytelnik dopełni sobie własną wyobraźnią i jeśli zechce, może zwiedzić ogrody, łaźnie, halle, labirynt komnat i altany na dachu —a wszystko urządzone z przepychem.

Obecnie, komnata, którą chcemy tu opisać, nazywałaby się salonem. Była ona bardzo obszerna, z posadzką z polerowanych tafelek marmurowych, oświetlona za dnia przez otwory w pułapie, w których osadzona różnobarwna mika służyła za szyby. Przy ścianach były poustawiane Atlantydy, każda odmienna,—a wszystkie podtrzymywały sufit, zdobny w zawiłe arabeski błękitne, zielone, purpurowe i złote. Dokoła komnaty stały rzędem sofy, pokryte jedwabną materją indyjską, albo kaszmirem. Stoły i krzesła, dziwacznie rzeźbione, były w stylu egipskim.

Zostawiliśmy Simonidesa układającego w swem krześle plany co do cudownego króla, o którym powiedział sobie, że niezadługo przybędzie. Estera usnęła. My zaś,—przebywszy most na rzece, dostaniemy się do onej złoconej sali, bramą strzeżoną przez lwy i mnóstwem babilońskich hall oraz dziedzińców.

Pięć świeczników zwieszało się tam u pułapu na bronzowych łańcuchach: cztery w rogach a jeden w środku—złożony z ogromnych piramid zapalonych lamp, które oświetlały nawet szatańskie oblicza Atlantów i powikłane rysunki na suficie. Dokoła stołów siedziało, stało, lub chodziło, gorączkowo, około stu osób, którym wypada nam się przyjrzeć.

Grono to składało się z młodzieńców; niektórzy tylko co wyszli z chłopięcych lat. Że są to włosi, a przeważnie rzymianie, o tem wątpić nie można. Wszyscy mówią czystą łaciną i mają na sobie ubiór domowy, używany w wielkiej stolicy nadtybryjskiej. Były-to krótkie tuniki bez rękawów, bardzo odpowiednie do klimatu antjochijskiego, a w szczególności dogodne w atmosferze zamkniętego salonu. Na sofach, tu i owdzie były rzucone niedbale togi i lacerny, niektóre obszyte purpurą, co miało pewne znaczenie. Na podłodze leżały pantofle. Czy młodzieńców tych znużył upał dzienny, czy też nieład on sprawił Bachus, nie będziemy w to wchodzili.

W komnacie było głośno, od czasu do czasu rozlegał się wybuch śmiechu, niekiedy znów objaw oburzenia lub nadziei,—ale nad wszystkiem górował jakiś niezrozumiały grzechot. Gdy się jednak zbliżymy do stołów, zagadka będzie rozwiązana. Grono młodzieży siedzi przy ulubionej grze w kości, pojedynczo lub razem.

— Kto są zgromadzeni tu ludzie?

— Zacny Flawjuszu,—rzekł jeden z grających, trzymając kość wpodniesionej ręce,—widzisz tę lacernę? Tę oto, na przeciwko nas, na sofie: zupełnie nowa, prosto z igły, ma złotą sprzączkę, szeroką jak moja dłoń.

— Widziałem takich niemało, — odpowiedział tamten, nie przerywając gry. Twoja także musi być niestara, ale też nie jest nowa. O cóż ci chodzi?

— O nic. Tylko oddałbym ją temu, coby znalazł człowieka, który wie wszystko.

— Ha! ha! za coś tańszego znajdę ci tu rozmaitych odzianych w purpurę, co staną na twe wezwanie. Ale grajże.

— Patrz, wygrałem!

— Prawda—na Jowisza! Chcesz zagrać jeszcze raz?

— Dobrze.

— Jaka stawka?

— Sesters.

Obaj zapisali sobie cyfrę na woskowych tabliczkach.

Flawjusz, wstrząsając kośćmi w kubku, rzekł:

— Chciałbyś poznać człowieka, który wie wszystko? Na Herkulesa! wyrocznie nie miałyby co robić, gdyby tacy ludzie istnieli. Naco ci potrzebne podobne dziwo?

— Musiałby mi odpowiedzieć na pewne pytanie, a potem uciąłbym mu głowę.

— Jakieżto pytanie?

— Potrzebuję wiedzieć o której godzinie, a nawet o której minucie Maxentius przybędzie jutro.

— Rozumiem cię! Ale dlaczego ci chodzi o minutę?

Czyś ty stał kiedy z odkrytą głową pod syryjskiem słońcem na wybrzeżu, gdzie on wyląduje? Ognie Westy są mniej palące. Kiedy mam umrzeć,

chciałbym umrzeć w Rzymie!—Ale na bogów, złapałeś mię, Flawjuszu, przegrałem; o Fortuno!

— *Znowu?*

— Muszę odegrać mego sestersa.

— Dobrze!

Młodzieńcy nasi wciąż grali: gdy świt, wkradający się przez okienka, począł przyćmiewać lampy, zastał ich jeszcze grających w tem samem miejscu, przy tym samym stole. Jak większa część zgromadzonych, bylito wojskowi ze świty konsula, którzy grą skracali sobie oczekiwanie jego przybycia.

— Podczas powyższej rozmowy weszło nowe grono do komnaty i, zrazu niedostrzeżone, podążyło do środkowego stołu. Widocznie goście ci przybyli prosto z hulanki; niektórzy chwiali się na nogach, Jeden z nich miał wieniec na głowie, co oznaczało, że wydawał biesiadę lub przynajmniej przewodniczył tejże. Na nim wino zostawiło tylko ten ślad, że poddniosło jeszcze jego typowo rzymską piękność. Nosił on głowę bardzo wysoko, usta i lica miał purpurowe, oczy błyszczące. W teatralnej pozie zmierzał niby jaki cezar do stołu, sobie i towarzyszom torując lekceważąco drogę, pośród tłumu. Gdy nakoniec zatrzymał się i objął okiem całe zgromadzenie, wszyscy gracze zwrócili się ku niemu i powitali go głośnym okrzykiem:

— Messala! Messala!

Ci, co siedzieli daleko, usłyszawszy te krzyki, wtórowali im na swoich miejscach. W jednej chwili

rozproszyły się gromadki, porzucono grę i wszyscy cisnęli się ku środkowi komnaty.

— Messala obojętnie i dumnie przyjmował oznaki ogólnego uznania.

— Bądź pozdrowion, Druzusie, przyjacielu mój, —odezwał się do najbliżej grającego, po prawej jego stronie,—ustąp mi na chwilę swoich tabliczek.

Podniósł woskowe tabliczki, spojrzał na zanotowane zakłady, poczem mu je cisnął.

— Denary, same tylko denary! Moneta taczkarzy i rzeźników,—rzekł, śmiejąc się wzgardliwie.— Na pijaną Semelę, dokąd to doszedł Rzym, kiedy nawet cezar całemi nocami czuwa i czeka, czy mu Fortuna nie rzuci żebraczego denara na podatek.

Druzus zarumienił się po uszy, ale obecni nie dopuścili, by odpowiedział; skupiwszy się dokoła stołu, zaczęli oni krzyczeć:

— Messala! Messala!

— Ludzie z nad Tybru,—mówił dalej Messala, odbierając jednemu z graczy kubek z kościami: Kto jest ulubieńcem bogów? rzymianin. Kto prawodawcą ludów? rzymianin! Kto, prawem miecza jest panem świata?

— Rzymianin! rzymianin! — zawołali wszyscy z zapałem.

Jednakże, jednakże...—umilkł, żeby przykuć do siebie ich uwagę,—jednakże jest ktoś lepszy od najlepszego z rzymian!

Zamilkł i potrząsnął dumnie patrycjuszowską głową, jak gdyby chciał ich rozjątrzyć tym zarzutem.

— Herkules!—zawołał ktoś.

— Bachus!—wrzasnął inny złośliwie.

— Jowisz! Jowisz!—huknął tłum.

— Nie — odpowiedział Messala — szukajcie pomiędzy ludźmi.

— Nazwij go! wymień go!—krzyczano zewsząd.

— Ten, kto doskonałość Rzymu połączył z doskonałością wschodu, wygłosił Messala, gdy nastała cisza, ten, kto do zwycięzkiego zachodu wnosi wschodnią sztukę korzystania z planów zwycięztwa.

— *Perpol!* Bądźcobądź ten najlepszy jest rzymianinem, zawołał ktoś.

Słowa Messali przyjęto śmiechem i przeciągłemi oklaskami.

— My na wschodzie,—ciągnął on,—nie mamy innych bogów prócz wina, kobiet i fortuny, a główne miejsce zajmuje Fortuna. Ztąd hasła nasze: Kto się odważy na to, na co ja się odważam? Hasło to dobre w senacie, dobre w bitwie, ale najlepsze dla tych, co szukając lepszego, nie cofają się przed najgorszem,—rzekł lekkim tonem.

— Tam na górze, w twierdzy, mam w skrzynce 5 talentów w monecie bieżącej. Oto pokwitowanie.

Wyjął z zanadrza tuniki zwój papierów i rzuciwszy go na stół, mówił dalej wśród ogólnej ci-

szy. Wszystkie oczy były ku niemu zwrócone; wszyscy słuchali go z natężoną uwagą.

Suma ta jest miarą mojej odwagi. Który z was miałby tyle śmiałości? I na to nie zgadzacie się? Za wielka suma? Dobrze, ujmę jeden talent. Cóż to, jeszcze milczycie? No to może zagramy o trzy talenty, tylko o trzy, o dwa, o jeden? Przynajmniej o jeden; o jeden dla uczczenia tej rzeki, nad którą otrzymaliście życie. Rzym wschodni przeciw Rzymowi zachodniemu! Barbarzyński Orontes przeciw świętemu Tybrowi!

Mówiąc te słowa, potrząsał kubek z kościami.

— Orontes przeciw Tybrowi! powtórzył z większą jeszcze wzgardą w głosie.

Nikt się nie ruszył; rzucił on wtedy skrzynkę na stół i ze śmiechem wziął pokwitowanie.

— Ha! ha! ha! Na Jowisza olimpijskiego! Teraz wiem, dlaczegoście przybyli do Antjochji i chcecie zrobić fortunę, albo przynajmniéj poprawić stan waszych interesów. Hej, Cecyljuszu!

— Jestem, Messalo! odezwał się ktoś poza nim. Oto jestem!

— Pójdź do komnaty, w której biesiadowaliśmy i każ służalcom przynieść amfory z winem, czary i kubki. Ci ziomkowie nasi, co się ubiegają o fortunę, nie mają sakw, chcę się przekonać, na Bachusa Syryjskiego, czy nie są lepiej uposażeni w żołądki. Spiesz!

Zwrócił się do Druzusa i wybuchł tak głośnym śmiechem, że się rozległ po całej sali.

— Ha! ha! drogi przyjacielu, daruj, żem w twojej osobie poniżył Cezara do denarów. Widzisz, jam chciał tylko wziąć na próbę te piękne ptaszki z naszego starego Rzymu. Chodź, mój Druzusie, chodź! Wziął napowrót skrzynkę i wesoło potrząsał kościami. No, sprobójmy szczęścia. Jaką będzie stawka?

Druzus nie mógł się oprzeć kuszącemu wezwaniu.

— Na nimfy, gotów jestem! rzekł ze śmiechem. Zagrajmy o denara.

Jakiś młody chłopiec przyglądał się przez stół tej scenie.

Messala zwrócił się nagle ku niemu, pytając:

— Coś ty za jeden?

Młodzian cofnął się.

— Na Kastora i jego brata! nie chciałem cię obrazić. Jest w zwyczaju pomiędzy ludźmi tem ściślej prowadzić rachunki, im sprawa jest mniejszej wagi. Potrzebuję sekretarza; czy zechcesz objąć ten obowiązek?

— Czekaj, Messalo, czekaj!—zawołał Druzus.— Nie wiem, czy to nie będzie czasem złym omenem, gdy przerwę grę rozmową, ale muszę ci zadać jedno pytanie, choćbym się miał przez to narazić Fortunie. Powiedz mi, czyś widział kiedy niejakiego Arrjusza Kwintusa?

— Duumwira?

— Nie, jego syna.

— Nie wiedziałem, że miał syna.

— To nic nie znaczy,—dodał Druzus obojętnie, tylko, mój drogi Messalo, Polluks nie mógł być podobniejszy do Kastora, aniżeli Arrjusz do ciebie.

Uwaga ta była niby hasłem: 20 głosów zawołało:

— Prawda, prawda! To jego oczy, jego twarz!

— Co znowu! odezwał się ktoś niechętnie. Messala jest rzymianinem, Arrjusz żydem.

— Dobrze mówisz, — krzyknął trzeci,—to żyd, znać po nim...

Zanosiło się na starcie.

Żeby mu zapobiedz, Messala rzekł: Wina jeszcze nie podano, mój drogi Druzusie, możemy więc pogawędzić... Powiedz mi co więcej o tym Arrjuszu...

— Czy to żyd, czy rzymianin, na wielkiego Boga Pana, nie może ci to podobieństwo z nim ubliżać, mój drogi Messalo, bo jest on piękny, odważny i rozumny. Cezar chciał go wziąć w opiekę i obsypać łaskami, ale wszystko odrzucił. Otacza się tajemnicą i tak się zachowuje, jak gdyby się miał za lepszego lub gorszego od nas wszystkich. W szkołach szermierki nikt mu nie wyrównał. Modrookich olbrzymów z nad Renu i bezrogich byków z Sarmacji giął niby wiotką trzcinę. Duumwir zostawił mu ogromny majątek. Wojna jest celem jego marzeń. Maxencjusz przyjął go do swych zastępów i miał on nawet wsiąść z nami na okręt, ale w Rawennie zgi-

nął nam z oczu; przybył tu jednak zdrów i cały. Doszła nas o nim wiadomość dziś rano. *Perpol,* zamiast się udać do pałacu albo do twierdzy, zostawił swe pakunki w Khanie i znowu znikł.

Z początku Messala słuchał z grzeczną obojętnością, lecz stopniowo rozciekawiał się i w końcu, odjąwszy rękę od skrzynki z kościami, wykrzyknął:

— Słyszysz, Kajusie?

Młodzieniec stojący obok, jego Myrtilus czyli towarzysz ćwiczeń arenowych, uradowany, że raczył doń przemówić, odpowiedział:

— Nie byłbym twoim przyjacielem, Messalo kochany, gdybym nie słyszał.

— Pamiętasz naturalnie tego młodzieńca, który cię wyrzucił dziś z rydwanu...

— Na Bachusa! alboż mi go nie przypominają potłuczone kości?

— Bądźże wdzięczny losom, bo odnalazłem twego wroga. Słuchaj...

Tu Messala zwrócił się do Druzusa.

— Powiedz nam co więcej o nim, *Perpol,* o nim, który jest zarazem żydem i rzymianinem. Na Feba, jest to zestawienie, które uczyniłoby pięknym nawet centaura. Jaki on ubiór nosi, mój Druzusie?

— Żydowski.

— Słyszysz, Kajusie? rzekł Messala. Jestto człowiek młody, to jedno; ma rysy rzymianina, to dwa, najlepiej lubi nosić się po żydowsku, to trzy; słynie na arenach; potrafi powalić konia lub, w ra-

zie potrzeby, wywracać rydwany to, cztery. Druzusie, pomóż teraz memu przyjacielowi. Niezawodnie ten Arrjusz mówi kilkoma językami, bo inaczej nie byłby dziś żydem, jutro rzymianinem. Czy dobrze mówi bogatym językiem ateńczyków?

— Tak czysto, mój Messalo, że mógłby w Istmji grać tragedje greckie.

— Słyszysz, Kajusie? On umie pozdrawiać damę po grecku: według mego rachunku, będzie to, po piąte. Cóż ty na to?

— Jeśli go nie znalazł, to chyba nie jestem tobą, mój Messalo,—odrzekł Kajusz.

— Przepraszam ciebie, Druzusie i was wszystkich, za tak zagadkową mowę, powiedział Messala ze zwykłym wdziękiem, zwracając się do obecnych, ale i ty wspomniałeś coś o tajemnicach, tyczących pochodzenia tego syna Arrjusza. Opowiedzże, co wiesz!

— Nic ważnego, ale jeśli chcesz wiedzieć, to słuchaj: podobno gdy Arrjusz, ojciec, puścił się na morze, w pogoni za piratami, nie miał ani żony ani dzieci; wrócił zaś z chłopcem, z tym, o którym mówimy, i nazajutrz adoptował go.

— Adoptował? powtórzył Messala. Na bogów, mój Druzusie, zaciekawiasz mię. Gdzież duumwir znalazł tego młodzieńca? I kto on był?

— Któżby ci mógł na to odpowiedzieć prócz samego Arrjusza? *Perpol!* Duumwir, który był podówczas tylko trybunem, stracił swą galerę. Powra-

cający statek znalazł jego i drugiego jeszcze, jedynych rozbitków, walczących na desce z falami. Opowiadają ludzie, że towarzyszem duumwira na desce był *żyd.*

— Żyd! powtórzył Messala.

— Jakto, Druzusie? Niewolnik?

— Gdy ich obu wciągnięto na pokład, duumwir miał na sobie zbroję trybuna, a tamten siermięgę galernika.

Messala zerwał się od stołu.

— Galernik,—powtórzył wzgardliwie, i rozejrzał się dokoła, poraz pierwszy w życiu straciwszy przytomność umysłu. Właśnie w tej chwili grono niewolników napełniło pokój, jedni nieśli wielkie czary wina, drudzy koszyki z owocami i konfiturami, inni kielichy i flasze, po większej części srebrne. Byłto widok ożywiający. Messala w mgnieniu oka wskoczył na krzesło.

— Ludzie z nad Tybru, rzekł donośnym głosem, skróćmy sobie czekanie na naszego wodza ucztą na cześć Bachusa. Kogo wybieracie na Amfitrjona?

Druzus podniósł się.

— Któżby miał przewodniczyć bankietowi, jeśli nie ten, co go wyprawia? rzekł. Odezwijcie się rzymianie!

Całe grono odpowiedziało jednym krzykiem.

Messala zdjął wieniec z głowy, oddał go Druzusowi, który wskoczył także na stół i wobec wszy-

stkich uroczystoście włożył go na skronie Messali, ustanawiając go przewodniczącym na całą noc.

— Przyszło tu ze mną kilku przyjaciół, którzy wstali tylko co od stołu, rzekł tenże, aby nasza biesiada została uświęcona starym zwyczajem, to przyjdzie ten z pomiędzy nich, kogo wino najbardziej zmogło.

— Oto jest! oto jest! krzyknęło kilku, podnosząc z ziemi młodzieńca tak zniewieściale pięknego, że mógł uchodzić za samego bożka pijaństwa, tylko że wieniec zsunąłby mu się z czoła a tyrsu nie utrzymałby w rękach.

— Posadźcie go na stole, rozkazał Amfitrjon.

Okazało się, że nie może siedzieć.

— Podtrzymaj go, Druzusie!

Druzus objął pijanego rękami.

Wtedy Messala, zwracając się do bezprzytomnego indywiduum, rzekł wśród głębokiej ciszy:

— O Bachusie! największy z bogów, sprzyjaj nam tej nocy. We własnem i towarzyszy moich mieniu obiecuję złożyć wieniec na ołtarzu w Gaju Dafny.

Zdjął wieniec z głowy i podniósł go w górę.

Pochyliwszy głowę, włożył znowu na nią wieniec, podrzucił kości i rzekł ze śmiechem:

— Widzisz, Druzusie, na osła Sylena, twój denar do mnie należy!

Taki śmiech rozległ się w tej chwili, że aż podłoga drżała i Atlanty wzruszyły się na posadach.

Zaczęto orgją.

ROZDZIAŁ XIX.

Szeik Ilderim, jako mąż wielkiego znaczenia, musiał występować z okazałością. Wypadało mu godnie reprezentować pokolenie, którego był naczelnikiem, księciem i patryjarchą, pokolenie najliczniejsze na pustyni w Syrji wschodniej. U ludności grodów miał on inną sławę: w miastach uchodził za najbogatszego z ludzi na całym wschodzie, nie wyłączając i królów. Ponieważ był rzeczywiście bogatym, w pieniądze zarówno jak w niewolników, wielbłądy, konie i trzody wszelkiego rodzaju, lubił występować z przepychem, nietylko bowiem podnosiło to jego potęgę w oczach obcych przybyszów, ale zarazem dumie jego pochlebiało i zapewniało mu wygody. Z tego powodu, podczas pobytu w Gaju Palmowym, otaczał się wielkim blaskiem. Miał on tam zupełny dowar, t. j. 3 duże namioty: jeden dla siebie, drugi dla gości, trzeci dla najukochańszej ze swych żon i jej orszaku, a sześć czy osiem mniejszych dla niewolników i niektórych członków pokolenia, co mieli mu służyć za straż przyboczną, ludzi wyprobowanej od-

wagi, umiejących władać zarówno łukiem, jak i końmi.

Posiadłości jego z pewnością nie groziło żadne niebezpieczeństwo w Gaju Dafny, ale ponieważ nałogi człowieka towarzyszą mu w mieście tak samo jak na wsi i ponieważ rozum nakazuje nie rozluźniać nigdy porządku, wnętrze jego dowaru oddane było krowom, wielbłądom, kozom i wogóle temu wszystkiemu, co mogło kusić lwa albo złodzieja.

Należy oddać Ilderimowi tę sprawiedliwość, że szanował wszystkie tradycyjne zwyczaje swego narodu, nie pomijając najbłahszego. Wskutek tego, życie jego w Gaju było dalszym ciągiem życia na pustyni, odbiciem starych patryjarchalnych zwyczajów pasterskiego życia pierwotnego Izraela.

Owego ranka, kiedy karawana przybyła do Gaju, Ilderim, zatrzymawszy konia, wetknął w ziemię strzałę i rzekł: Tu go postawcie... drzwiami ku południowi; przed nami będzie jezioro, w którem będziemy się przyglądali zachodzącemu słońcu, siedząc pod temi dziećmi pustyni.

Mówiąc te słowa, zbliżył się do grupy 3-ch dużych palm, i pieścił jedną z nich niby konia ulubionego, albo dziecię swej miłości.

Któżby, prócz szeika, miał prawo powiedzieć karawanie: zatrzymaj się! i rozkazać,— tu namiot ma być rozbity! Strzałę wyciągnął z ziemi, w pozostały po niej otwór włożył pierwszy słup namiotu; potem dokoła tego słupa osadzono 8 innych, w odstępach,

3-ma szeregami. Wtedy przywołano niewiasty i dzieci, które wyjęły płótno z juk. Któż mógł to zrobić, jeśli nie kobiety? Alboż nie one strzygły brunatne kozy. Czy nie one przędły tę wełnę, a z wełny sukno tkały? Alboż nie one to sukno zeszywały, tak, że tworzy gruby dach, ciemno-brunatny w rzeczywistości, chociaż zdaleka czarny, jak namioty Kedar. Cóż tam było śmiéchu co żartów, co figlów, gdy cała ta gromadka, za wskazówkami Szeika, rozpinała płótno na słupach i przywiązywała je sznurami. Gdy w końcu ta budowla w stylu pustyniowym była gotowa, jakże lękliwie czekały wyroku swego dobrotliwego pana! Jakże się cieszyły, kiedy on, obejrzawszy namiot wewnątrz i zewnątrz, rozpatrzywszy się w jego położeniu względnie do drzew, słońca i wody, zatarł ręce z zadowoleniem i rzekł:

Udała wam się robota! Teraz urządźcie „dowar" o ile się da najlepiej; wieczorem będziemy słodzili chleb arakiem a mleko miodem i na każdem ognisku piec się będzie koźlę. Bóg z wami! Wody słodkiej nie zbraknie, bo źródło będzie studnią naszą, zwierzęta juczne nie zaznają też głodu, nawet i najmniejsze z naszych trzód, bo mamy tu pastwiska. Bóg z wami wszystkimi, dzieci moje! Odejdźcie.

Wśród wesołych okrzyków rozpierzchła się gromadka, żeby przygotować dla siebie także mieszkania. Kilka tylko osób zostało, aby urządzić wnętrze namiotu szeika: mężczyzni rozwiesili firankę na środkowym szeregu słupów, dzieląc namiot na 2 czę-

ści, jedną dla samego Ilderima, drugą dla jego koni, które sprowadzili,—poczem obsypawszy pieszczotami, puścili na wolność. Na środkowym słupie rozwiesili zbroje, strzały, łuki, cięciwy, tarcze; powyżej zaś miecz samego Ilderima, miecz w kształcie księżyca na nowiu, z ostrzem z błyszczącej stali i rękojeścią klejnotami ozdobioną. Na innym słupie wisiały uprzęże koni, niektóre tak bogate jak liberja jakiegoś sługi królewskiego, naprzeciwko zaś rozwieszoną była odzież wielkiego męża: szaty wełniane i lniane, tuniki, szarawary i różnobarwne chustki na głowę. Ta gromadka wiernych sług póty się krzątała, dopóki pan nie pochwalił jej dzieła.

Kobiety zajęły się tymczasem urządzeniem szafy, bez której szeikowi byłoby się trudniej obejść, aniżeli bez białej brody, co mu, jak u Arona, na piersi spływała. Ustawiły pod ścianami obok drzwi ramy drewniane w kształcie trójkąta, i położyły na nich poduszki, przykryte kapą z sukna błękitno-czerwonego. Dokoła tej sofy rozesłały kobierzec, który zajął cały namiot. Wtedy robota ich była skończona i czekały tylko, co pan ich powie. Pozostało im jeszcze napełnić dzbany wodą i pozawieszać skórzane butelki z arakiem. Któremuż arabowi nie wydawałby się Ilderim szczęśliwy w tym namiocie nad jeziorem słodkich wód, pod drzewami Gaju Palmowego?

Przed tą—to siedzibą szeika zostawiliśmy Ben-Hura.

Niewolnicy czekali tam już rozkazów szeika. Jeden zdjął z nóg jego sandały, drugi rozsznurował Ben-Hurowi rzymskie koturny; poczem zrzuciwszy z nich zwierzchnią zapyloną odzież, podali świeże szaty z białego płótna.

— Wejdź, w imię Boże, wejdź i spocznij—rzekł serdecznie gospodarz namiotu w ludowym djalekcie hebrajskim i poprowadził gościa ku sofie.

— Ja tu siądę, rzekł wskazując na miejsce, a ty gościu, tam.

Niewiasta, którąby dziś nazwano pokojówką, zręcznie ułożyła poduszki i wezgłowia. Przyniesiono świeżej wody z jeziora, obmyto im nogi i obtarto je ręcznikami.

Ilderim, gładząc sobie brodę i rozczesując ją cienkiemi palcami, odezwał się: Mamy tu na pustyni takie przysłowie, że dobry apetyt jest wróżbą długiego życia. Jakże ty stoisz ze swoim apetytem?

— Czcigodny szeiku, powinienem żyć jakie sto lat, bom głodny jak wilk—odpowiedział Ben-Hur.

— Bądź spokojny, nie wyjdziesz ztąd głodny jak wilk. Dam ci, co tylko jest najlepszego w mej trzodzie.

Ilderim klasnął w ręce.

— Idź do gościnnego namiotu i powiedz dostojnemu cudzoziemcowi, który go zamieszkuje, że ja, Ilderim, przesyłam mu życzenie, by spokój jego był tak nieprzerwany, jak nieprzerwanie płyną wody.

Niewolnik skłonił się nizko.

— Powiedz mu także, mówił dalej szeik, że mam gościa, z którym się przełamię chlebem; jeśli Baltazar zechce także przyjść, to wystarczy dla 3-ch i jeszcze niemało zostanie dla ptasząt.

Niewolnik odszedł.

— Wypocznijmy teraz.

Ilderim siadł na poduszce, z nogami podwiniętemi, jak dodziśdnia siadają kupcy na bazarach w Damaszku, a gdy wypoczął, przestając sobie rozczesywać brodę, rzekł z powagą: Chociaż jesteś gościem moim, chociaż piłeś wino moje i skosztujesz mej soli, zapytam cię jednak: Kto jesteś.

Ben-Hur, wytrzymując spokojnie jego spojrzenie, odpowiedział: Proszę cię, szeiku Ilderimie, nie myśl, że lekceważę twe słuszne żądanie, ale czy nie było takiej chwili w twem życiu, w której odpowiedź na podobne pytanie byłaby zbrodnią względem ciebie samego.

— Na chwałę Salomona, tak, odrzekł Ilderim. Zdradzić siebie bywa niekiedy taką podłością, jak zdradzić całe pokolenie.

— Dzięki ci, dzięki, dobry szeiku,— zawołał Ben-Hur.—Dałeś mi mądrą odpowiedź; zapewnię cię więc tylko, że nie zawiodę nigdy twego zaufania; a zapewnienie to więcej powinno ważyć dla ciebie, aniżeli sprawy mego życia.

Teraz z kolei szeik głowę spuścił a Ben-Hur ciągnął dalej: Jeśliś łaskaw mię wysłuchać, to ci po-

wiem najpierw, że nie jestem rzymianinem, jak mogłeś sądzić z nazwiska, które ci za moje podano.

Ilderim schwycił za brodę, spływającą mu na piersi i z pod ściągniętych brwi spojrzał bystro na mówiącego.

— Jeszczè i to powinieneś wiedzieć, ciągnął dalej Ben-Hur, żem ja izraelita z pokolenia nudy.

Szeik podniósł nieco brwi w górę.

— Nadto wiedz, szeiku, że jestem żydem, mającym w sercu taką urazę do Rzymu, iż twoja niechęć przy niej jest bardzo błahem uczuciem.

Starzec z nerwową szybkością przesunął palce po brodzie i tak nizko spuścił brwi, że zakryły całkiem gałki oczów.

— Przysięgam ci nareszcie, szeiku Ilderimie, przysięgam na Zakon Pana, dany ojcom moim na górze Synai, iż jeśli mi dopomożesz zemścić się, to zysk i sława, jakich się spodziewam na arenie, tobie przypadną w udziele.

Ilderim rozsunął brwi i podniósł głowę; twarz zaczęła mu się rozjaśniać i można z niej było niemal czytać wzrastające zadowolenie.

— Dosyć tego! rzekł. Że nie jesteś rzymianinem, że jako żyd, masz urazę do Rzymu, że się chcesz nad nim pomścić, wierzę temu; ale czy będziesz *umiał* się zemścić? Czy potrafisz zręcznie kierować rydwanem? Czy zawładniesz tak temi końmi, żeby cię znały, żeby przyszły na twe zawołanie, żeby pędziły, na twój rozkaz, aż do ostatniego tchnie-

nia, do śmiertelnego wysiłku. Znałem króla, który rządził miljonami ludzi i panował nad nimi nieograniczenie, a jednak konia nie zdołał okiełznać. Rozumie się, że nie mówię tu o znikczemniałych bydlętach, niejako stworzonych na to, żeby być niewolnikami niewolników, o skarlałych krwią i postacią, obumarłych duchem, lecz o tych, co, jak te moje, są królami w swym rodzaju, co pochodzą w prostej linji od rumaków pierwszych-faraonów. Ja mówię o tych moich towarzyszach i przyjaciołach, które mieszkają ze mną w namiocie, które, wskutek długiego ze mną obcowania, nauczyły się mię rozumieć; które obok swego instynktu mają nasz rozum, a obok swoich zmysłów, nasze dusze, tak, że dzielą z nami ambicją, miłość, nienawiść i wzgardę; ja mówię o tych szlachetnych stworzeniach, które na wojnie są bohaterami, a w czasie pokoju wiernemi jak niewiasta. Hej! Jest tam kto?

Nadbiegł niewolnik.

— Sprowadź tu moje arabczyki.

Sługa usunął zasłonę, przedzielającą namiot i ukazała się gromadka koni, które chwilę jeszcze stały w miejscu, jak gdyby się chciały upewnić, czy są wezwane.

— Chodźcie tu! rzekł do nich Ilderim. Dlaczego stoicie? Alboż mam co takiego, czembym się nie dzielił z wami? Chodźcież tu, powiadam.

Arabczyki weszły zwolna.

— Synu Izraela, rzekł starzec, twój Mojżesz

był potężnym człowiekiem, ale ha, ha, ha! muszę się śmiać, gdy pomyślę, że pozwalał twym ojcom używać ociężałego wołu i powolnego upartego osła, a zakazywał mieć konia. Ha, ha, ha! Czy myślisz, że byłby to uczynił, gdyby był widział tego, i tego oto i tamtego. Mówiąc te słowa, położył rękę na głowie najbliższego ze swych rumaków i głaskał go z dumą i tkliwością.

— To niesłuszny sąd, szeiku, niesłuszny—powiedział Ben-Hur z uniesieniem.—Mojżesz był wojownikiem zarówno jak i prawodawcą, ukochanym przez Boga. A na wojnę ciągnąć, nie znaczyż — to kochać te zwierzęta, co dzielą z nami trudy i tryumfy bojowe? Kształtna główka z dużemi oczami o spojrzeniu słodkiem jak u sarenki, grzywą zasłonięta do połowy, z małemi, śpiczastemi, pochylonemi naprzód uszami, zbliżyła się tuż do piersi Ben-Hura, pytając niejako: Ktoś ty? Poznał młodzieniec jednego z owych 4-ch rumaków, które widział na wyścigach i wyciągnął rękę do cudnego zwierzęcia.

— Ci bluźniercy, oby im ubywało dni, oby ich dni stały się krótszemi!—rzekł szeik z takiem oburzeniem, jak gdyby mu szło o obelgę osobistą,—ci bluźniercy powiedzą ci, że nasze konie najlepszej krwi pochodzą z nizejskich pastwisk perskich. Bóg dał pierwszemu arabowi bezgraniczną przestrzeń piasku, trochę nagich gór, gdzieniegdzie źródło gorzkiej wody i rzekł doń: Oto twój kraj. A gdy biedak ten narzekał, Wszechmocny Pan ulitował się nad nim

i powiedział znowu: Pociesz się, bo cię obdarzę dwa razy więcej, aniżeli innych ludzi. Arab usłyszał, złożył dzięki i z wiarą poszedł szukać obiecanego błogosławieństwa. Obszedł najwpierw granice i nie znalazł nic; potem zrobił ścieżkę w pustyni, szedł, szedł coraz głębiej i w samem jej sercu natrafił na bardzo piękną wyspę zieloną, a w sercu tej wyspy znalazł stado wielbłądów i stado koni! Zabrał je z radością i pielęgnował jako najlepsze dary Boże. Z tejto wyspy zielonej pochodzą wszystkie konie na całej ziemi. Przeszły one nawet na pastwiska nizejskie, a w północnej stronie dostały się aż do posępnych dolin, chłostanych bez ustanku zimnemi wichrami, co wieją z mórz. Nie powątpiewaj o prawdziwości tej historji... jeśli nie jest prawdziwą, to niechaj amulet arabski utraci swą siłę dla araba. Zaraz poprę słowa moje dowodem.

Klasnął w ręce.

— Przynieś mi rodowód moich koni—rzekł do niewolnika, który stawił się na wezwanie.

Oczekując jego powrotu, szeik pieścił swe konie i głaskał ich zgrabne główki, rozczesywał grzywy palcami i każdemu zosobna dał dowód swej słabości ku nim. Po chwili weszło 6-ciu ludzi z cedrowemi skrzynkami o okuciach mosiężnych.

Gdy je postawiono przed sofą, Ilderim rzekł: Nie chciałem wszystkich, tylko tę jedną, z rodowodem koni.—Otwórzcie ją, a inne zabierzcie ztąd.

Otworzono skrzynkę, w której znajdowało się

mnóstwo tabliczek z kości słoniowej, nawleczonych na srebrne kółka. Ponieważ były-to cieniuchne tabliczki, na każdem z kółek mieściło się ich kilkaset.

— Wiem—rzekł Ilderim, biorąc kilka kółek do ręki—wiem, mój synu, jak starannie i gorliwie doktorowie w świątyni jerozolimskiej zapisują imiona nowonarodzych, żeby każdy syn Izraela mógł wywieść szereg swych przodków, chociażby nawet sięgał aż do samych patryjarchów. Moi ojcowie, oby ich pamięć nigdy nie zaginęła! nie mieli sobie za grzech przystosować tę ideę do swych niemych stworzeń. Przyjrzyj się tym tabliczkom!

Ben-Hur wziął obrączki do ręki i zobaczył na tabliczkach hieroglify arabskie, wypalone na gładkiej powierzchni ostrym końcem rozpalonego metalu.

— Czy możesz przeczytać te znaki, o synu Izraela?

— Nie. Musisz mię objaśnić, co one wyrażają.

— Trzeba ci wiedzieć, że każda z tych tabliczek nosi na sobie imię źrebięcia czystej krwi, które należało do moich przodków w czasie ubiegłych wieków, a także imiona rodziców tego zwierzęcia. Przejrzyj te daty, żebyś w nie uwierzył.

Niektóre z onych tabliczek były prawie do szczętu przetarte, a wszystkie zżółkły ze starości.

— Mogę ci to powiedzieć teraz, że mam w tej skrzynce zupełną historją; nazywam ją zupełną dlatego, że jest stwierdzona takiemi dokumentami, jakie rzadko historja posiada. Z tych danych dowiesz

się, z jakiego pnia pochodzą wszystkie te szybkonogie odrośle, tamta i ta oto, co cię tak prosi, żebyś na nią spojrzał. żebyś ją popieścił. Jak one przyszły tu do nas, tak ojcowie ich, nawet z najpierwotniejszych czasów, przybywały do przodków moich pod taki sam namiot, jak ten oto mój. jadły jęczmień z dłoni i rozmawiano z niemi, jak z dziećmi, za co one, jak dzieci, dziękowały spojrzeniem. Synu Izraela, wierz memu zapewnieniu, że jak jam panem pustyni, tak to są moi ministrowie. Odbierz mi je, a będę jako chory człowiek, którego porzucono na rozdrożu, żeby umarł. Im to zawdzięczam, że pomimo podeszłego wieku, nie przestaję być postrachem na drogach pomiędzy miastami i póty nim będę, dopóki zdołam dosiadać me arabczyki. Ha! ha! ha! Mógłbym ci opowiedzieć cuda, jakich dokonywali ich przodkowie! Może upatrzę na to kiedy chwilę czasu. Teraz powiem ci tyle tylko, że ich jeszcze żaden koń nie prześcignął i, na miecz Salomona, żaden nie dosiągł ich w pogoni. Prawda, że to było na piasku pustyni i pod siodłem, ale teraz nie wiem, lękam się o nie... Mają biegać pierwszy raz w jarzmie..... Powodzenie jest ujęte pewnemi warunkami. Mają one ambicją, rączość i wytrwałość... Jeżeli znajdę zręcznego woźnicę, to odniosą zwycięztwo. Synu Izraela! jeśli ty odpowiesz moim oczekiwaniom, to przysięgam, że szczęśliwy będzie ten dzień, który cię tu sprowadził... Teraz ty mi powiedz co o sobie.

— Zrozumiałem już, dlaczego arab stawia konia zaraz po swych dzieciach; zrozumiałem także, dlaczego konie arabskie są najlepsze w świecie. Zacny szeiku, nie chciałbym, żebyś mię sądził z samych tylko słów, bo, jak ci wiadomo, obietnice ludzkie nie zawsze się spełniają. Pragnąłbym ci dać dowód mej umiejętności, powierz mi więc jutro swoją czwórkę.

Ilderimowi rozjaśniła się znowu twarz i chciał coś powiedzieć.

— Zaczekaj, czcigodny szeiku, daj mi dokończyć!—rzekł Ben-Hur.—Nauczyłem się wiele od mistrzów mych w Rzymie, alem się nie spodziewał, że mi się to przyda w takiej oto okoliczności. Chociaż ci twoi synowie pustyni, każdy zosobna mają szybki lot orła i wytrzymałość lwa, mogą zawieść twe nadzieje, jeśli się ich nie nauczy biegać razem w uprzęży. Bo miej to na uwadze, szeiku, że w każdej czwórce jeden koń musi być najpowolniejszy, inny znów najszybszy; ztąd jeden rwie się naprzód, drugi się ociąga. Tak samo dziś było. Woźnica nie mógł ich doprowadzić do równowagi z najmniej bystrym. Moja próba może nie odnieść lepszego skutku; ale nie ukryję tego przed tobą, przysięgam ci. Jeżeli zaś opanuję twe konie i będą biegać we cztery, jak jeden, otrzymasz sestersy i wieńce, a mnie zemsta moja wystarczy. Cóż ty na to?

Ilderim słuchał, rozczesując sobie wciąż brodę. W końcu rzekł ze śmiechem:

— Ja lepiej o tobie trzymam, synu Izraela.

Mamy na pustyni takie przysłowie: Jeśli chcesz ugotować wieczerzę słowami, obiecuję ci ocean masła! Dam ci konie jutro rano.

W tej chwili dał się słyszeć ruch u wejścia do namiotu.

— Wieczerza gotowa, — powiedział Ilderim — a tam oto nadchodzi przyjaciel mój Baltazar... zapoznam cię z nim... Wie on rzeczy, których izraelita nie może się nigdy dosyć nasłuchać. Zabierzcie te regestra i poprowadźcie moje klejnoty do ich przegrody,—dorzucił starzec, podnosząc się z miejsca.

Rozkazy jego zostały spełnione.

Jeśli czytelnik przypomni sobie teraz posiłek mędrców, przyjęty niegdyś na pustyni, to zrozumie też przygotowania do wieczerzy w namiocie Ilderima. Ta tylko różnica zachodziła, żeby był większy dostatek i lepsza obsługa.

Na dywanie przed sofą rozesłano 3 maty i postawiono stolik na stopę wysoki i obrusem przykryty. Nieopodal stał przenośny gliniany piec, a niewiasta piekła w nim dla gości chleb czyli raczej ciasto. W sąsiednim namiocie słychać było zgrzyt żarn ręcznych, które dostarczały mąki.

Baltazara poprowadzono tymczasem do sofy, gdzie Ibrahim i Ben-Hur oczekiwali go stojący. Miał on na sobie fałdzistą czarną szatę, kroki jego były chwiejne, ruchy powolne i ostrożne. Jedną ręką był wsparty na kiju, drugą na ramieniu sługi.

— Pokój z tobą, przyjacielu — rzekł Ilderim

z głębokim szacunkiem — pokój z tobą. Bądź pozdrowion!

Egipcjanin podniósł głowę i odpowiedział: I z tobą także, czcigodny szeiku, z tobą i z twoimi, pokój i błogosławieństwo jedynego Boga, Boga prawdziwego i miłosiernego.

Słodkie i poważne obejście przybyłego przejęło Ben-Hura czcią. Błogosławieństwo zawarte w pozdrowieniu dotyczyło się też i jego, gdyż mówiąc te słowa, sędziwy gość wpił w młodego izraelitę swe zapadłe lecz błyszczące oczy. Pod wpływem tego spojrzenia opanowało Judę wrażenie nowe, tajemnicze i tak potężne, że podczas wieczerzy usiłował raz poraz zbadać pomarszczoną i bezkrwistą twarz Baltazara, ale wyraz jej był wciąż nieprzenikniony, spokojny i ufny jak u dziecięcia. Po niejakiej chwili przekonał się, że to zwykła fizjonomja mędrca.

— Oto ten, Baltazarze, który z nami przełamie dzisiejszego wieczoru chleb—powiedział szeik, kładąc rękę na ramieniu Ben-Hura.

Egipcjanin spojrzał na młodziana i zdawał się jakiś zdziwiony i niepewny. Widząc to, szeik mówił dalej: Obiecałem dać mu konie jutro na próbę; jeśli mu się próba powiedzie, tu wystąpi z niemi na arenie cyrkowej.

Baltazar wpatrywał się ciągle.

— Przybył z dobremi poleceniami— ciągnął Ilderim bardzo pomięszany.—Możeś o nim słyszał, to syn Arrjusza, który był znakomitym rzymskim że-

glarzem, chociaż...—umilkł; ale po chwili rzekł znowu ze śmiechem:—Chociaż on sam podaje się za izraelitę z pokolenia Judy, i na chwałę Boga przysiągłbym, że prawdę mówi.

— Baltazar pomiarkował, że się już musi wytłómaczyć.

— Dziś, — rzekł,—o najczcigodniejszy szeiku, życie moje było w niebezpieczeństwie i byłbym je postradał, gdyby nie jakiś młodzieniec, żywy wizerunek tego oto, jeśli—to nie jest ten sam — obronił mię od śmierci, kiedy wszyscy inni pouciekali. Czy to nie ty byłeś? zapytał on wprost Ben-Hura.

Jestem tym samym, który poskromił konie zuchwałego rzymianina, gdy się rzuciły na twego wielbłąda przy źródle kastalskiem, — odrzekł skromnie młodzian i dorzucił; Córka twoja dała mi na pamiątkę ten oto kubek.

Wyjął z zanadrza tuniki kubek i podał go Baltazarowi.

Promień radości oblał zwiędłą twarz egipcjanina.

Pan zesłał mi ciebie dzisiaj przy źródle,—rzekł drżącym głosem, wyciągając rękę do Ben-Hura,— i teraz oto znowu zsyła mi ciebie. Składam Mu za to dzięki i sławię dobroć Jego, gdyż mogę cię wynagrodzić sowicie i uczynię to. Kubek ten do ciebie należy—zatrzymaj go.

Ben-Hur wziął swój podarek, a Baltazar widząc pytający wyraz twarzy Ilderima, opowiedział zdarzenie przy źródle.

Jakto! odezwał się szeik do Ben-Hura, —niceś mi o tem nie wspominał, chociaż nie mógłbyś dać lepszego świadectwa o sobie. Alboż nie jestem arabem i szeikiem mego pokolenia, co się składa z dziesiątków tysięcy? Czy on nie jest moim gościem? Czy to nie jest obowiązkiem gospodarza dzielić z gościem zło i dobro? Od kogoż możesz się spodziewać nagrody, jeżeli nie odemnie? Czyja ręka mogła ci ją doręczyć, jeśli nie moja?

Głos jego w końcu stał się ostry, krzykliwy.

— Dobry szeiku, jam nie przyszedł po nagrodę: żadnej nie chcę—ani wielkiej, ani małej. Żebyś mi nie przypisywał chęci zysku, powiem ci, że byłbym oddał tę samą przysługę ostatniemu z twoich sług.

Ależ on jest przyjacielem moim, gościem, nie sługą. Czy nie widzisz w tem szczególnej łaski losów? Ach, na chwałę Boga,—rzekł do Baltazara,—powtarzam ci—on nie jest rzymianinem!

Odwrócił się i przyglądał służbie, która kończyła przygotowania do uczty.

Jeśli czytelnik zachował w pamięci to, co Baltazar opowiadał o sobie przy pierwszem spotkaniu na pustyni, to łatwo zrozumie, jakie wrażenie na nim uczyniła bezinteresowność Ben-Hura. Należy pamiętać, że egipcjanin, w poświęceniu się dla ludzi, nie robił pomiędzy nimi różnicy; przyobiecane mu bowiem zbawienie w nagrodę,—zbawienie, na które cze-

kał—miało być powszechne. Dla niego więc bezinteresowność ta brzmiała niby echo jego własnych przekonań. Zbliżył się o krok do Ben-Hura i rzekł w swej zdziecinniałej mowie.

Jak cię kazał nazywać szeik? Zdaje mi się, że to było jakieś rzymskie imię.

— Arrjusz, syn Arrjusza.

— A jednak nie jesteś rzymianinem?

— Wszyscy moi krewni byli żydami.

— Byli—mówisz? Czy już nie żyją?

Pytanie to było drażliwe, chociaż bardzo proste; ale Ilderim oszczędził młodzieńcowi odpowiedzi na nie.

Chodźcie,—rzekł do nich—wieczerza już gotowa.

Ben-Hur podał ramię Baltazarowi i poprowadził go do stołu, dokoła którego niebawem zasiedli na matach, wschodnim sposobem. Niewolnicy przynieśli wodę i ręczniki. Po obmyciu rąk, szeik dał znak, służba stanęła w cichości, a egipcjanin podniósł głos, drżący ze świątobliwego wzruszenia,

Ojcze wszystkich—Boże! rzekł,—wszystko, co mamy, od ciebie pochodzi; przyjmij od nas dzięki i pobłogosław nam, żebyśmy mogli spełniać dalej Twą wolę!

Była-to modlitwa, którą niegdyś czcigodny ten mąż odmówił na pustyni jednocześnie ze swymi towarzyszami: Gasparem grekiem i Melchiorem Hindusem. Każdy z nich odmówił ją wtedy w swoim

języku, a jednak zrozumieli się; byłoto dla nich cudem, świadczącym o obecności Boga przy uczcie.

Zasiedli wreszcie do stołu, jak się łatwo domyśleć, suto zastawionego; były tam różne przysmaki wschodnie: ciastka gorące prosto z pieca, jarzyny z ogrodów, mięsiwa same lub z przyprawą z jarzyn, mleko, miód i masło,—a wszystko to jedli i pili bez nowożytnych przyrządów: łyżek, widelcy, noży, kubków i talerzy. Byli bardzo głodni, więc mało rozmawiali. Dopiero przy wetach rozwiązały im się usta. Obmyli znowu ręce, zdjęto obrusy, nakryto świeżo stół, głód ich był już zaspokojony, więc gotowi byli i słuchać i mówić.

W towarzystwie takiem: arab, żyd i egipcjanin, wyznawców jedynego Boga, mógł być w owej epoce tylko jeden przedmiot rozmowy; a któryż z nich 3-ch miał zabrać głos, jeśli nie ten, któremu Bóg ukazał się zblizka, który go widział w gwieździe, słyszał Jego głos, przez ducha Jego poprowadzony został tak daleko i tak cudownym sposobem. I o czem miał mówić, jeśli nie o tem, czego świadectwo miał dać światu całemu?

ROZDZIAŁ XX.

O zachodzie słońca góry tak szybko rzucają cienie na Gaj Palmowy, że nie istnieje tam owa błoga chwila zmroku, który pokrywa fioletem niebo i drzemiącą ziemię. Noc nastąpiła wcześnie i nagle. Służba postawiła w 4-ch rogach stołu 4 świeczniki mosiężne. Każdy świecznik miał 4 ramiona, a na każdem z ramion świeciła się lampa srebra. Nie zapomniano też o czarce z oliwą zapasową. Przy tem jasnem a nawet olśniewającem świetle grono biesiadników jadło owoce, rozmawiając w narzeczu syryjskiem, rozpowszechnionem podówczas u wszystkich narodów owej strony świata.

Egipcjanin opowiadał o spotkaniu się 3-ch mędrców na pustyni i zgodnie z szeikiem twierdził, że miało ono miejsce w grudniu, przed 27 laty, kiedy on i towarzysze jego, uciekając przed Herodem, przybyli do namiotu, z prożbą o przytułek. Opowieści jego słuchano z natężoną uwagą; nawet służba zwlekała z odejściem, żeby nie stracić ani jednego szczegółu. Ben-Hur przyjmował ją do duszy jako objawienie najwyższej wagi dla całego rodu ludzkiego, a w szczególności dla izraelitów. W umyśle jego krystalizowała się idea, która miała zmienić bieg jego życia, jeśli nie pochłonąć je w zupełności.

W miarę opowiadania Baltazar sprawiał coraz silniejsze wrażenie na młodym żydzie. Tak był wzruszony, że Juda nie mógł wątpić o prawdziwości jego słów i pragnął tylko dowiedzieć się następstw tego cudownego wypadku.

Czytelnik zapewnie spodziewa się także objaśnienia w tym względzie.

Opowieść nasza rozpoczyna się w chwili, kiedy zaczął występować publicznie syn Marji. Widzieliśmy go raz tylko od czasu, kiedy tenże sam Baltazar oddał Mu hołd, spoczywającemu na łonie Matki w pieczarze Betleemskiej. Odtąd cudowne Dzieciątko będzie wciąż przedmiotem niniejszego opowiadania. Zwolna lecz stale prowadzić nas będzie bieg wypadków coraz bliżej a bliżej i nareszcie poznamy w Dzieciątku tem zbawiciela świata.

Dla Ilderima szeika dzieje te nie były nowe. Słyszał je od 3-ch mędrców, w okolicznościach niedopuszczających wątpienia i pomógł nawet zbiegom ukryć się przed gniewem Heroda, chociaż było to niebezpiecznem dla niego. Teraz jeden z owych 3-ch mężów siedział u jego stołu, jako pożądany gość i szanowany przyjaciel. Szeik Ilderim wierzył niezachwianie słowom czcigodnego pielgrzyma, ale wynikało to z natury rzeczy, że główny przedmiot opowiadania miał dla niego, jako araba, mniejszą doniosłość, aniżeli dla Ben-Hura, izraelity i żyda.

Od kolebki słyszał on o Mesjaszu; w kolegjach dowiedział się wszystkiego, co było wiadome o tym

mężu, który był nadzieją, grozą i osobliwszą chwałą wybranego ludu. Wszyscy prorocy, od pierwszego do ostatniego, przepowiadali Jego przyjście. W synagogach, szkołach, w świątyni—tak w dni wesela jak w dni żałoby, publicznie i prywatnie—roztrząsali jego nadejście uczeni doktorowie i rabinowie, tak, że wszystkie dzieci Abrahama oczekiwały Mesjasza i odpowiednio do tego urządzały swe życie.

Łatwo się domyśleć, że nawet pomiędzy samymi żydami były rozmaite sposoby zapatrywania się, ale tylko co do epoki narodzenia się Mesjasza; o tem bowiem nie wątpili, że gdy nadejdzie, to nie inaczej, lecz jako król żydów, ich król polityczny, ich cezar. Przez Izrael miał On zdobyć świat, a następnie ku jego pożytkowi i korzyści—w Imię Boga zapanować nad światem nazawsze. Na tej to wierze, Faryzeusze i Separatyści—ci ostatni byli tylko politycznem wyrażeniem,—w klasztorach i dokoła ołtarzy w świątyni, budowali gmach nadziei, którego nie mogły dosięgnąć nawet najśmielsze marzenia macedończyka. Jego celem była ziemia,—oni zaś pragnęli posiąść nietylko ziemię, ale zawładnąć też i niebem. Według ich zuchwałej, wybujałej fantazji oraz bluźnierczego samolubstwa, Bóg wszechmogący miał cierpieć dla ich dobra i—z króla stać się na wieki ich sługą.

Co do Ben-Hura, dwie okoliczności uczyniły go do pewnego stopnia wolnym od wpływu i ważnych następstw śmiałej wiary jego ziomków — separatystów.

Popierwsze, ojciec jego należał do sekty saduceuszów, wolnomyślicieli owej epoki, którzy mieli w głębi duszy niewyraźne pojęcia. Byli oni wiernymi tłómaczami pisma ś-go, ściśle trzymali się praw spisanych w księgach Mojżesza, ale odrzucali ze wzgardą komentarze rabinów. Niezaprzeczenie stanowili sektę, lecz religja ich była raczej filozofją, aniżeli wiarą. Nie odmawiali sobie rozkoszy życiowych i przyznawali wysoką wartość niektórym metodom i dziełom pogan. W polityce byli zawziętymi wrogami separatystów. Z porządku rzeczy wypływało, że te okoliczności, warunki, przekonania i właściwości charakteru musiały przejść z ojca na syna, tak samo jak inne posiadłości. Jakeśmy widzieli, Ben-Hur, miał je właśnie przyjąć, kiedy go ocalił drugi wypadek życia.

Jaki wpływ wywarł na młodzieńcu z usposobieniem i temperamentem Ben-Hura 5-cioletni pobyt w Rzymie, łatwo odgadnie czytelnik, gdy sobie przypomni, że ten wielki gród był podówczas dla wszystkich narodów punktem zbornym politycznym i handlowym, a zarazem źródłem rozkoszy wyuzdanej. Dokoła złotego drogowskazu przed forum, dziś pogrążonem w ciemnościach lecz wtedy pełnem niezrównanego blasku, przepływały wciąż fale ludowe. Chociaż wykwintne obejście, rozwój umysłowy i sława rzymian nie uczyniły na Ben-Hurze silnego wrażenia, byłoto niemozliwe, żeby on, syn Arrjusza, przez tak długi czas przechodząc z pięknej willi nieopodal

liceum do pałacu Cezara, nie widział, jak królowie, książęta, ambasadorowie, i posłowie wszystkich narodów czekali pokornie na „tak“ lub „nie“ z ust imperatora. Nic się nie mogło równać ze zgromadzeniami w Jerozolimie podczas świąt paschy, jednakże,gdy Ben-Hur siedział pod purpurowem *velarium* w cyrku Maximusa, w tłumie 350,000 widzów, musiała mu się nasuwać myśl, czy ci liczni członkowie rodu ludzkiego, co przyszli tu ze wszystkich stron świata, nie są godni miłosierdzia Bożego? Wprawdzie nie byli oni żydami, ale czy przez cierpienia, i, co gorsza, przez brak nadziei w cierpieniach, nie zasłużyli na zbawienie, przyobiecane izraelitom?

W podobnych okolicznościach myśli takie były naturalne, można je więc odtworzyć; ale po chwili rozwagi musiała go uderzyć pewna różnica. Ucisk tego tłumu i położenie rozpaczliwe nie miały żadnego związku z religją. Szemrania i jęki mas nie zwracały się przeciw bogom, ani były żalem, że im brak bóstw. W dębowych lasach Brytanji druidzi zgromadzali się: Odin i Freja odbierali cześć w Galji, Germanji i pośród hyperborejczyków; Egipt chętnie poprzestawał na krokodylach i Anubisie; Persowie hołdowali jeszcze na równi Ormudowi i Arymanowi; Hindusi, w nadziei Nirwany, cierpliwie przechadzali się po ciemnych drogach Brahmy; piękny umysł grecki, w przerwach w filozofowaniu, opiewał jeszcze bohaterskich bogów Homera; w Rzymie bowiem nie było nic tak pospolitego i taniego,

jak bóstwa. Zależnie od fantazji, panowie świata, dlatego, że byli panami świata, składali cześć i ofjary coraz na innym ołtarzu, ciesząc się zbudowanem pandemonium. Ich niezadowolenie, jeśli byli z czego niezadowoleni, pochodziło z wielkiej ilości bogów. Przyswoiwszy sobie wszystkie bóstwa z całego świata, zaczęli ubóstwiać swoich cezarów; poświęcali im ołtarze i oddawali cześć. Nie, przyczyną ich nieszczęśliwego położenia nie była religja, lecz złe rządy, nadużycia i tyranja. Ludzie Avernusa domagali się wydobycia z politycznego ucisku. W Lodinum Aleksandrji, Atenach, Jerozolimie, wołano o króla, któryby wyzwolił lud, nie o Boga, któregoby ten lud mógł czcić.

Rozważając ów stan rzeczy po upływie 2-ch tysięcy lat, możemy widzieć i twierdzić, że jedynym ratunkiem w tem zamieszaniu był jakiś Bóg, któryby dowiódł, że jest prawdziwym Bogiem, wyższym nad wszystkich innych; ale ludzie ówcześni, nawet rozsądni i z filozoficznego punktu patrzący na rzeczy, pokładali całą nadzieję w upadku Rzymu. Zdawało im się, że gdy Rzym zostanie obalony, to wszystkie złe stosunki ulegną przekształceniu; modlili się więc, spiskowali, buntowali się, walczyli i umierali, skrapiając ziemię dziś krwią, jutro łzami,—a zawsze z jednym skutkiem.

Pozostaje nam dodać, że Ben-Hur także widział jedyny ratunek w upadku wroga. Podczas 5-cioletniego pobytu w stolicy miał on sposobność przyj-

rzeć się uciemiężeniu ludu zawojowanego. Będąc przekonany, że ucisk ten pochodzi z przyczyn politycznych, i że tylko mieczem można mu położyć kres, postanowił przygotowywać się do onej chwili, kiedy środki heroiczne staną się potrzebne. W użyciu broni był już mistrzem, ale wiedział, że wojna jest wyższą sztuką i że kto ją chce posiąść, ten musi coś więcej umieć, aniżeli zasłaniać się puklerzem i uderzać mieczem; wiedział, że na polu bitwy dowódzca ma sposobność wykazać swe zdolności, których głównym celem jest całą narzucać swą wolę tysiącom ludzi. Dobry wódz jest wojownikiem uzbrojonym w całe wojsko. Z tejto pobudki jakoteż w nadziei pomszczenia na rzymianach krzywdy własnej i ukochanej rodziny, postanowił Ben-Hur przyłączyć się do wyprawy Maxenciusza przeciwko portom.

Myśl ta weszła w plan jego życia i spotęgowała ją jeszcze rozwaga, która mówiła, iż zemstę, o której marzył, powodowaną w części osobistemi krzywdami, z większą pewnością wywrze w czasie wojny niż w czasie spokoju.

Łatwo teraz zrozumieć uczucia Ben-Hura podczas opowiadania Baltazara, dotknęła ona bowiem 2-ch najdrażliwszych punktów jego istoty. Serce biło mu żywo; zwłaszcza, gdy powiedział sobie, że ta opowieść musi być prawdziwą w najdrobniejszych szczegółach i że owe Dzieciątko, cudownym sposobem znalezione, jest właśnie Mesjaszem. Bardzo był zdziwiony, że Izrael natyle obo-

jętnie zachowuje się względem tego objawienia i że dotąd nie słyszał nic o niem. Dwa pytania nasunęły się jego umysłowi, skupiające w sobie wszystko, czego pragnął dowiedzieć się w onej chwili.

Gdzie jest Dzieciątko?

Jaka jego misja?

Zwrócił się do Baltazara z prożbą o objaśnienie.

— Ach, czemuż nie mogę ci odpowiedzieć—odrzekł Baltazar uroczyście a spokojnie—gdybym wiedział, gdzie się znajduje, jakżebym spieszył do Niego! Nicby mię nie wstrzymało, ani morza ani góry.

— Więceś już probował Je odszukać? zapytał Ben-Hur.

Uśmiech przebiegł po licu egipcjanina.

— Zaraz po opuszczeniu schronienia w pustyni,—tu Baltazar rzucił wdzięczne spojrzenie na Ilderima,—usiłowałem dowiedzieć się, co się stało z Dzieciątkiem. Ale rok minął, a jam nie śmiał udać się osobiście do Judei, gdyż krwiożerczy Herod wciąż siedział jeszcze na tronie. W Egipcie, po powrocie moim, zaledwie kilku przyjaciół uwierzyło cudownym rzeczom, które widziałem i słyszałem; kilku tylko radowało się ze mną, że się odkupiciel narodził; kilku zaledwie nie mogło się nigdy dosyć nasłuchać tej opowieści. Niektórzy zastąpili mnie w poszukiwaniu Dzieciątka, udali się oni przedewszystkiem do Betleem, gdzie znaleźli khan i pieczarę, ale strażnika, co siedział u bramy w ową noc Narodzenia, w ową noc, kiedy mu się ukazała gwiazda, nie zastali już.

Król go zawezwał i więcej nie widziały go oczy ludzkie.

— Ale musieli natrafić na jakie ślady? - zapytał Ben-Hur skwapliwie.

— Tak, były to ślady krwawe,—cała wieś pogrążona w żałobie, matki opłakujące swe niemowlęta. Musisz wiedzieć o tem, że gdy Herod posłyszał o naszej ucieczce, kazał wyrznąć wszystkie nowonarodzone dzieci w Betleem. Ani jedno nie ocalało. Moi przyjaciele wrócili utwierdzeni w wierze, ale przynieśli mi wiadomość, że Dzieciątko nie żyje, gdyż zgładzone zostało ze świata wraz z innemi.

— Nie żyje!—wykrzyknął Ben-Hur z przerażeniem.—Powiadasz, że nie żyje?

— Nie, mój synu, nie mówię tego. Powiedziałem tylko, że ci moi przyjaciele przynieśli mi wieść, jakoby Ono zginęło. Jam nie uwierzył jednak tej wieści i dotąd jeszcze nie wierzę.

— Więceś otrzymał jakieś dokładniejsze wiadomości?

— Nie, mój synu, nie to,—rzekł Baltazar spuszczając oczy.—Duch Boży towarzyszył nam tylko do Dzieciątka. Gdyśmy wyszli z pieczary, po złożeniu darów i hołdu, przedewszystkiem szukaliśmy gwiazdy; ale jej już nie było. Zrozumieliśmy wtedy, żeśmy sobie samym pozostawieni. Ostatnie natchnienie Ducha Bożego,—ostatnie, jakie sobie mogę przypomnieć, było to, pod wpływem którego poszliśmy prosić Ilderima o schronienie:

— Tak — odezwał się szeik, nerwowo szarpiąc brodę,—mówiłeś mi, że cię przysłał Duch, przypominam to sobie.

— Nie odebrałem dokładniejszej wiadomości,— ciągnął Baltazar zauważywszy nagłe zgnębienie w Ben-Hurze,—ale, synu mój, myślałem dużo o tym przedmiocie, myślałem lata całe, natchniony wiarą, która, zapewniam cię świadcząc się Bogiem, jest we mnie tak silną teraz, jak w onej godzinie, kiedym usłyszał głos Ducha Bożego, który mię powołał na brzeg jeziora. Jeśli chcesz słuchać, to ci powiem, dlaczego wierzę, iż Dzieciątko żyje.

Ilderim i Ben-Hur skupili całą uwagę, żeby zrozumieć wszystko, co usłyszą. Nawet służba zbliżyła się do sofy i słuchała w milczeniu. W całym namiocie zapanowała cisza głęboka.

— My trzej wierzymy w Boga.

Baltazar pochylił głowę, mówiąc:

— I jest On prawdą—mówił dalej.— Jego słowo, to Bóg. Góry mogą się rozpaść w pył, morza mogą być wysuszone przez wiatry południowe, ale słowo Jego ostanie się, albowiem On jest prawdą.

Mowa egipcjanina była szczególnie uroczysta.

— Głos Jego rzekł do mnie nad jeziorem... — Błogosławionyś, synu Mizraima, zbawienie zbliża się! Wraz z dwoma innymi, z najdalszych krańców ziemi, zobaczysz Zbawiciela! I widziałem Zbawiciela,— niechaj błogosławione będzie imię Jego! ale odkupienie, które stanowiło drugą część przyrzeczenia,

jeszcze nie nastąpiło. Rozumiesz teraz? Gdyby Dziecię zginęło, nie byłoby komu odkupić ludzkość. Słowo Jego obróciłoby się w niwecz, a Bóg,—nie śmiem tego wymówić...

Wzniósł do góry ręce z oburzeniem.

— Odkupienie było dziełem, dla którego Dziecię się narodziło i dopóki obietnica nie zostanie cofniętą, nawet śmierć nie może przeszkodzić jego spełnieniu. Uważajcie ten pewnik za jedną z przyczyn mej wiary i słuchajcie mię dalej.

Umilkł na chwilę.

— Czy nie chcesz skosztować wina? Masz pod ręką, patrz—powiedział Ilderim z poszanowaniem.

Baltazar napił się i widocznie pokrzepiony, ciągnął dalej:

— Zbawca, którego widziałem, był zrodzony z niewiasty, z naturą podobną do naszej i podlegającą wszystkim naszym przypadłościom, nawet śmierci. Rozważmy teraz Jego dzieło. Mógł je spełnić tylko mąż dojrzały, roztropny, stanowczy, oględny, słowem,—nie dzieciak lecz mężczyzna. Ażeby się stać takim, musiałby rość tak samo, jak my rośniemy. Pomyślcie teraz, na jakie niebezpieczeństwa było narażone jego życie w długim przeciągu czasu pomiędzy dzieciństwem a wiekiem dojrzałym. Władze panujące były mu wrogami; Herod był jego nieprzyjacielem; a czemże był Rzym? Co się tyczy Izraela—to, że nie został przezeń poznany, pozostawiło go na uboczu. Rozumiecie teraz? Jakiż był lepszy

sposób czuwania nad jego życiem, w czasie, kiedy był jeszcze pacholęciem rosnącem,—jak trzymać go w ukryciu? Dlatego mówię sobie i podtrzymuję tem wiarę niezachwianą: On nie umarł, tylko żyje w ustroniu, ażeby w oznaczonym czasie ukazać się i dzieło swoje spełnić. Oto macie przyczynę mej wiary. Czy dostateczna?

W małych arabskich oczach Ilderima widać było zrozumienie. Ben-Hur, który się otrząsnął z pognębienia, rzekł serdecznie:

— Co do mnie, nie ośmieliłbym się wątpić. Cóż więcej, mów, proszę cię.

— Czy ci jeszcze nie dosyć, mój synu? Otóż, —rzekł spokojniejszym głosem - widząc, że przyczyny moje są słuszne, czyli widząc, że wolą Boga było, iżby Dziecięcia nie znaleziono, postanowiłem być cierpliwym i czekać. — Podniósł oczy, pełen świątobliwej ufności i powtórzył z roztargnieniem: — Czekam teraz. Dzieciątko żyje, zachowując swą wielką tajemnicę. Czemuż nie mogę pospieszyć do Niego, albo nazwać góry lub doliny, w której się ukrywa? Ono żyje, jako owoc w kwiecie, albo może jako owoc dojrzewający. Z pewności obietnicy Bożej i na jej podstawie, wnoszę, że Dziecię żyje.

Obawy pełne czci opanowało Ben-Hura, a w uczuciu tem zagasła ostatnia iskra nawpół dojrzałej wątpliwości.

— Jak myślisz, gdzie Ono może się znajdować?

—zapytał cichym i niepewnym głosem, jak człowiek mający na ustach pieczęć świętej tajemnicy.

Baltazar spojrzał na niego życzliwie i odpowiedział jeszcze pod wpływem roztargnienia:

— W moim domu nad Nilem, tak blizkim rzeki, że przejeżdżający czółnami widzą i sam dom i zarazem jego odbicie w wodzie, kilka tygodni temu, siedziałem zamyślony. Trzydziestoletni człowiek, mówiłem sobie, powinien mieć niwę swego życia uprawioną i starannie zasianą, bo zaraz nastąpi pora letnia, tak krótka, że siejba jego ma zaledwie czas dojrzeć. Dziecię, mówiłem sobie dalej, ma teraz 27 lat, czas siejby musi nadchodzić. Zapytywałem siebie, tak jak ty zapytałeś mię, mój synu,—i odpowiedziałem przybyciem tutaj, jako do dobrego miejsca spoczynku, w pobliżu kraju, który ojcowie twoi dostali od Boga. Gdzieżby się on Zbawca mógł ukazać, jak nie w Judei? W którem mieście zacząłby swe dzieło, jeśli nie w Jerozolimie? Któżby pierwszy miał przyjąć błogosławieństwo, jakie przyniesie z sobą, jeśli nie dzieci Abrahama, Izaaka, Jakóba, ukochane dzieci Pana? Gdybym Go mógł szukać, to chodziłbym po siołach, wioskach, po szczytach gór Judei i Galilei, spuszczających się na wschód do doliny Jordanu. On tam jest teraz. Stojąc we drzwiach lub na wierzchołku wzgórza, dopiero dziś wieczór zobaczył słońce, co zaszło o jeden dzień bliżej tego czasu, kiedy sam ma stać się światłem świata.

Baltazar umilkł i wzniósł rękę, wskazując pal-

cem jakby na Judeę. Wszyscy słuchacze, nawet milczący niewolnicy, stojący nieopodal sofy, przejęci jego zapałem, byli pod takiem wrażeniem, jakby majestat jakiś pojawił się nagle w namiocie. Wrażenie to nie ustało odrazu; grono, otaczające stół, siedziało chwilę w milczeniu. Nakoniec Ben-Hur przerwał tę uroczystą ciszę.

— Widzę, czcigodny Baltazarze, — odezwał on się,—żeś doznał wielu szczególnych łask; widzę także, iż prawdziwy z ciebie mędrzec. Jak dalece wdzięczny ci jestem za to wszystko, com od ciebie usłyszał, nie zdołam wypowiedzieć. Jestem przygotowany na ważne wypadki, i wiara twoja udzieliła mi się do pewnego stopnia. Powiedz mi jeszcze co więcej o misji Tego, którego oczekujesz i na którego ja także będę czekał dzisiejszej nocy, jak przystoi na wierzącego syna Judy. On będzie zbawcą, powiadasz, więc nie ma być królem żydowskim?

— Synu mój, — rzecze Baltazar dobrotliwie, — misja Jego jest dotąd tylko Bogu jednemu wiadoma. Wszystko, co o tem myślę, czerpię ze słów Jego i z modlitwy, na którą słowa te były odpowiedzią. Czy chcesz je rozważyć?

— Tyś mistrzem.

— Przyczyną tego niepokoju, który mię uczynił nauczycielem w Aleksandrji i w wioskach nadnilowych—rzekł Baltazar ze zwykłą powagą — przyczyną, która mię zawiodła na pustynię, gdzie mię Duch Boży znalazł, był upadek człowieka, spowodo-

wany, jak sądzę, zapomnieniem o Bogu. Bolałem nad ciepieniami moich bliźnich, nie jednej klasy, lecz całej ludzkości. Upadli oni tak nizko, że zdawało mi się, iż niema dla nich zbawienia,—chyba sam Bóg zechce spełnić to dzieło. Błagałem, żeby przyszedł i żebym Go mógł zobaczyć. Twoje dobre uczynki zwyciężyły. Odkupienie nadchodzi. Zobaczysz zbawiciela,—tak mówił głos,—a ja radośnie podążyłem do Jerozolimy z odpowiedzią. Otóż dla kogo ma być to odkupienie? Dla całego świata. A jak ma być dokonane? Wzmocnij swą wiarę, synu! Wiem, że ludzie mówią, iż nie będzie szczęścia, dopóki Rzym nie runie ze swych pagórków. To znaczy, że nędze naszej epoki nie mają źródła w zapomnieniu o Bogu lecz w złych rządach władzców. Czyż potrzeba tu dodać, że rządy ludzkie nigdy nie mają na względzie religji? Czy słyszałeś o wielu królach, którzy lepsi byli od swych poddanych? Nie! nie! Odkupienie nie może mieć politycznego celu, nie może mieć tego zadania, żeby obalić panów i władzców i po to tylko opróżnić ich miejsca, aby je inni dla swej korzyści zajęli. W takim razie mądrość Boska nie byłaby wyższą nad mądrość ludzką. Powiadam ci, chociaż słowa moje będą tylko jako ślepego do ślepego, że Ten, co ma nadejść, przyjdzie jako Odkupiciel dusz. Odkupienie znaczy, że Bóg znowu zamieszka na ziemi i że cnota panować będzie, żeby Mu pobyt umożliwić.

Na twarzy Ben-Hura odmalowała się rozczaro-

wanie; spuścił głowę na piersi i chociaż go nie przekonał egipcjanin, nie był w stanie prowadzić z nim w tej chwili sporu. Inaczej się rzecz miała z Ilderimem.

— Taki sąd nie ma żadnej podstawy!—zawołał on namiętnie.—Porządek świata jest ustalony i nie można go zmienić. W każdem społeczeństwie musi być naczelnik, posiadający władzę; bez tego wszelka reforma jest niemożliwą.

Baltazar przyjął ten zarzut z powagą.

— Mądrość twoja, czcigodny szeiku, jest z tego świata; a powinieneś pamiętać, że mamy być właśnie z praw tego świata wyzwoleni. Panować nad człowiekiem, jest dążeniem króla; dusze zbawiać—pragnieniem Boga.

Ilderim milczał, ale z niedowierzaniem potrząsał głową; Ben-Hur podjął się odpowiadać za niego.

— Ojcze, pozwól, żebym cię tak nazywał,—o kogo pytałeś u bram Jerozolimy?

Szeik rzucił nań wdzięczne spojrzenie.

— Miałem zapytywać ludzi: Gdzie się narodził król żydowski?—odpowiedział spokojnie Baltazar.

— I widziałeś go w pieczarze Betleemskiej?

— Widzieliśmy Go wszyscy trzej i złożyliśmy Mu hołd i dary — Melchior złoto, Gaspar kadzidło, a ja myrę.

— Gdy mówisz, ojcze, o samych wypadkach, słowa twe wzbudzają zupełne zaufanie, ale na wnioski twoje nie mogę się zgodzić. Nie rozumiem np.

jakiego to króla nad królami chcesz zrobić z tego Dziecka; nie umiem oddzielić władzcy od władzy i obowiązków z niej wypływających.

— Synu mój — rzecze Baltazar —człowiek zazwyczaj stara się widzieć dokładnie to tylko, co z przypadku znajduje się u jego stóp, a zaledwie pobieżnie spogląda na większe rzeczy, leżące dalej. Teraz widzisz tylko tytuł: *Król żydowski;* ale jeśli sięgniesz wzrokiem do kryjącej się za nim tajemnicy, to zniknie przeszkoda. Teraz słówko jeszcze o tytule. Twój Izrael widział lepsze czasy, czasy, w których Bóg nazywał twój lud ukochanym ludem swoim i przemawiał doń przez proroków. Otóż, jeśli w owe czasy przyobiecał mu Zbawiciela, którego widziałem, i powiedział, że będzie to *Król żydowski,* sposób Jego pojawienia się musi być zgodny z obietnicą, chociażby dlatego tylko, żeby słowo było dotrzymane. Rozumiesz teraz przyczynę mego zapytania u wrót miasta? Rozumiesz ją; więcej przeto nie potrzebuję nic dodać. Idę dalej. Może też myślisz i o dostojeństwie Dziecięcia? Jeśli tak, to zastanów się. Cóżto znaczyło być następcą Heroda? Według świata byłoby to zaszczytem, ale czyż Bóg nie mógł postawić swego ukochanego wyżej? Jeśli sądzisz, że Ojciec Wszechmocny potrzebował dlań tytułu i chciał go zapożyczyć od ludzi, czemuż mi nie rozkazał pytać u bram Jerozolimy o Cezara? O, jeśli chcesz pojąć istotę rzeczy, o której mówimy, to patrz wyżej, proszę cię! Pytaj raczej, nad czem będzie panował

Ten, którego oczekujemy. Albowiem powiadam ci, synu mój, jestto kluczem do tej tajemnicy, której nikt nie zdoła zrozumieć, jeśli nie ma do niej klucza.

Baltazar wzniósł oczy w górę ze czcią.

— Jest królestwo na ziemi, chociaż nie z tego świata: królestwo większe aniżeli ziemia, większe niż morza i ziemia razem wzięte, chociażby je młotem potłuczono i rozsypano jak najdrobniejszy pyłek ze złota. Istnienie jego jest tak rzeczywiste, jak rzeczywiście istnieją serca nasze, i wędrujemy przez nie od kolebki do grobu, nie widząc go. Żaden człowiek nie ujrzy tego królestwa, dopóki nie pozna wpierwej duszy własnej, bo nie jest dla niego, lecz dla jego duszy. A w królestwie tem będzie taka chwała, będzie szczęście tak nowe, niezrównane i tak ogromne, że wyobraźnia ludzka nie zdoła go pojąć.

— To, co mówisz, ojcze, jest dla mnie zagadką—powiedział Ben-Hur,—nie słyszałem nigdy o takiem królestwie.

— Ja także,—odezwał się Ilderim.

— A ja nie mogę powiedzieć nic więcej,—dodał Baltazar, pokornie spuszczając oczy. Jakie jest to królestwo, jakie jego przeznaczenie, w jaki sposób dostać się można do niego, nikt tego nie może wiedzieć, dopóki Dziecię nie nadejdzie i nie weźmie królestwa tego w posiadanie. Ono przyniesie klucz od niewidzialnych wrót i otworzy je dla swych wybranych. Znajdą się tam wszyscy, co Go kochają, bo tych tylko czeka zbawienie.

Nastąpiła długa cisza, którą Baltazar uznał za koniec rozmowy.

— Dobry szeiku,—rzekł swym spokojnym głosem,—jutro albo pojutrze udam się do miasta na jakiś czas, bo córka moja pragnie zobaczyć przygotowania do igrzysk. Później powiem ci dokładniej, kiedy puścimy się w drogę. Z tobą, mój synu, zobaczę się jeszcze. Życzę wam obu spokoju i dobrej nocy.

Wszyscy podnieśli się od stołu. Szeik i Ben-Hur pozostali, przyglądając się egipcjaninowi, dopóki go nie wyprowadzono z namiotu.

— Szeiku Ilderimie,—rzekł wtedy Ben-Hur,—dziwne rzeczy słyszałem dziś wieczór. Pozwól, żebym poszedł nad jezioro i rozmyślał nad niemi.

— Idź, ja tam nadejdę

Obaj umyli znowu ręce, poczem, na znak dany przez pana, niewolnik przyniósł obuwie Ben-Hurowi, który zaraz wyszedł.

ROZDZIAŁ XXI.

W pobliżu namiotu była kępka palm, które rzucały cień w połowie na wodę i w połowie na ziemię. W gałęziach słowik wabił do siebie słodką pieśnią. Ben-Hur stanął, żeby mu się przysłuchać. W innej chwili tony lubej ptaszyny porwałyby za sobą jego

myśl, ale opowieść egipcjanina była brzemieniem cudu, on zaś był robotnikiem, dźwigającym to brzemię i, jak inni wyrobnicy, nie był w stanie ocenić choćby najsłodszej muzyki, dopóki nie wypocznie duszą i ciałem.

Noc była cicha. Ani jedna fala nie uderzała o brzeg. Stare gwiazdy starego wschodu wypłynęły każda na swe zwykłe miejsce. Wszędzie było lato: na ziemi, na jeziorze, na niebie.

Ben-Hura wyobraźnia była rozgrzana, uczucia podniecone, wola nieustalona.

Zdawało mu się, że palmy, niebo, powietrze znajdują się w onej dalekiej południowej strefie, gdzie Baltazar schronił się przed ludźmi; jezioro o gładkiej powierzchni zdało mu się być ojcem-Nilem, nad brzegiem którego czcigodny ten mąż stojąc, modlił się, kiedy ukazał się przed nim Duch w pełnym blasku. Czy wszystkie te akcesorja cudu przyszły do Ben-Hura, czy też on został do nich przeniesiony? A może cud ponowił się, i to dla niego? Młodzian lękał się tego objawienia, a jednak pragnął go i oczekiwał. Kiedy nakoniec ochłonął z gorączki, kiedy przyszedł do siebie, mógł zebrać myśli.

Cele jego życia wiadome już są czytelnikowi. Rozważając je, ujrzał przed sobą przepaść, której nie mógł ani mostem pokryć, ani zapełnić,—przepaść tak szeroka, że drugi jej brzeg ukazywał mu się niewyraźnie. Gdy nakoniec, jako wyćwiczony żołnierz,

zostanie przywódzcą, do jakiego celu będzie dążył wszystkiemi siłami? Naturalnie nasunęła się jego myśli rewolucja; ale dzieje rewolucji są zawsze jednakie, i żeby do nich pociągnąć ludzi, trzeba przedewszystkiem mieć przyczynę lub pozór do zjednywania sobie stronników; następnie, trzeba mieć jakiś cel praktyczny. W ogóle dzielnie walczy ten, co ma krzywdy do pomszczenia; lecz dzielniej jeszcze, kto podżegany jeno krzywdą, ma wciąż na widoku pełen chwały rezultat,—rezultat, w którym może widzieć balsam na rany: nagrodę za męztwo, pamięć i wdzięczność w razie śmierci.

Ażeby ocenić doniosłość pobudki lub celu, Ben-Hur potrzebował poznać stronników, którychby mu wypadło porwać za sobą, gdy będzie gotów do działania.

Bardzo naturalnie, że zwróciłby się do ziomków swoich. Krzywdy Izraela były krzywdami każdego z synów Abrahama; a każda z tych krzywd była sprawą świętą, sprawą podżegającą do czynu.

Miał więc pobudkę, ale gdzież cel?

Godziny i dni poświęcał tej części swego planu, a konkluzją, zawsze jednakową, była niewyraźna, niepewna, ogólna idea wolności narodowej. Byłożto dostateczne? Nie mógł odpowiedzieć: „nie”, znaczyłoby to bowiem pożegnać się z nadzieją; lękał się też powiedzieć, „tak”, gdyż rozum wskazywał mu, że jest ponad tem coś lepszego. Nie miał nawet pewności, czyby Izrael zdołał zwalczyć, o własnej sile,

Rzym. Znał on potęgę tego groźnego przeciwnika; wiedział, że spryt przewyższa w nim jeszcze środki działania. Powszechne zjednoczenie podobałoby mu się, lecz niestety! jak długo i w jakiej mierze mogłoby trwać? Chybaby jakiś bohater powstał wśród cierpiących narodów i na polu bitwy pozyskał rozgłos, któryby się rozległ po całej ziemi. Jakażbyto była chwała dla Judei, być Macedonją dla tego nowego Aleksandra! Niestety, pod rządami rabinów, waleczności trudno się było spodziewać, ale karności,—jeszcze trudniej.

Ben-Hurowi przyszły na myśl słowa Messali: „Wszystko, co zdobywacie w sześć dni, tracicie siódmego."

Tak więc, ile razy zbliżył się do tej luki w swoich wyrachowaniach, sądząc, że ją zapełni, zawsze musiał się cofnąć; tak często powtarzało się to doświadczenie, że w końcu postanowił zdać się na przypadek. Bohater mógł dziś być odnalezionym lub nie. Bogu to było tylko wiadome. Łatwo było odgadnąć, jakie to wrażenie sprawiło na Ben-Hurze, w tym stanie duszy, gdy usłyszał Mallucha treściwe opowiadanie Baltazarowych dziejów. Słuchał ich z szaloną radością, z uczuciem, które kładło kres wszelkim niepokojom. Wymarzony bohater znalazł się nakoniec, a byłto syn z pokolenia Lewiego, i król żydowski! Za bohaterem widział cały świat pod bronią.

Król będzie potrzebował królestwa: będzie musiał być bojownikiem sławnym jak Dawid, władcą rozumnym

i wspaniałym jak Salomon. Państwo jego będzie potęgą, która zmiażdży Rzym; wybuchnie wielka wojna, zabrzmią jęki konania i narodzin, a potem będzie pokój i wieczne panowanie Judei.

Serce żywo biło Ben-Hurowi, gdy ujrzał okiem duszy Jerozolimę stolicą świata, a Syjon tronem, z którego miał panować Pan nad Pany.

Entuzjaście temu wydawało się to rzadkiem szczęściem, że mąż, co już widział króla, znajduje się w namiocie, do którego on zmierza. Będzie go mógł widzieć i słyszeć i dowiedzieć się odeń wszystkiego, co wie o spodziewanych zmianach, a w szczególności o czasie, kiedy te zmiany nastąpią. Jeśli można ich oczekiwać wkrótce, nasz bohater porzuci obóz Maxencjusza, a zacznie szykować i uzbrajać pokolenia, żeby Izrael mógł być gotów, gdy zaświta wielki dzień odrodzenia.

Otóż, jak wiemy, Ben-Hur usłyszał od Baltazara osobliwe dzieje. Czy był zadowolony?

Padł nań wielki cień, większy niż od palm,—cień strasznej niepewności, która dotyczyła więcej królestwa aniżeli króla.

Takto wcześnie zrodziły się wątpliwości, które miały towarzyszyć Dziecięciu do końca i przeżyć Je na ziemi.

Byłato zagadka za jego czasów niezrozumiała, a dziś roztrząsana przez tych wszystkich, co nie rozumieją albo nie mogą tego zrozumieć, iż każdy czło-

wiek złożony jest z duszy nieśmiertelnej i ze znikomego ciała.

— Co to będzie?—zapytał.

Nam, o czytelniku, samo Dzieciątko odpowiedziało, ale Ben-Hur miał w odpowiedzi tylko słowa Baltazara: „Na tym świecie, lecz nie z tego świata, nie dla ludzi, ale dla ich dusz, Królestwo niezrównanej Chwały.“

Cóż dziwnego, że dla nieszczęśliwego młodzieńca słowa te czyniły zagadkę jeszcze zawilszą?

— Tu nic nie zdziała ręka ludzka—powiedział sobie z rozpaczą—król takiego królestwa nie posługiwałby się ludźmi; nie potrzebowałby pracowników, doradców, ani żołnierzy. Ziemia musi zginąć lub być odnowioną, a dla władzy muszą być wymyślone nowe podstawy; musi być coś oprócz zbrojnych rąk, coś w miejscu siły. Ale co?

Znowu powiem ci, czytelniku:

To, czego my nie chcemy, on nie mógł wiedzieć. Nie mógł rozumieć, że potęga leży w miłości, nie było to jeszcze znane ludziom, zarówno jak i to, że dla rządów i celów ich, to jest—spokoju i porządku, miłość więcej znaczy niż siła.

Ben-Hur pogrążony w tych myślach, uczuł naraz rękę jakąś na swem ramieniu.

— Chciałbym ci powiedzieć jedno słowo, o synu Arrjusza—rzekł Ilderim, idąc obok niego—jedno słowo tylko... muszę zaraz wrócić do namiotu, bo noc zapada.

— Mów, szeiku.

— Co do tych rzeczy, któreś słyszał przed chwilą—rzekł Ilderim prawie jednym tchem,—wierz wszystkiemu, prócz tego królestwa, które Dziecię ma założyć, gdy nadejdzie; zaczekaj z sądem w tym względzie, dopóki się nie rozmówisz z kupcem Simonidesem. Jestto zacny mąż z Antjochji, z którym cię chcę zapoznać. Egipcjanin opowiada ci marzenia zawzniosłe dla ziemi, Simonides jest rozumniejszy; on ci przytoczy przepowiednie proroków waszych, wskaże ci księgę i stronicę, nie będziesz więc mógł zaprzeczyć, że Dziecię będzie prawdziwym królem żydowskim; tak, klnę się Bogiem, takim królem jakim był Herod, tylko lepszym i o wiele wspanialszym. Wtedy zaznamy smaku zemsty. Rzekłem już. Pokój z tobą!

— Zostań, szeiku!

Może Ilderim usłyszał wołanie Ben-Hura, ale nie został.

— Znowu Simonides!—rzekł do siebie z goryczą młodzieniec—wciąż Simonides i Simonides; każdy mi o nim mówi. Ja miałbym jechać do niewolnika mego ojca, który potrafił przywłaszczyć sobie moją własność, i wskutek tego jest bogatszy, chociaż nie mądrzejszy, niż egipcjanin. Miałbym się udać do tego człowieka, który nie dotrzymał wiary memu ojcu, poto, aby mię utwierdził w mojej wierze, nie! Ale coto za śpiew... Jestże to głos kobiecy, czy anielski? Zbliża się tutaj...

Po zwierciedle jeziora zbliżała się coraz bardziej do namiotu śpiewająca niewiasta. Głos jej płynął po spokojnej wodzie tak melodyjnie jak głos fletu, i wzmagał się z każdą chwilą. Niezadługo miarowy plusk wioseł zaczął dochodzić Ben-Hura; nieco później mógł on już rozróżniać słowa, a były to słowa najczystszej greckiej mowy, która najlepiej podówczas wyrażała żałość i tęsknotę.

Gdy pieśń ucichła, śpiewaczka płynęła już za kępką palm. Ostatnie słowo: „żegnaj”, zrodziło w Ben-Hurze rzewne uczucie, jakie zwykło towarzyszyć rozstaniu. Ta łódź, co się przemknęła, była dlań niejako cieniem głębokim, który się przemienia w jeszcze głębszą noc.

Z piersi Ben-Hura wydarło się coś nakształt westchnienia.

— Poznaję ją po pieśni, to córka Baltazara. Jakaż piękna była ta pieśń i jakże ona sama jest uroczą!

Przypomniał sobie jej duże oczy, zlekka przysłonięte spuszczonemi powiekami, lica owalne i rumiane, usta pełne, z dołeczkami w kącikach, wzrost wysoki i kibić pełną wdzięku.

— Jakaż ona piękna!—powtórzył.

A serce odpowiedziało mu żywszem biciem.

Prawie w tejże chwili, inna twarz, młodsza i równie piękna, bardziej dziecięca i tkliwa, jeśli nie tak namiętna, ukazała mu się, jak gdyby z toni jeziora.

— Estera!—rzekł z uśmiechem—spełniło się moje życzenie. Gwiazda moja nadchodzi!

Zawrócił się i zwolna podszedł ku namiotowi Życie jego było tak przepełnione cierpieniem i przygotowaniami do zemsty, że nie było w niem miejsca na miłość. Byłżeto początek zwrotu ku lepszemu?

A jeśli wpływ miłości miał z nim wejść do namiotu, kogoż dotyczyła ta miłość?

Estera dała mu kubek.

Egipcjanka także.

I obie ukazały mu się jednocześnie pod palmami.

Koniec tomu pierwszego.